



POLSKIE  
SPOTKANIA

STRONA 3

WIKTOR WORONIN



MIECZYŚLAW  
MICHAŁ  
SZARGAN

WIERSZE

STRONA 10

MIŁOŚĆ  
Z  
KAJURAHÓ



STRONA 5

Korespondencja własna z INDI

JÓZEF POTĘGA

# ODGŁOSY



ROK XVIII NR 1 (891)

2 STYCZNIA 1975 ROKU

CENA 3 ŻŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

Noworocznym numerem „Od-głosy” wchodzi w osiemnasty rok istnienia. Nie jest to jeszcze okrągła rocznica. Co prawda nawet do tych „okrągłych”, jeśli dotyczą naszego pisma, nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi, ale miła nam jest świadomość, że tak długo (jak żadne łódzkie czasopismo) towarzyszymy w radościach i smutkach, sukcesach i niepowodzeniach naszych Czytelników.

Oczywiście świadomi jesteśmy, że tych radości i sukcesów było więcej, że pozytywne zjawiska, które obserwujemy i kształtujemy własną pracą — dominują w naszej rzeczywistości. Zrozumiałe też, że chcemy je społecznie nobilitować, wytworzyć wokół nich klimat ludzkiej życzliwości i zainteresowania, afirmować ludzką pracę i aktywne postawy. Nie zwalnia to nas równocześnie z obowiązku dostrzegania i sygnalizowania zjawisk i faktów negatywnych, które utrudniają nam życie i opóźniają realizację śmiałych zamierzeń.

W roku 1975, ostatnim roku obecnej pięcioletki, roku VII Zjazdu PZPR, będziemy chcieli, jeszcze bardziej niż dotychczas, aktywnie podejmować „problematykę naszych czasów”, towarzyszyć naszymi skromnymi piórami reporterów, publicystów, felietonistów, w każdej formie dziennikarskiej — tym zjawiskom, które wywierają decydujące piętno na naszym dniu dzisiejszym, a także przybliżają nas do kształtu Polski, jaki sobie w marzeniach i konkretnych planach narzeczaliśmy.

**SATYSFAKCJI W PRACY ZAWODOWEJ, SUKCESÓW W ŻYCIU OSOBISTYM ORAZ WSZYSTKICH POGODNYCH 365 DNI W ROKU 1975 — ŻYCZY REDAKCJA**

„ODGŁOSÓW”



RYSZARD BINKOWSKI

## ORKIESTRA gra PRZODOWNIKOM

Powiat obkoczyli zewsząd kaperownicy. Nie prowadzą agitacji, pieniędzmi nie szastają, lecz ich obecność na obrzeżach powiatu sprzyja wyciągnięciu ludzi. Wodzierady, Dobroń, Pawlikowice — zauroczone Łodzią i Pabianicami. Od zachodu wyciągają ludzi Karsznice i Zduńska Wola, od południa zaś — gdzie Widawa, Osieczno, Chociw, Walewice — kusi Belchatów, cementownie działoszyńskie i górniczy Śląsk.

Powiat między młotem a kowadłem, albo raczej między kilkoma młotami industrialnych ośrodków. Przemysł lokalny młodziutki. Zakłady Silikatowe, „Meble”, filia „Wólcanki”. Klasa robotnicza też młoda.

I

Eugeniusz Bialek, II sekretarz KP w Łasku, nie ukrywa, że w tej sytuacji robota partyjna staje się skomplikowana.

— Mamy zarejestrowanych 5404 członków partii, a faktycznie w powiecie mieszka ich ponad siedem tysięcy. W gminach Dobroń i Pabianice ludzie należą do organizacji partyjnych w Łodzi i Pabianicach. Niebawem członkowie partii z gminy Dłutów zaczną się przenosić do organizacji w Belchatowie, ponieważ tam znajdują pracę. To nie tylko z „winy” zlokalizowanego za miastą przemysłu. To również sprawa mieszkań. „Montoprzem”, czyli Łaskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego buduje duże inwestycje przemysłowe w województwie. W Łasku też, bo trzeba uczciwie przy-

znać, że na rok przed terminem otrzymaliśmy szpital. Ostatnio jednak „Montoprzem” zobowiązał się do szybszego zakończenia budowy mieszkań, które mogłyby zatrzymać uciekających.

Do „Wólcanki”, „Mebli” i zakładów silikatowych przychodzą nowi ludzie. Trafiają się partyjniacy doświadczeni, ale oni nie tworzą jeszcze zespołu. Trzeba przejść wszystkie etapy przygotowania, aby wycho-wać silną grupę partyjną.

Większość podejmujących pracę pochodzi ze wsi. Syn gospodarza na dziesięciu hektarach, traktowany jako młody rolnik, należał do ZSMW. Przeszedł do zakładu pracy, stał się robotnikiem. Robotnik w ZSMW. Teraz, aby zawód pokrył się z przy-należnością do organizacji, należałoby go przyjąć do ZMS, a stąd do partii.

Kołomyjka. Wobec tego w fabryce przyjmuje się do partii członków ZSMW.

Na wsi ilość rolników w partii bez zmian, ponieważ trwa stały odpływ ludzi do przemysłu.

Byłem w Łasku 17 grudnia ubiegłego roku. Zdawałem sobie sprawę, iż przed laty życie partyjne w powiecie doskonałością nie błyszczało. Teraz wiem, że nie warto wracać do tamtego okresu.

Mogłem odnotować, że: Zakończono zebrania sprawozdawcze w dziesięciu komitetach gminnych i jednym miejsko-gminnym. Pozostała jedna konferencja w „Montoprzemie” i drugi etap konferencji w Żelowie.

Kampania sprawozdawczo-wyborcza wpłynęła wyraźnie na aktywizację wszystkich członków partii. Na

Dalszy ciąg na str. 9

LUCJUSZ  
WŁODKOWSKI

## CZTERY i PIĄTY

Zaczął się 1975 rok. Ostatni, piąty rok bieżącej pięcioletki. Nadarza się więc doskonała okazja dla dokonania publicystycznej refleksji, do zastanowienia się, co było charakterystyczne, w minionym czteroleciu. A jednocześnie jest okazja do rozważań nad zadaniami roku piątego — decydującego roku tej pięcioletki, podstawy dla planowania na przyszłe pięciolecie, na lata: 1976—1980.

1.

Wraz z rokiem bieżącym weszliśmy w ostatnie ćwierćwiecze naszego stulecia, ostatniego stulecia drugiego tysiąca lat naszej ery. Nie byłby to może fakt tak bardzo znaczący, gdyby nie to, że owych 25 lat, jakie pozostało do nadejścia roku 2000 są okresem mniejszym od naszych doświadczeń w budowaniu społeczeństwa socjalistycznego, a jednocześnie są okresem szczególnego zainteresowania planistów i prognostyków. Żyjemy bowiem w epoce rewolucji techniczno-naukowej, kiedy przemiany w technice i nauce dokonują się niezwykle gwałtownie, a ich wpływ na życie ludzi staje się coraz większy.

U początku minionego trzydziestolecia planowaliśmy zadania gospodarcze i społeczne na krótkie okresy. Nie wybiegaliśmy w przyszłość dalej jak na pięciolecie, co odpowiadało okresom planowania państwowego. Dziś niezależnie od planów pięcioletnich, określamy generalne zadania również na lata dalsze, sięgamy w przyszłość po 1990 rok, a często i dalej. Aby móc z powodzeniem realizować bieżące zadania społeczne i gospodarcze, trzeba mieć wizję dalekiej przyszłości, cel wyraźnie określony w perspektywie czasu. Pozwala to bowiem nie tylko na utrzymanie właściwego tempa realizacji zadań okresów pięcioletnich, ale i na takie planowanie w tych okresach, które nieuchronnie przybliżałoby wizję przyszłości, czyniło ją konkretną i realną.

„Wiek XX — głosz „Tezy Komitetu Centralnego PZPR” przyjęte przez XIII Plenum KC PZPR — zakreśla dwa bieguny polskich dziejów: u początku stulecia niewola, bieda, zacofanie, nędza narodowy i klasowy. Brak historycznych perspektyw, a w końcowych jego latach — wizje Polski wysoko rozwiniętej, samostanowienia, silnej i szczęśliwej. Czterdziestomilionowy naród polski ostatnich lat XX wieku będzie społeczeństwem socjalistycznym o wysokiej dynamice rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, o najwyższych aspiracjach ideowych i moralnych. Siegamy myśla w tę przyszłość dlatego, że od trafności podejmowanych dziś decyzji zależy kształt naszego kraju w najbliższych dziesięcioleciach”.

Dalszy ciąg na str. 8



# KULTURA ŁÓDZKA w latach 1976-1980

W dniu 12 grudnia 1974 roku odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego PZPR na temat: **KIERUNKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO ROZWOJU ŁÓDZI W LATACH 1976-1980**. Poniżej drukujemy wypowiedź członka Komitetu Łódzkiego PZPR, I sekretarza POP przy Związku Literatów Polskich, **JERZEGO WAWRZAKA**, który zabrał głos na Plenum w imieniu środowisk twórczych Łodzi.

Rozpatrujemy dziś problem, którego rangi nie sposób przecenić. Porównać go jedynie można z pierwszym etapem programu rozwoju Łodzi na lata 1971-75, który pomyślnie kończymy z prawie rocznym wyprzedzeniem. Ten ogromny sukces skłania do przekonania, że również etap następny: lata 1976-80 — będzie okresem jeszcze bardziej dynamicznej, wszechstronnej ekspansji miasta. Takie przekonanie wśród społeczności łódzkiej jest powszechne, co nie może jednak zwalniać nas z obowiązku stałej troski, twórczego niepokojów, a nawet krytycznej refleksji odnośnie tego, co już zrobiliśmy, do czego się aktualnie przygotowujemy i czemu będziemy nadawać kształt materialny w przyszłości.

Chciałbym, w tym rozumieniu, przedstawić na dzisiejszym Plenum opinie środowiska kultury na temat przedłożonego nam projektu programu. Liczne wypowiedzi na zebraniach partyjnych w środowiskach twórczych, głosy na łamach naszej prasy, opinie wyrażane wielokrotnie w tej trybunie świadczą, że podobnie jak klasa robotnicza i całe społeczeństwo Łodzi, ludzie kultury łączą z programem rozwoju wielkie nadzieje, i co najważniejsze, widzą w jego realizacji swe nieposłednie miejsce. Jest to ważna zmiana w sposobie myślenia, widzenia spraw najważniejszych w całym ich skomplikowaniu, wielość uwarunkowań naderzędnych priorytetów itd. Ten stan rzeczy pozwolił przełamać funkcje w tradycji piętno Łodzi jako „złego miasta”

dla kultury i twórców. Jest to niewątpliwie sukces psychologiczny i nie tylko psychologiczny. Wynika on z pracy ideowo-politycznej w środowiskach kultury, a głównie z fascynujących faktów, które nasze społeczeństwo pod kierunkiem partii tworzy.

Taka zmiana klimatu, wyrugowanie starych uprzedzeń bądź ich ograniczenie, spowodowała, że program rozwoju kultury na lata 1971-75 przyjęto z oczywistym zrozumieniem, ze zrozumieniem, mimo iż w owym okresie żywych i namiętych dyskusji zastrzały się niejednokrotnie apetyty. dochodziły czasem do głosu przesadne ambicje środowiskowe dające upust frustracjom narastającym w okresie zastój życia kulturalnego końca lat sześćdziesiątych. Doprowadzenie do sytuacji wzajemnego zrozumienia nie było łatwe głównie i z tego powodu, że w latach 1971-75 praktycznie w rozwój bazy kulturalnej niewiele zainwestowaliśmy. Dla nas, działaczy partyjnych w środowiskach kultury, rozumiejących złożoność podejmowanych problemów — była to oczywista konieczność. W tym czasie priorytet musiało mieć budownictwo mieszkaniowe, rozwój potencjału przemysłu budowlanego, stworzenie takiej bazy materialnej, dzięki której w przyszłości możliwe będzie szybkie odrobienie zaniebądanej infrastruktury kulturalnej i stworzenie nowej, na miarę potrzeb.

Gorzej jednak, że plan ten nie zawsze realizowany był harmonijnie. Niewiele w nim było pozycji i wartościowo było to inwestycje stosunkowo nie-

wielkie; a mimo wszystko dla przykładu, nie osiągnęliśmy założonego rozwoju sieci bibliotek. Do użytku oddano jedynie pięć obiektów w nowym budownictwie — zamiast planowanych trzynastu. Księgozbiory tymczasem wzrosły prawie pół miliona tomów, co jest zjawiskiem optymistycznym, które jednak blednie, kiedy się pomyśli o możliwościach prawidłowego wykorzystania tych zasobów. Podobnie sytuacja lokalowa kin uległa minimalnej poprawie, mimo bliskiego terminu oddania nowego kina „Iwanowa”. Opieszałość prac modernizacyjnych powoduje, że nie osiągniemy planowanego wskaźnika miejsc na 1000 mieszkańców i zbyt wolno będziemy się zbliżali do średniej krajowej. Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że kilka istotnych przedsięwzięć zostało zrealizowanych: oddano do użytku amfiteatr, rozbudowuje się Muzeum Historii Włókiennictwa, Muzeum Martyrologii, wybudowano dom kultury przy ul. Inowrocławskiej oraz Pomnik Martyrologii Dzieci.

Osiągnięciem bezspornym w dziedzinie rozwoju bazy kultury i jej upowszechnienia jest rozwój w ostatnich dwóch latach prasy łódzkiej. Poprawiła się jej szata graficzna, jakoś dźwięku przystępniejsza, a przede wszystkim znacznie, bo w granicach 30-40 proc., zwiększyła się objętość, co pozwoliło na większą elastyczność w redagowaniu, uatrakcyjnieniu treści i podniesienie ogólnego poziomu. Stwarza to lepsze warunki do skutecznego oddziaływania prasy na rzecz upowszechnienia strategicznych i bieżących celów wytyczonych przez partię, motywację postaw ludzkich, wzorców zachowań, aktywizacji społeczeństwa. Efekty takiego działania są konkretnym wkładem w tworzenie struktur materialnych, chociaż są materialnie niewymierne. Zwiększenie o-

bjętości gazet pozwoliło także na rozbudowanie działów kulturalnych naszych gazet, co jest zjawiskiem pozytywnym. Taką samą tendencją można odnotować również w lokalnych programach radia i telewizji. Niestety, pewien regres edytorski nastąpił w Wydawnictwie Łódzkim, a koniecznie jest, wobec istnienia dużego ośrodka naukowego, środowiska literackiego itd., by Wydawnictwo Łódzkie nie dreptało w miejscu, a stało się oficyną wydawniczą, przynajmniej równą poziomem każdemu innemu wydawnictwu. Szczególną uwagę winno ono zwrócić na pracę inspiracyjną wśród pisarzy.

Sumując najkrócej osiągnięcia i niepowodzenia lat 1971-74 w dziedzinie kultury można mimo wszystko powiedzieć, że nie był to czas zmarowny. (N. b. pozostał nam jeszcze rok i pewne przyspieszenia, nadrobienia opóźnień są możliwe). Zrobiliśmy w tym okresie głównie to, co możliwe było do zrobienia, zwłaszcza w strefie „niematerialnej”, a jest to przecież zasadnicze, najważniejsze działanie — na co dzień. Przede wszystkim dokonaliśmy uciążliwego i realnego bilansu potrzeb, nie zza biurka, ale w oparciu o szeroką dyskusję prowadzoną na przestrzeni dwóch lat. Jej ukoronowaniem były obrady czerwcowego plenum KL, na którym wszechstronnie zaprogramowano działanie w sferze kultury do 1980 roku. Program ten jesienią przenieśliśmy do poszczególnych środowisk, które, z inspiracji organizacji partyjnych, określili w nim swoje miejsce i przystąpiły do jego realizacji.

Nie sposób w tym momencie nawet wspomnieć o wszystkich inicjatywach literatów, artystów, aktorów, muzyków, dziennikarzy i filmowców, którzy w ramach roboczych planów swoich środowisk realizują wytyczne czerwcowego ple-

num KL. Wspomnę tylko o jednej, o realizacji zakrojonej w szerszym horyzoncie czasowym, idei „Sojuszu pracy z kulturą i sztuką”. Idea ta wyszła już poza próg dyskusji między zainteresowanymi „stronami”, weszła w stadium robocze, a rok najbliższy powinien przynieść rezultaty, których oczekujemy. Oczekujemy wielu rezultatów, ale za najważniejszy uważamy przybliżenie kultury i sztuki społeczeństwu, a zwłaszcza klasie robotniczej z jednej strony, i z drugiej — uświadomienie wszystkim twórcom, że służba socjalistycznemu społeczeństwu jest dziejowym nakazem. Taki jest ogólny sens naszego działania dziś i na jutro.

Dziś zwłaszcza musimy stawić na inicjatywę i zaangażowanie, premiować takie działania, które mimo aktualnych trudności i ograniczeń w postaci niepełnej bazy, przynosi pożądaną efekty. Problem rezerwy to nie tylko problem czysto ekonomiczny. W sferze naszego działania istnieje on także. Udowodnili to plastycy, którzy mimo braku galerii, sal wystawowych, zdobyli swą aktywnością i pomysłowością opinię jednego z najbardziej prężnych środowisk twórczych w kraju.

Nie zapominając o dniu dzisiejszym i jego niebagatelnych możliwościach, żywo interesujemy się przyszłością. Wspiera nas w tym świadomość, że ranga kultury będzie rosła, bo wynika to z samej istoty naszego ustroju. Widzimy także, jak wszelkie działania w sferze społeczno-gospodarczej, poprawy warunków pracy i życia mas pracujących, powodują rozbudzenie i wzrost aspiracji kulturalnych społeczeństwa. Musimy w przyszłości w pełni je zaspokoić, pomni, że każdy rozwój cywilizacyjny i gospodarczy gwarantować może tylko człowiek odpowiedzialnie przygotowany do swej misji.

Dlatego też sądzę można z całym przekonaniem, że wytyczenie na dzisiejszym plenum KL „kierunków społeczno-gospodarczego rozwoju Łodzi na lata 1976-80” spotka się z głęboką uwagą środowisk kultury. Zawarte w tym programie propozycje\* mogą tylko wywoływać głęboką satysfakcję, bo chociaż lista tych zamierzeń jest krótka, jej ciężar gatunkowy liczony w miliardach złotych jest ogromny. Byłbym jednak nieszczerzy, gdybym na tym stwierdzeniu skończył. Nie chodzi tu o wątpliwości, lecz bliższe aspekty tego problemu. Chcę jasno powiedzieć, że mimo rozmachu tego programu, jest on dopiero otwarciem perspektywy na przyszłość, a więc programem minimum. I musi być w całości wykonany. A jeśli korygowany, to tylko w górę. Mówię o tym z takim naciskiem, bo mamy nie najlepsze

doświadczenia z przeszłości, kiedy o inwestycje towarzyszące, nieprodukcyjne, traktowane były po macoszemu. Rozumiemy, że budowa teatru, filharmonii, muzeum, galerii — to budowy trudne, nietypowe, że nie można tej skali trudności porównywać z budową zakładów pracy i domów mieszkalnych z prefabrykatów, ale mimo to chcę wyrazić nadzieję, że nasi budowniczości nauką się te trudności pokonywać, że 4,2 mld zł, jakie otrzymają na rozbudowę zaplecza techniczno-produkcyjnego, wykorzystają z maksymalnym pożytkiem, że nie zawiadą i siebie samych, bo i dla siebie tworzą te dobra. Będziemy ich wysiłkom na swój sposób towarzyszyć, wspierać moralnie i nie szczędzić słów uznania. Wierzymy także, iż na kolejnych etapach realizacji programu, w momencie podejmowania nieraz trudnych decyzji, inwestycje kulturalne traktowane będą przynajmniej na równi z innymi. Jako niezbędne, współdecydujące o przyszłym obliczu i kształcie Łodzi.

Ostatni okres partyjnego działania w środowiskach twórczych: rozmowy indywidualne, przygotowania do wymiany legitymacji, kampania sprawozdawczo-wyborcza, upoważniają do stwierdzenia, że nasze POP, egzekutywy, aktywnie — sprawują autentyczne kierownictwo polityczne w środowiskach kultury. Przychodzi nam to niełatwo, ale łatwiej niż kiedykolwiek, bo stoi za nami autoritet całej partii i sukcesy, które ludzie pracy pod kierownictwem partii odnoszą. Taka sytuacja to kolejna gwarancja, że wkład środowisk kultury w realizację programu społeczno-gospodarczego rozwoju Łodzi będzie coraz większy, lepszy, godny.

- \* Dla poprawy bazy materialnej przewiduje się generalne doinwestowanie instytucji i placówek kultury. M. in. zakłada się:
  - budowę i modernizację teatru: Powzechnego, Letniego, Nowego, 7,15.
  - wybudowanie w rejonie centrum miasta obiektu odtworzonego dla Filharmonii oraz dla Galerii Wystaw Artystycznych,
  - wybudowanie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Parku Kultury i Wypoczynku,
  - budowę 3 kin (Dąbrowa, 2 centrum),
  - oddanie do użytku 4 osiedlowych domów kultury (Teofilów, Dąbrowa, zakładowy im. Marchlewskiego, zakładowy im. Armii Łódzkiej),
  - budowę 23 bibliotek w nowych osiedlach mieszkaniowych,
  - adaptację szeregu obiektów zabytkowych na cele muzealnictwa, m. in. dawnego Ratusza, Pałacu Herbsta, budynku Bielnika

## PROSZĘ O GŁOS!

# CO ZROBIĆ Z KSIĘŻYM MŁYNEM?

Nie jeden raz prasa pisała o decyzjach terenowych władz architektonicznych, które poprzez wprowadzenie nieumiejętnie zaprojektowanej architektury zespęcały zabytkowy charakter zabudowy układów miejskich lub naruszały naturalne warunki środowiska biologicznego. Nie chciałbym podawać kolejnych złych przykładów, powinno się pisać o tych dobrych, a za taki uważam Łódź. Łódź, której zagadnienia ochrony konserwatorskiej, stosunkowo nowe, mimo długich spornych dyskusji i częściowej nawet straty kilku obiektów zabytkowych, jako problem w skali miasta, zostały przez służbę konserwatorską wygrane.

W 1971 roku został zatwierdzony przez Biuro Polityczne KC PZPR „Program rozwoju i modernizacji Łodzi w okresie 1971-1975”. Jest to pierwszy — od 1821 roku, gdy Łódź została zaliczona

do rzędu miast fabrycznych z określonym projektem rozwoju urbanistycznego, zniekształconego głównie w drugiej poł. XIX wieku — jasny i konkretny program rozwoju Łodzi, zawierający założenia poprawy najpilniejszych potrzeb miasta i jego mieszkańców. Opracowany w roku 1972 kompleksowy program ochrony dóbr kultury Łodzi jest konsekwentną realizacją ogólnego programu modernizacji miasta. W swej treści daje wytyczne służby konserwatorskiej zmierzające do ochrony najcenniejszych przykładów architektury XIX i pocz. XX wieku do niedawna w ogóle nie uwzględnianej w opracowaniach historyków sztuki i konserwatorów.

Chciałbym przedstawić problematykę zagospodarowania i zaprogramowania określonej w wnioskach konserwatorskich funkcji zabytkowego osiedla domów robotniczych w Łodzi, który przy-

jęto nazywać Księżym Młynem.

Osiedle domów robotniczych powstało w siedemdziesiątych latach XIX w. z funduszy właściciela zakładów przemysłowych Karola Scheiblera. Składa się ono z 18 domów mieszkalnych ustawionych w szeregu po 6, stanowiących całość kompozycyjną wraz z fabryką. Rozciąga się między ulicami 8 Marca, Przedzalaną, Fabryczną i Księżym Młynem. W skład osiedla wchodzi jeszcze budynek szkolny, konsumny i zabudowania gospodarcze. Domy murowane z cegły, nie tynkowane, założone na planie prostokąta, składają się z pomieszczeń jedno- i dwulubowych. Architektura prosta, surowa bez żadnych ozdób. Zespół zaprojektowany jako całość z charakterystycznym układem osiedle-fabryka, pałac właściciela w sąsiedztwie, stanowi unikalny przykład roz-

wiązania urbanistycznego z 2 poł. XIX w.

Przeglądając dość bogaty materiał ikonograficzny dotyczący tego osiedla, łatwo można dostrzec, że przetrwało ono do naszych czasów w całości z drobnymi zmianami dotyczącymi głównie przeprowadzonych remontów bieżących.

Cała zabudowa osiedla jest w dalszym ciągu wykorzystywana w swojej dawnej funkcji usługowej, gospodarczej i głównie mieszkalnej. Mieszkanie decyduje o poziomie organizacji życia rodzinnego. Świadomość nasza rejestruje hierarchię wartości mieszkań. Przy naszych dzisiejszych wymaganiach, domy te o niskim standardzie wyposażeniowym nie spełniają podstawowych potrzeb mieszkańców. Jaką więc funkcję nadadć temu zespołowi?

Propozycja konserwatorska jest jednoznaczna, by stworzyć w sile skansenu typu miejskiego, robotniczego. Powołany niedawno do działania dział kultur miejskich w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi, mógłby odtworzyć pierwotny stan domów z Księżego Młyna z pełnym wyposażeniem wewnątrz. Zachowane są przecież liczne opisy, jak wyglądały wnętrza tych domów. Do opracowania szczegółowego programu powinno się włączyć Muzeum Historii Włókiennictwa. Współpraca dwóch instytucji muzealnych, które tutaj na pewnych odcinkach działalności merytorycznej będą miały założenia zbliżone, daje szerokie możliwości koordynacji zadań naukowo-organizacyjnych, ponadto współpracy dydaktycznej i ekspozycyjnej.

Naczelnym zadaniem skansenu łódzkiego będzie wyrobienie prawidłowego poglądu na stosunki społeczne, warunki pracy, stosunki produkcji i kulturalne robotników

łódzkich w okresie XIX wieku. Dział kultur miejskich prowadzi akcję zbierania przedmiotów, sprzętów, dawnego wyposażenia domów robotników. Zorganizowany swego czasu konkurs folkloru robotniczego Łodzi dał nieoczekiwanie bogaty materiał zawierający opisy obrzędów, zwyczajów, pieśni i zespołów robotniczych. Wykorzystując zebrany materiał do prezentacji przez zespoły na terenie skansenu, będzie on spełniał obok zadań ściśle naukowych, ważne zadania społeczno-wychowawcze.

Całość zespołu obejmuje 18 domów, na pewno nie wszystkie zostaną wykorzystane na cele muzealne. Użytkowanie skansenu tylko w pewnych okresach czasu stworzyłoby niebezpieczeństwo pewnej sztuczności i martwoży. Dlatego też adaptacja niektórych domów, ich pełne wyposażenie w sanitaria, ogrzewanie, wodę i przeznaczenie na hotel, motel czy pracownie plastyczne dla artystów zapewni świetne warunki dla turystów szukających estetyki i wypoczynku w ośrodku typu nieznanego za granicą.

Propozycja atrakcyjna. Są także zwolennicy innej koncepcji uważając, że Księży Młyn powinien dalej pełnić taką funkcję jak dziś tzn. głównie mieszkalną. Należałoby przeprowadzić tylko remonty domów podnosząc ich standard wyposażeniowy i pozostawić do mieszkania. Wydaje się jednak, że koncepcja konserwatorów łódzkich łącząc te zagadnienia z wysokimi walorami terenowymi otaczających dą większą gwarancję popularyzacji i nasilenia ruchu turystyczno-rekreacyjnego.

Piszę cały czas o stworzeniu skansenu na Księżym Młynie ale należy także zasygnalizować i sąsiednie otoczenie, które też objął program konserwatorski. Ze

względem na to, że jest to teren bezpośrednio przyległy do Księżego Młyna, można mówić o ochronie całości rejonu w obrębie placu Zwycięstwa, ulic Targowej, 8 Marca, Przedzalaną i Armii Czerwonej. W rejonie tym znajdują się następujące obiekty zabytkowe — dawny pałac przemysłowca przy placu Zwycięstwa z przeznaczeniem na ośrodek kultury filmowej. W ośrodku tym znalazłoby miejsce muzeum sztuki i techniki filmowej, archiwum filmowe Ziemi Łódzkiej, iluzjon. Dalej zabytkowy park Zródliska z unikalnym drzewostanem i oryginalną dziesiętnastowieczną architekturą ogrodową. Dawny pałac zarządzającego zakładami Scheiblera, Edwarda Herbsta, w którym organizowane jest muzeum wnetrz 2 poł. XIX w. Duże założenie wodne przy pałacu Herbsta po przeciwległej stronie ma być zagospodarowane na ośrodek rekreacyjny sportów wodnych.

Realizacja całości jest wieloletnia i wymaga prowadzenia badań wielospecjalistycznych etnografów, historyków sztuki, architektów, konserwatorów zabytków, socjologów, technologów. Prace dokumentacyjne — projektowe prowadzone są przez Pracownię Konserwacji Zabytków w Warszawie i Łodzi.

Skansen na Księżym Młynie ma konkretne uzasadnienie tak od strony badań naukowych, jak również zapotrzebowania społecznego, nieźle bowiem podkreślić, iż Trzeba bowiem podnieść kulturę przyczyną i cele ochrony kultury materialnej robotników. Jako rodzimej kultury narodowej, elementu wychowawczego, dydaktycznego i krajoznawczego, znajdującego coraz szersze zrozumienie całego społeczeństwa.

**WOJCIECH WALCZAK**

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: **JERZY WAWRZAK** (redaktor naczelny), **RYSZARD BINKOWSKI**, **KONRAD FREIDLICH**, **ANDRZEJ GRUN** (redaktor graficzny), **JAN JANICKI** (redaktor techniczny), **BOGDA MADEJ**, **ANDRZEJ MAKOWIECKI**, **WŁODZIMIERZ PARYS** (fotoreporter), **JERZY RZYMOWSKI**, **WŁODZIMIERZ SŁOKOWSKI** (zastępca redaktora naczelnego), **LUCJUSZ WŁODKOWSKI** (sekretarz redakcji), **JERZY WILMAŃSKI** (drugi sekretarz).  
Stale współpracują: **ANDRZEJ P. GRABSKI**, **WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI**, **KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI**, **EWA NURCZYŃSKA**, **KRZYSZTOF POGORZELEC**, **WITOLD SŁAWSKI**, **TADEUSZ SZCZEPAŃSKI**, **MAREK WAWRZKIEWICZ**.



## KARTKI z PRZESZŁOŚCI

Zebrałiśmy się w Brześciu. Jedni przybyli pociągiem, inni samochodami. Nasz „wódz”, Michał Siemionowicz Alferow stwierdza, że wszyscy dopisali. Zadowolony rozmawia z „szefem sztabu” (jak go nazwał), Stanisławem Książkiem, świetnym organizatorem i duszą kolektywu. Jest to młody brunet o bystrym spojrzeniu, którego niewysoka, energiczna sylwetka zdaje się być zawsze i wszędzie tam, gdzie powinien się znaleźć. Właśnie obwieszcza:

— No, cóż, przyjaciele, autobusy już na nas czekają!... Zajmujemy miejsca, dojeżdżamy do mostu, przejeżdżamy przez Bug. Wrzuceni, zbliżamy się do białej linii przecinającej most w polowie. To granica.

### SPOTKANIE

Linia ta jednak nie dzieli, nie odcina, ma ona właściwość łączenia i zespalania. Po obu jej stronach leżą bowiem dwa bratnie kraje. Nie jest to prosty, protokolarny frazes. Te serdeczności czujemy w czasie całej naszej wycieczki. I teraz, na wstępie, od strony Terespoła sunie ku nam świątecznie odziany tłum. Dzieci, dorośli, dziewczyny i chłopcy. Na twarzach maluje się radość, ręce wyciągnięte przyjaznym gestem.

Tak spotyka się tylko najbliższych, najbardziej pożądanych gości. Zaimprovizowana orkiestra z kontrabasem na czele, rżnie od ucha. Głośno, wesóło! Taca z chlebem i solą, wzajemne powitania. Wypełniające nas uczucia, nie wypowiedziane słowa — sprawiają, że jesteśmy początkowo trochę zmieszani, nieswoi...

Pierwsi dopadli nas uczniowie z nareczami kwiatów. Każdy z nas zostaje szczerze obdarowany ślicznym, wspaniałym kwiecikiem. Ogromny bukiet wręcza mi Alina Zmudzka, 15-letnia dziewczyna, która podbija moje serce cudownym bukietem goździków. Podnoszę ją do góry i z bliska patrzę w jej śmiejącą się oczy.

A tu już terkocą kamery, obracają szpule i taśmy magnetofonowe, skaczą po papierze pióra korespondentów. I tak będzie przez dziesięć dni naszego pobytu w Polsce. Z ekranów telewizyjnych i szpalat gazet mieszkawiec Polski dowiędzie się, że przebywaliśmy w Fabryce Łożysk Toczących w Warszawie, w łódzkich zakładach, w Kielcach, w Radomsku, Katowicach, Szczecinie, Wrocławiu, czy w Krakowie.

Oczekiwała nas zadziwiająca droga. Ale jeszcze nie przedstawiłem uczestników tej wycieczki. Teraz więc dopełniam tej formalności: oto my — grupa aktywistów Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Są to ludzie różnych zawodów i wieku, przedstawiciele niemal wszystkich republik. Wybraliśmy się w podróż po polskiej ziemi, aby na własne oczy móc podziwiać, jak rozwija się — i pięknieje Ludowa Polska. Zeby samemu zobaczyć dawno nie widzianych przyjaciół, wymienić opinie i wspólnie zastanowić się, co zrobić dla umocnienia łączących nas więzi.

Wszędzie, dokądkolwiek trafiliśmy, wszędzie witaly nas radosne uśmiechy, przyjazne głosy. A przejeżdżaliśmy niemało — 3000 kilometrów, do czego należy dodać kilometr pasjonujących wycieczek pieszych, zwiedzanie zakładów, kopalń, szkół. Charakterystycznie powitał nas na granicy powiatu radomszczańskiego — sekretarz Komitetu Powiatowego partii, gościnnie i serdecznie Tadeusz Rybak:

— Witamy was nie tylko jak drogie gości, witamy u nas swoich braci...

I dodaje:

— Chcielibyśmy, abyście czuli się jak u siebie w domu.

Trudno powitać ciepłej. A za słowami poszedł czyn. Konstruktynne, serdeczne rozmowy cieszyły nas równie, jak duma z osiągnięć i radość z rosnącego dobrobytu naszych gospodarzy. Czyż mogły nam zepsuć humor padające deszcze, lub jesienne mgły otulające gościnnie kraj przyjaciół?

Było nas wielu i każdy przypatrywał się temu, co go interesowało najbardziej, a ogólne wrażenia porównywalimy. Oczywiście, szczerpłość miejsca nie pozwala mi na szczegółowe rozwodzenie się o wszystkim. Postaram się zatem wspomnieć o tym, co najśliszej przykuło moją uwagę.

### TAK BYŁO

Kilka porównań. Przyjechałem do Polski po raz czwarty. Po raz pierwszy właściwie nie „przyjechałem”... Było to latem 1944 roku. W tym czasie ziemia ta była nielitościwie zdeptana butem hitlerowskiego żołdaka.

Okupant przysięgał, że nie dopuści do oswojenia Polski przez Armię Radziecką. I istotnie, zrobił, co mógł, aby dotrzymać słowa.

Ale żołnierz rozumie, co znaczy słowo „rozkaz”. A rozkaz nakazywał przełamanie oporu pod miejscowością Brody (byłem wtedy szefem sztabu wojsk inżynierskich 13 Armii i Frontu Ukraińskiego). We współdziałaniu z Armią Polską odrzuciliśmy wroga tak, że zatrzymał się dopiero na linii Wisły. Z marszu zajęliśmy Sandomierz i dopiero wtedy „złapałiśmy oddech”.

Cóż wtedy mogłem zobaczyć? Jedną po drugiej migły wsie, okrążyliśmy miasta Spalone albo na wpół zrujnowane przedstawiały dla nas „punkty oporu Niemców” lub nasze miejsca krótkiego wojennego pobytu. Patrzymy, a tu wali się zaminowana fabryka, pionie centrum miasta, ale my otrzymujemy nowe, pilne zadanie: przerwać linię obrony, zlikwidować rozpaczliwie broniące się grupy faszystów w pobliskich domach. I zaraz potem łamię głowę — jak przeprowadzić dywizję przez rzekę pod huraganowym ogniem, kiedy mosty zerwane...

Domy, wsie i miasta — wszystko to

było jakieś ranne i wyczerpane kilkuletnią wojną. Na twarzach ludzi przestrach i rozterka:

— Matko Boska, do czego się pierwej wziąć? Tyle trzeba zrobić?

W ciągu półrocza przez Kielecczyznę, Łódzkie, Wrocławskie, Poznańskie ciągnęliśmy aż do gniazda faszystów, do III Rzeszy, mijając rozpaczliwe, żałosne gruzy.

I oto po 26 latach wjeżdżam do Polski.

**ZAKOCHANI W OJCZYZNIE**  
Przyjaciele z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zapewnili nam trzy znakomite autobusy, które mkną, płynnie kołysząc się na gładkiej nawierzchni. Obok mnie siedzą sympatyczni towarzysze podróży. Czego więcej można chcieć? Można milczeć i rozmyślać. Można pytać i z góry

wy i sympatyczny, Stanisław Bajur. W działach uderza nas panujący porządek i czystość. Klimatyzacja działa bez zastrzeżeń. Stanisław Książek dwoi się i troi. Tłumaczy na rosyjski i polski, rzuca żart, podejście do rozmawiającej grupki i już „niesie go” w drugi koniec hali. I za wszystkim czuje się niepokojącą go myśl: „Czy uda się ta twórcza wymiana myśli, dla której „chłopcy” przyjechali?”

Teraz przypuszczamy szturm do dyrektora: co to takiego, oddział przeciw pracuje, maszyny działają, a nie słychać stuków maszyn? Dlaczego w tej hali panuje właściwie cisza?

— Tam był dzień dzisiejszy — a tu jutro naszej pracy. Podłoga w tym dziale jest świeżo zabetonowana... Cały wydział poddany jest modernizacji. Tam, za oknem stoją w skrzy-

I jeszcze nadal budują. I pilnują gotowych autostrad i szos: czy nie zrobiła się gdzieś dziura, czy nie powstała wygrobienia? Szkody mogą powstać ogromne: tysiące połamanych rezerwów, kraksy zahamowania przewoźów... Prawda, drogi są dość wąskie: jedno pasmo w tę, drugie w tamtą. Ziemia potrzebna jest pod chleb pow-szedni.

Inspektorzy ruchu drogowego surowi: coś nie w porządku i od razu mandat. Kary 200 i 300 złotych. Wszyscy nauczeni są płacić bez ociągania. Albo płacisz, albo do Komendy lub do kolegium. Jadę kiedyś ze znajomym. On — za kierownicą. Stop. Patrol z Komendy Ruchu. O co chodzi?

Krótki dialog:  
— Wyprzedziłeś wóz w nieprze-pisowym miejscu.

— Jak to? Przecież do znaku było jeszcze 50 metrów!...

— Woli pan płacić teraz, czy w Komendzie?...

Mój przyjaciel zaklina i błaga inspektora jak umie. Ale ten powtarza twardo:

— Woli pan płacić teraz czy później?

O, przyjaciel wie, co znaczy „płacenie potem”. Mruczy pod nosem, sroży się, klnie, ale wyciąga papierki.

Chyba jednak drog pilnuje się latwiej, jeżeli zamiast słów perswazji, częściej stosuje się kary. Nie znam polskich statystyk, nie wiem, ile tam zdarza się wypadków, ale przyznam, że żadnego nie widziałem na własne oczy, choć „zaliczyłem” nie mało kilometrów.

### DO DOMU!

Wyjeżdżamy z Warszawy do domu. Njestety, trzeba się rozstać. Nie na długo. Będziemy czekać na naszych dzisiejszych gospodarzy u siebie.

Będziemy pamiętać tysiące spotkań aktywnych działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, będziemy wspominać waszą gościnność, waszą dumę z dokonaj.

Jesteśmy przekonani, że na zawsze pozostaniemy wierni naszemu sojuszu, który wytrzymał próbę wojny i trzydziestu lat wytrwałej i owocnej pracy!

Tłumaczył:  
**BOGDAN PIĄTKOWSKI**

## POLSKIE SPOTKANIA

(fragmenty)

wiadomo, że każda kwestia spotka się z życzliwym zrozumieniem i rzeczową odpowiedzią.

Jedno budzi rozbawienie pasażerów: kiedy na granicy województwa przewodnicy zapewniali nas:

— Wprawdzie piękna cała nasza ojczyzna, ale sami przekonacie się, towarzysze, że tak jak w naszym województwie — nie żyje się nigdzie. I ziemia urodzajna, i powietrze czystsze i niebo bardziej błękitne, a co za ludzie, a jaka gospodarka!

Takich patriotów lokalnych spotyka się tu niemało. I zawsze gotowi są skoczyć z pazurami do oczu w obronę prymatu swojego województwa czy powiatu! Nie chodzi tu zresztą o przekrzywienie się i czysto werbalny spór w obronę emocjonalnych postaw. W rozmowach padają z reguły cyfry, zestawienia, fakty. Widać, że nasi dyskutanci niejedno przemysłili i przeanalizowali.

Cieszą nas te porównania i dane, z których jasno wynika: więcej „dziś” niż „wczoraj”, a „jutro” pozostawi „dziś” daleko z tyłu. Zakłady, fabryki, urodzaje, nauka, oświata, bogactwo towarów.

### W ŁODZI

Napatrzyliśmy się: cała Polska buduje się. Dosłownie cała; i wszędzie rozbudowuje się i modernizuje. Tempo rozwoju jest imponujące, zwłaszcza w ostatnich dwóch latach. Dotyczy to zarówno bazy produkcyjnej jak inwestycji naukowych, czy kulturalnych. Ale pierwsze miejsce należy zdecydowanie do przedsiębiorstw przemysłowych. Kolosalne kompleksy na Dolnym Śląsku, gigant metalurgiczny — Nowa Huta, zakłady chemiczne, kopalnie rud i huty oraz wiele, wiele innych.

Najbardziej imponujące są procesy rozbudowy i unowocześnienia zakładów bez zahamowania produkcji.

Największy w Polsce kombinat bawełniany im. Obrońców Pokoju w Łodzi (80 milionów metrów rocznie i eksport do 80 krajów). Oprawdza nas dyrektor, człowiek wielce rzecz-

WIKTOR WORONIN

niach maszyny. Trzykrotnie zwiększamy produkcję przy pięciokrotnie niższym zatrudnieniu. Dobry wynik, co? Rzeczywiście, dobry. To samo widzimy i w innych działach.

— Powiedźcie sami, towarzysze — doruża dyrektor — czy możemy pozwolić sobie na luksus zaprzestania produkcji i przez trzy lata zajmować się modernizacją?

Mocno powiedziane, i słowa te brzmią tym mocniej we wnętrzach przebudowywanych, a przecież pracujących hal. Dodać tu można niewiele: szybkie podniesienie wartości produkcji przy minimalnym użyciu środków materialnych i finansowych. Zaoszczędzone dobra będzie można spożytkować na potrzeby załogi: budownictwo mieszkaniowe i bazę wypoczynkową (kombinat prowadzi ośrodek nadmorski, z którego korzysta 6000 osób rocznie).

### DROGI I LUDZIE

Jedziemy po gładkiej nawierzchni. Polska posiada ich 130.000 kilometrów. Nasyconie nimi wynosi na 1 kilometr przeciętnie 0,4 km na kilometr kwadratowy, a miejscami jeden na jeden.



Fot. Włodzimierz Parys

## FUTUROLOGIA

# CO MYŚLA FUTUROLODZY?

W Nowym Jorku ukazała się niedawno książka pod tytułem „Futuryści”. W przedmowie redaktor książki, były profesor Cornell University — A. Toffler wyjaśnia, że nie chodzi o zwolenników modernistycznego kierunku w sztuce z lat 1920—1930, lecz o uczonych zajmujących się stawianiem prognoz. Jest to antologia obejmująca przede wszystkim pojęcie autorów amerykańskich, ale zamieszczono w niej prace dwu Anglików, dwu Niemców, z RFN, Japończyka, Francuza, Holendra, Hindusa i uczesnego radzieckiego. Artykuły te wzięto z książki, które ukazały się po roku 1960.

A. Toffler stwierdza, że futurologia zyskuje sobie coraz częściej pozycję w szkołach wyższych, powołuje się instytucje zajmujące się prognozowaniem, odbywają się międzynarodowe kongresy futurologów. Futurologia jest specjalnością wybitnie interdyscyplinarna. Futurologi to ludzie młodzi, przekonani, że przyszłość można kształtować, zamiast oczekiwać na ślepy los.

Dziedzina badań futurologów są między innymi skażenia otoczenia

przez działalność człowieka, odkrywają oni uboczne, nie zamierzone skutki industrializacji. Drugą — jest problem głodu, problem wzrostu zaludnienia ziemi. Groźba ta wisi przede wszystkim nad krajami słabo rozwiniętymi.

Futurologi pytają, czy można długo tolerować olbrzymią rozpiętość konsumpcji w krajach słabo rozwiniętych i w krajach zamożnych? Twierdzą, że należy unieść dostrzegając ujemne skutki technokracji.

Ich zdaniem — największej niepokojącej buntuje się przeciw zastanowieniu światu. Obserwują kryzys rodzinny. Narastanie konfliktów między starszym pokoleniem a młodymi. Następuje utrata wiary w dotychczasowe ideały. Przyczyną tego jest — zdaniem futurologów — wzrost tempa zmian.

Zachód przyjął tezę zmian stopniowych, ale młodzi gotowi są niszczyć wszystko, by zrobić miejsce nowemu. W poglądach na tempo zmian społeczeństwo dorosłych różni się od świata młodych. Młodzi chcą iść własnymi drogami i dlatego nie przejmują od starszych gotowych wzorów. Nowa

kultura, którą kształtują młodzi, ma charakter otwarty, jest chłonna, nakierowana na przyszłość.

Ta nowa kultura — piszą autorzy omawianej książki — dzięki silnemu wzrostowi środków przekazu staje się coraz bardziej ogólnosiwiatową. Zacieśnia się lokalne odrębności. Kultura miejska jest coraz bardziej uniformistyczna, kosmopolityczna. Drugą cechą nowej kultury jest jej społeczny charakter. Nowa kultura żyje pod hasłem koegzystencji różnych systemów, różnych ustrojów. Nową kulturę cechuje wzrost informatyki, kodyfikacja ludzkiej wiedzy.

Wzrost automatyki powoduje zanik roli pracy fizycznej na rzecz pracowników wysoko wykwalifikowanych. Automatyzacja pociąga za sobą lepszą i szybszą informację. Jesteśmy dopiero na początku drogi do automatyzacji.

Revolucja techniczna rodzi potrzebę gruntownej rewizji programów szkolnych. Muszą odpasć dotychczasowe, archaiczne przedmioty nauki szkolnej. Inaczej uczeń nigdy nie zrozumie zasad cybernetyki. Automatyzacja oznacza wielki skok w dziedzinie techniki,

a komputery pomnażają nasze możliwości poznawcze. To wszystko powoduje potrzebę innego spojrzenia na sprawy kształcenia młodzieży.

Inaczej dziś też trzeba patrzeć na sprawy regionalizmu światowego. Dawny rozwój rynku krajowego powodował wewnętrzne scalenie narodów. Dziś wchodzą w erę ekonomiki światowej, światowych zależności, powiązań współzależności. Autorzy są przekonani, że ruch integracji europejskiej został jedynie przyspieszony przez wynik drugiej wojny światowej, był on koniecznością. Integracji sprzyja również rewolucja techniczna.

Dawniej ideałem był uniformizm, standaryzacja. Dziś, dzięki automatyzacji, możliwe jest tolerowanie wielorakości, urozmaiceń, gdyż wymaga wielu i wielorakich powiązań. Wszystko, co w swej budowie jest skomplikowane, w użyciu może mieć różnorodne zastosowanie. W erze wczesnej industrializacji człowiek jest niewolnikiem maszyny, teraz staje się artystą, współtwórcą.

Dziś też aktualne staje się hasło humanizacji techniki.

Świadomy — zdaniem autorów omawianej książki — postęp zastąpić czekanie na lepsze jutro. Nowym czasem musi odpowiadać nowa świadomość. Ta świadomość coraz częściej wychodzi poza jedną specjalność. Technokracja jednej specjalności nie dostrzega różnorodnych skutków nowości technicznych, społecznych, kulturalnych. I dlatego powstaje potrzeba powoływania „fabryk myślenia”, zespołów róż-

nych specjalności, aby móc uniknąć jednostronności i ciasnego spojrzenia. Takie instytucje powstają już w Stanach Zjednoczonych, zaczęło wojsko, za nim poszły różne wielkie firmy, które teraz zatrudniają etatowo futurologów. „Weszliśmy na drogę, po której już dawno kroczyli marksiści” — pisze jeden z autorów i sądzi, że UNESCO miałoby poważną rolę do odegrania w tym względzie. Właśnie ono powinno tworzyć „fabryki myślenia”.

Futurologia jest dziś taką nauką, jak np. astronomia. Pierwszy kongres futurologów odbył się w Oslo we wrześniu 1967 roku. Rzucono wówczas hasło przewidywania i planowania z udziałem mas, przeciwstawiając się elitarnym tendencjom wśród technokratów. Zachód zarzuca ZSSR przewagę industrializacji w radzieckich planach wieloletnich. Nauka radziecka ze swej strony zarzuca futurologom Zachodu zbytby powiązanie z imperialistycznymi planami Pentagonu, krytykując jednocześnie uczonych Zachodu za twierdzenie, jakoby kapitalizm był zdolny do przeobrażeń i udoskonalenia. Uczeń radziecki są przekonani, że dystans, jaki istnieje między dochodem przypadającym na jednego mieszkańca Stanów Zjednoczonych, a dochodem mieszkańców reszty świata będzie się zmniejszał w tempie znacznie szybszym niż to sądzią futurologi zachodni.

JÓZEF DUTKIEWICZ



Opinia architektoniczna Łodzi z uczuciem zadowolenia i ulgi przyjęła do wiadomości spontaniczną obietnicę Jacka Indelaka (Odgłosy 884), że na łamach łódzkiego czasopisma „spór się już nie toczy” o to, co w Łodzi należy wyburzyć a co nowego zbudować, a tylko nad tym, jak i kiedy burzyć i jak budować. Może wreszcie ujrzymy w Łodzi to, o czym myślało wielu marzylieli, zintegrowaną ze sztukami plastycznymi architekturę.

1.

Prezydent Francji uważa wyburzenie Halles Centr. za ciężki grzech, a prostytutki-za okropność. Jeszcze inni będą mi służyć interpretacją polityczną i sugerować remedia polityczno-urbanistyczne. Można by również wspomnieć o różnych jednostkach roboczych różne kariery. Nawet bardzo pracowity paryżanin — guide d'une excursion trudno powstrzymuje się od uśmiechu, szukając jakiegoś usprawiedliwienia by uzasadnić narodziny ultranowoczesnej dzielnicy Defense Zła lokalizacja — sam stwierdza — tradycyjny krajobraz Champs Elysées upstrzone „budynkami stulecia”; a właściwie zniknęło całe napięcie widokowe panoramy Paryża wywołane kiedyś wieżą Eiffla.

Teren hal targowych powracał mi w pamięci. I zdałem sobie sprawę z faktu, że marzenia nie mogą trwać wiecznie. Wierzyłem, że gdy powrócę na Piotrkowską, odszukam w wykopalskach domowego gniazda kasztany, kupione na targowisku swego czasu w „Paryskich Halach”. Dziś mają one wartość pamiątki.

Architektura ma ścisły związek z charakterem stosunków między ludźmi, z charakterem umowy człowieka z człowiekiem. Tak myślałem idąc w stronę grobu Napoleona w Hôtel des Invalides. I rzecz dziwna, skłonność do poznania wielkich tajemnic, niemal doprowadziłyby mnie do ofiary.

Spojrzałem na zabytkowy budynek — z wymownie zamkniętymi okiennicami. Biała karteczka, wyrwana z notesu, była przyklepiona do drzwi wejściowych. Zbliżyłem się do bramy. Nagle, tuż za plecami, charakterystyczny grzyt zamka broni maszynowej. Znieruchomiałem.

Otoczyli mnie policjanci, usiłując odgadnąć sens moich irracjonalnych ciągów do podglądania strzeżonego gmachu. Ambasady chilijskiej!

Zwykła ciekawość — mówię — łatwostępny skrawek papieru, informacja. Rozumie Pan? I stwierdzam, spokojnie. — Czy ja mógłbym, panie kapitanie, podłożyć bombkę pod ten zabytkowy pałacyk, w sąsiedztwie Grobu Napoleona? Czy wyglądam na takiego zamachowca?

Nikt w owej chwili nie mógł tego autorytatywnie stwierdzić. Rozegrałem spotkanie w sposób dwuznaczny. Całą energię koncentrując na wysi-

kach łagodzących napięcie pomiędzy nami.

Wycofali się. Niemniej długo będę pamiętał okoliczności zatargu konserwatorskiego i nazwę placu Chile. Właśnie „lmona” ulic, placów i pałaców, hoteli i restauracji z pietyz-

## W PARYŻU GROMIA GŁÓWNEGO ARCHITEKTA AŻ DUDNI...

ANTONI SZRAM

mem i pomysłowością przez Francuzów dobrane, powtarzane tylekroć na planszach w metrze, reklamach, informatorach, w PARISCOPIE stwarzają pełne złudzenie prawdy.

Trzystumetrowej wieży nie projektował inżynier Eiffel, lecz inżynier A. Koechlin i architekt Sauvestre. Eiffel, co prawda, realizował to doskonale dzieło inżynierii XIX w. Wiadomo, że koniec wieńczy sława. Gustave Eiffel triumfował — okazją do tego była „brzydka żelazna wieża”, zbudowana dla uświetnienia wystawy paryskiej w 1889 r., zorganizowanej w setną rocznicę zdobycia Bastylii.

Projekt budowli wywołał burzenie najwybitniejszych współczesnych pisarzy, artystów i architektów, jak Garnier, Gounod, Bonnat, Maupassant czy Zola. List otwarty do Komisarza Wystawy Alphanda opublikowali w „L Temps” 14 lutego 1887 roku.

„...my pisarze, malarze, rzeźbiarze, architekci, zapaleni miłośnicy piękna Paryża, nie tkniętego dotychczas, protestujemy ze wszystkich naszych sił, w imię dobrego gustu Francuzów, przeciwko budowie w sercu naszej stolicy, bezużytecznej i brzydkiej wieży Eiffla, że opinia publiczna (nie pozbawiona na ogół zdrowego rozsądku i poczucia sprawiedliwości) ochrzciła ją już złośliwie „Wieżą Babel”... żeby zdać sobie sprawę z tego, co nas czeka, trzeba wyobrazić na chwilę taką dziwną zawrotną wysokość wieży, która wznosi się nad Paryżem, jak olbrzymi i ciemny komin fabryczny, a obok tego wszystkiego upokorzone zabytki, wszystkie budowle, które stają się małe i nikną w tym zdumiewającym widziale sennym. I przez 20

lat będziemy mieli jak nienawistny cień żelazną kolumnę, która jak plama atramentu rozlewać się będzie nad miastem”.

Okolo siedemdziesięciu lat później paryżanie reagują podobnie, skarżąc się, że historyczny pejzaż Pól Marsowych

innymi głównymi ulicami ukrywa się metro. Cały ten układ komunikacji kolowej jest czysty i logiczny. Paryżanie nie zezwalają na jego zakłócenie. Miłośnicy pogodzenia architektury nowoczesnej z zabytkami przeszłości biją na alarm zawsze w obronie za-

przecina w perspektywie „superżelazobetonowiec „czarny silos z Montparnasse”. Znajdują wiele gorzkich słów dla określenia tej nowej formy — znaku fizjonomii Paryża. Trudno o jakies pretensje do Głównego Architekta miasta Paryża. Każdy turysta chce ratyfikować swą własną umowę z miastem ofiarowanym mu przez historię. Jedno jest pewne, że na sercu Paryża aktualnie dokonuje się skomplikowanej operacji. Pozostaje tylko myśleć o rodzaju aspiracji architektów, władzy, pieniądza, pozycji społecznej inwestorów. Zadanie obecnie najistotniejsze to ochrona zagrożonych walorów kulturowych miasta. To sprawa właściwego kształtowania nowej architektury w środowisku historycznym.

2.

W Łodzi nowa forma architektoniczna ujawniła się na ulicy Głównej jako autonomiczny widokowy znak plastyczny. Również to doświadczenie urbanistyczne ma swoje źródło w aktualnych w owym czasie tendencjach psychologicznych i aspiracji ludzi przeprowadzających pierwszy konkurs na projekt przebudowy śródmieścia.

Budowa łódzkiego metra budzi wiele refleksji, dotyczących podejścia do spraw kształtowania tras komunikacyjnych. I chyba dlatego trzy popołudnia przeznaczyłem na jazdę non-stop paryskim metrem. Budowę tuneli w obrębie ośrodka ogólnomiejskiego podporządkowano wytycznym wynikającym z planu sieci ulic. Pod Avenue des Champs Elysées i wielu

groźnej tradycji. Książka Georges Pillement „Paris poubell” (Paryż-koszmar na śmieci) jest tego najlepszym przykładem. A odzwierciedleniem kompromisów rozwiązań urbanistycznych jest choćby pomnik Adama Mickiewicza (dłuta Bourdelle'a), który znajdował się zrazu pośrodku Place de l'Alma, obecnie z tego powodu przesunięty o kilkadziesiąt metrów w stronę Pont des Invalides.

Warto się chyba zastanowić, jakie będą spełniające ambicje i nadrzędne dążenia jednostkowe budowniczych łódzkiego metra. Czy mieszcząc się w tym co nazwiemy „stylem łódzkim” okresu nadchodzącego? Można przypuszczać, że nie zabraknie wiary w nasze możliwości. Choć wiem, że tunel pod Piotrkowską nie wchodzi w rachubę. Projekt łódzkiej inżynierów jest umiarkowaną koncepcją powiązania warunków topograficznych z możliwościami gospodarczymi w jednolitej całości.

Łódź wskutek warunków, w jakich powstała, nigdy nie nabrała cech doskonałości: było to zawsze jedną z atrakcji tego miasta. Atrakcji, trzeba powiedzieć nie dość humanistycznych. We włókienniczej metropolii istnieje obecnie struktura społeczeństwa rozwiniętego. Ale co z tego? Spójrzmy tylko krytycznie na sytuację, jaką prezentuje nam, neony, architektura wnętrza sklepów przy ul. Piotrkowskiej. Sytuacja to alarmująca i mówienie o problemach wyjścia z niej jest koniecznością. Bo na Avenue des Champs Elysées dopiero salony z ciuchami i autami to istne galerie sztuki, prawdziwe świątynie Merkurego.

Prawie każdy już chyba wie, iż w

Łodzi tworzą wybitni artyści plastycy. Okazją do wiedzy była „Panorama XXX-lecia PRL — Łódź i Ziemia Łódzka” urządzona w Warszawie. Nasuwa się pytanie: jaką rolę spełniają artyści i plastycy, skoro tyle aranżacji witryn i wnętrz sklepowych bywa, na przekór temu, prowincjonalnych, oderwanych od tego co nazywamy sztuką użytkową-popularną — po prostu bywa sztuką przeciętną. Trudno w tej chwili powiedzieć, jakie rzeczywiste wartości pozostają w kulturze łódzkiej po lokalnej awangardzie; i czy manifestacja plastyczna dokonana w Muzeum Narodowym w Warszawie — wystawa pn. „Tendencje w sztuce łódzkiej” — okaże się dostatecznie mocna, żeby jakoś odnowić lub przemienić środowisko kulturalne w ogóle.

Niewątpliwie nobilitacja łódzkiej architektury XIX w. a zwłaszcza historyzmu i secesji ma częściowo swoje źródło w chęci znalezienia tożsamości Łodzi — relacji pomiędzy tym, co jest zastale — a najbardziej nowoczesnym. Twierdzi, że z biegiem lat staną się te tendencje istotne, jeżeli nie naczelne w kształtowaniu architektonicznym otoczenia człowieka, mieszkańca rejonu placu Wolności czy placu Zwycięstwa. Może stanowić to następny krok w kierunku objaśnienia podstawowych problemów przebudowy Śródmieścia, które wskutek niedostatecznego jeszcze dziś ich rozpoznania, stają się wciąż przedmiotem wielu pomyłek i zatargów.



Fot. Archiwum

## SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



### TADEUSZ GICGIER

Tadeusz Gicgier urodził się 19 września 1927 roku w Łodzi. Debiutował jako student UŁ w antologii młodych poetów łódzkich — „Różnie idąc”, wydanej przez Koło Polonistów Uniwersytetu Łódzkiego w roku 1948. Po debiucie ukazywały się okazjonalnie raczej jego wiersze i drobne utwory satyryczne. Dopiero w latach 1954, a następnie 1955/56 opublikował wiersze w almanachach literackich wydawanych przez „Iskry”. Na ten okres przypadło też większe nasilenie publikacji prasowych i radiowych jego utworów poetyckich. „Garsć ziemi” to debiut książkowy Tadeusza Gicgiera. Książka ta ukazała się nakładem „Iskier” w roku 1957. Z kolei wydał on w Wydawnictwie Łódzkim w roku 1961 tom wierszy — „Wyjmij mnie z czasu”. W dwa lata później w tymże wydawnictwie opublikował książkę satyr i fraszek — „Moje boje”. W roku 1967 ukazał się tom opowiadań i mi-

niatur literackich — „Gorzkie wody”. „Zaczął się od legendy”, to następna książka Tadeusza Gicgiera zawierająca reportaże. Ukazała się ona w roku 1968. W tymże roku, także w Wydawnictwie Łódzkim, opublikował on kolejny tom wierszy — „Zimowy owoc”. Kolejna jego książka to tom satyr i fraszek — „Szkieleto i oko” opublikowany w Wydawnictwie Łódzkim w roku 1971 roku. Następną książkę — „Ziemia Białostocka” opublikował on w Wydawnictwie Lubelskim w roku 1971. Był to tom wierszy.

W roku 1969 ukazał się wydany przez PIW zbiór „Nie tylko dla mnie”, a w nim przekłady wierszy Güntera Kunerta plóra Tadeusza Gicgiera. Tłumaczył on także wiersze poetów austriackich. M. in. jego przekłady ukazały się w książce wierszy Georga Trakla wydanej przez PIW w roku 1973. Przekłady Tadeusza Gicgiera z poezji rosyjskiej możemy znaleźć m. in. w „Wierszach wybranych” — Gieorgija Piatnikowa, książce, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Przygotował on także przekłady wierszy azerbejdżańskiego poety Michaela Muszfiaka, które mają wejść do antologii, którą wydaje Wydawnictwo Łódzkie.

Godny podkreślenia jest fakt, iż Tadeusz Gicgier związany od przeszło

dwudziestu lat z radem opracował niezliczoną ilość audycji poetyckich, słuchowiska radiowe, audycje satyryczne i bardzo interesujące reportaże dźwiękowe. Para się on także publicystyką literacką. Pisał też utwory satyryczne i skecze dla „Teatru 7.15”; i STS „Cytryna”. Wreszcie długą listę utworów Tadeusza Gicgiera kończy szereg scenariuszy do filmów animowanych, zrealizowanych przez łódzką wytwórnię „Se-Ma-For”.

Obecnie przygotowuje się do druku następne książki Tadeusza Gicgiera. „Mała ojczyzna”, — tom reportaży z Ziemi Białostockiej, „Z różnych stron”, — książka miniatur literackich, „Kiedy się mówi A” — zbiór satyr i fraszek oraz tom wierszy — „Korzenie”.

Tadeusz Gicgier debiutował w roku 1948, należy więc do pokolenia, którego debiut był utrudniony. Może o tym świadczy fakt, iż na pierwszą samodzielną książkę musiał czekać do roku 1957. Lata po debiucie w antologii „Różnie idąc” były jałowe. Poeta publikował wówczas trochę utworów satyrycznych, lecz z liryką musiał czekać na bardziej sprzyjający czas. Jest to tym bardziej widoczne, że w wierszach Tadeusza Gicgiera — zarówno tych sprzed roku 1949, jak i tych które publikowane były w latach pięćdziesiątych — widzimy konsekwentne nawiązywanie do określonej tradycji. Był on mianowicie kontynuatorem poetyki skamandrytów. Przy czym trudno byłoby mówić o patronacie skamandrytów z przysługą, gdyż poezja Tadeusza Gicgiera na tle debiutów po roku 1956 stanowiła zjawisko odrębne i oryginalne, nacechowane wyobraźnią najlepszej próby. Niewolny od lęków przynależnych do pamięci ciężkie doświadczenia wojenne i współczesne zagrożenia był zawsze sobą, skłaniając się jak gdyby w stronę katastrofistów. Było to szczególnie widoczne w

tych tomach, jak „Garsć ziemi” czy „Wyjmij mnie z czasu”. Daleki jednak od tak modnej w owych latach rozpaczy łagodził czarne nastroje bądź przy pomocy groteski, bądź też łagodnej ironii. Żywił wyobraźni podany jest tu zawsze rygorowi tradycji wiersyfikacyjnej. Czasami w poezji Tadeusza Gicgiera widać wyraźnie chęć nawiązywania do ekspresjonizmu. Lecz jest to ekspresjonizm swoisty posługujący się czasami rekwizytami starożytnymi. To znów poeta nawiązuje do zwykłego bytowania człowieka starając się nadać najprostszym czynnościom codziennym walor poetycki. Wiersze to osadzone mocno w krajobrazie ojczystym, znaczone porami roku, z których także stara się wydobyć ich walory poetyckie. Urzekają szczególnie subtelne erotyki. Wiersze Tadeusza Gicgiera apelują również cennie do serc czytelników, jak i do umysłów, gdyż wiele spośród nich wyróżnia się niebagatelnym bagażem intelektualnym. Jeden walor tej poezji będzie szczególnie ważny dla mieszkańców Łodzi — ten mianowicie, iż w wierszach wyeksponowany jest krajobraz miasta.

Tadeusz Gicgier — przede wszystkim poeta liryczny w szerszych kręgach czytelnicy cieszył się zasłużoną zresztą sławą satyryka. Stało się to chyba za przyczyną większej popularności utworów satyrycznych. Uprawia on od wielu lat z powodzeniem fraszki, jest autorem wielu udanych limeryków i wierszy satyrycznych. W przebogatej twórczości satyrycznej bardzo często nawiązuje do tradycji poezji staropolskiej, a także XVIII-i XIX-wiecznej. Przy czym z równą swobodą posługuje się on dyskursywnie opowiedzianą poetycką anegdotą, jak i groteską. Niektóre wiersze czy szczególnie fraszki nabierają cech aforyzmu. Przy czym właśnie w satyrycznych wierszach Tadeusza Gicgiera

widać, jak ważną cechą dla jego poezji jest wierność tradycji w dziedzinie wiersyfikacji.

Zupełnie inny charakter mają reportaże Tadeusza Gicgiera. Odkrywa on w nich Ziemię Łódzką, ziemię o bogatych tradycjach historycznych, odsuniętą niejako w cień poprzez wyeksponowanie kolosa przemysłowego, jakim jest Łódź. Znajdujemy tu więc opisanie zarówno miejsc historycznych, jak i atrakcyjnych z punktu widzenia turysty. Autor z równie dociekliwą pasją odkrywa ślady pobytu na Ziemi Łódzkiej — Marii Konopnickiej, jak i walc stoczonych tu w roku 1939. Ukazuje ciekawe postacie działaczy regionalnych, którzy w jakże ciężkich niekiedy warunkach walczyli o zachowanie historycznej świętości zabytków. Właśnie to troczenie ludzi odnawia swoją ziemię nadaje rangę reportażom Tadeusza Gicgiera. Książka „Zaczął się od legendy” stanowi ważną pozycję w historii naszego regionu. Przeciwwstawieniem podporządkowania się niekiedy klasycznym regułom wiersyfikacji jest proza Tadeusza Gicgiera. Wiele jego miniatur bowiem nosi walory prozy poetyckiej. W większych opowiadaniach Tadeusz Gicgier tropi wytrwale codzienność we wszystkich najdziwniejszych jej przejawach poprzez to także nadając jej prozie walory poetyckie.

W sumie twórczość Tadeusza Gicgiera eksponująca zarówno walory wyobraźni, jak i intelektu autora, towarzysząca codzienności czytelnika, nadająca tej codzienności walory poetyckie jest przykładem twórczości zaangażowanej w sprawę ludzkie, a poprzez to bliska czytelnikowi.

JÓZEF HENRYK  
WIŚNIEWSKI



## KORESPONDENCJA Z ZAGRANICY

Po bardzo stromych schodach wchodzę do świątyni bogini Kali. Najpierw widać tylko czarny zupełnie prostokąt, pośrodku którego wewnątrz polyskuje jakiś obły przedmiot...

Kali — straszliwa bogini, której składano i składa się ponoć jeszcze tu i ówdzie krwawe ofiary z ludzi; pani lankąca krwi, zemsty, odwetu. Zona najważniejszego boga hinduskiego Panteonu — Boga Siwy, albo Szivy. Na Wyspie Stona pod Bombajem zobaczę później przepiękną rzeźbę w świątyni wykutej we wnętrzu potężnej skały przedstawiającej Sztywę o trzech obliczach.

Schody są niewygodne, trzeba wspiąć się coraz wyżej i wyżej, aż staje się w progu sanktuarium. Młody jeszcze, brodaty, o płonących oczach kapłan siedzi na podwyższeniu, zajmującym środek wnętrza świątyni i tworzącym jakby stół czy postument.

Kapłan ma pomiędzy brwiami umieszczony punkt namalowany czerwono, poświęcony ochrą — symbol oświecenia duchowego, tak zwane trzecie oko. Dziewczęta i kobiety w Indiach powszechnie dziś jeszcze stosują ten rodzaj ozdoby. Nie ma to nic wspólnego z tak zwanym „znakiem kasty”, jak się to u nas przypuszcza.

Przy wejściu do mrocznego wnętrza wisi wielki, spiżowy dzwon. Wierni, wchodząc, pociągają za sznur i wtedy świątynię napienia niski kląg. Stojąc zapatrzyony w kapłana, który właśnie udziela błogosławieństwa jakiejś kobiecie. Szepeć coś szybko, następnie z miseczki czerpie odrobinę ochry i z namaszczeniem naczyń czoło kobiety. Ona zaś chwilę trwa w bezruchu ze złożonymi modlitewnie dłońmi, a następnie wysuępuje jedną rupię i kładzie na tace. Chwilę jeszcze pozostaje

w rozmodnieniu, podnosi się i wychodzi, pociągając za sznur dzwonu... Znowu atakują nas niskie, dostojne tony...

Powoli wzrok przyzwyczajają się do mroku. Widzę teraz wyraźnie, że po-

imy Ghandiego. Kiedy 30 stycznia 1948 roku trafiła go kula Naturama Godse, człowieka, który pochodzący z najniższej kasty pariasów, sprzeciwił się gandhijskiej koncepcji likwidacji kast, wielki Mahatma zdołał powie-

zapoczątkował dynastię Chandelów, lokalnych władców środkowych Indii. Pierwszy był Harsha, o którym wzmianki pochodzą z 917 roku naszej ery. Każdy z kolejnych władców rozkazywał wznosić kolejne świątynie,

oparty o znajomość psychologii i fizjologii traktat, którego ogromne fragmenty do dziś nie straciły na aktualności. Całość sprowadza się do pouczenia, w jaki sposób człowiek może i powinien osiągnąć trzy cele swego życia: dharma — normy życia codziennego; artha — dobrobyt, moksza — wyzwolenie od bytowania i rozplynięcia się w Absolucję, a przede wszystkim własnie owa kama — czyli miłość rozumiana szerzej, nie tylko jako rozkosz fizyczna.

Rzeźby z Kajuraho (Kadżuraho), odnoszące się do tej ostatniej ilustrują sposoby zaspokajania żądy, przy czym nie ograniczają się one do tych, o których możemy dziś powiedzieć, że są powszechnie uznawane za dopuszczalne i moralne. Oglądając te rzeźby można dojść do wniosku, że Hindusi stosowali i zalecali każdy sposób kochania, jaki tylko jest możliwy ze względu na fizjologiczne i anatomiczne warunki człowieka lub... zwierzęcia. Wnioskuje się stąd, iż ówczesni Hindusi wysoko cenili sobie radość życia, choć traktowali jej osiąganie łagodnie, nie znając poczucia grzechu czy nieczystości...

Kilka postaci ilustrujących kama i dalej znów figury stoni w jakimś wojennym pochodzie, dalej jacyś ludzie, może żołnierze, i konie; w oddzielnym kasetonie, także wyciętym w dolomicie, przepiękna postać niebiańskiej tancerki. Dalej, jedna za drugą, zespoły rzeźby ilustrujących zastosowanie praktyk jogi w życiu seksualnym. A obok, na jakimś ołtarzu, z prawej i z lewej, w górę ku kopułom, stoją figurki tancerek we wdzięcznych pochyleniach.

Słońce zeszło już nisko nad horyzont. Cienie wydłużyły się, sylwetki świątynnych kopuł położyły się na starannie utrzymanych angielskich trawnikach. Już i mrok pokrywa wszystko. Koncert rozpoczynają cykady. Na tle granatowego nieba przemykają bezszelestnie nietoperze. Czerni się wejście do świątyni bogini Kali. Wewnątrz zapalono niewielką, oliwną lampkę. Dozory zamykają furtkę i po cichu gwarząc zaczynają swój obchód. Jarzy się tu i tam ogień papierosa.

Od wieków, w dzień i w nocy przychodzą tu ludzie, uciekając od przeciwności, od samych siebie, do światów przez siebie stwarzanych.

## MIŁOŚĆ Z KAJURAHO...

(Korespondencja własna z Indii)

JÓZEF POTĘGA

środku świątyni, na owym kolistym wzniesieniu, stoi wykuty z zielonkawego kamienia ogromny walec. Kolumna jest równo ucięta u wierzchołka i wyrasta z płaszczyny, na której siedzi kapłan. Naprzeciwko wejścia, na obelisku, wykuto jakiś znak, symbol, literę. Pytam przewodnika, co to takiego. Powiada, że jest to alfabetem sanskryckim w języku hindi napisane słowo „Om” — pierwszy dźwięk, który rozległ się po stworzeniu świata, co znaczy — „O Boże!” Przypominam sobie, że w Delhi jest miejsce, gdzie na stosie spłonęły zwłoki niepodległości tego kraju, wielkiego Maha-

dzień tylko „Oh Ram!” — „O Boże...” I to słowo wyryte jest na czarnej tablicy ułożonej wśród pięknych trawników i krzewów nad brzegiem Yamuny, tam, gdzie spłonęły na stosie jego zwłoki. Jakże wiele jest jeszcze spraw i problemów w tym ogromnym kraju, kiedy tylko westchnienie do bogów jest jakimkolwiek wyjściem...

Kładę na tace w świątyni Kali jedną rupię i kapłan maluje mi na czole między brwiami czerwony punkt poświęcony ochrą. Potem wychodzę ze świątyni na jaskrawe słońce. Po lewej stronie, za wysokim płotem z kolczastego drutu, stoją jak zabawki, jak kunsztowne klockowe piramidki, inne świątynie Kajuraho: ta największa poświęcona bogowi Laksmiana, zbudowana jak i dwadzieścia pozostałych, w przepięknym, niezwykle harmonijnym stylu karbeline, sprawiającym wrażenie, jak gdyby budowla po stopniach pięła się ku górze, ku niebu.

Wszystkie zbudowane są z żółtawo-pomarańczowego dolomitu, zwrócone charakterystycznymi, wysokimi kopułami, zbudowanymi z wykorzystaniem zasady konstrukcyjnej piramidy. Na górze, tuż u szczytu — koło wędzy i mądrości, coś co przypomina wielki tryb, albo raczej kryzę, noszoną kiedyś w Europie na dworach...

Historia powstania tych świątyni, których wzniesiono ponad dziewięćdziesiąt, owiana jest piękną legendą. W pewną letnią noc księżniczka Hemawati wyszła nad staw, gdzie kwitły lotosy. Tam — naga — weszła do wody, aby wypocząć i zażyć kąpeli. Była przepiękna, miała szesnaście lat i, jak pisał autor mitu: „wyglądała jak nimfa”. Ujrzał ją przyjaciel Iliototus, bóg-Księżyc. Spłynął na ziemię na strzałę miłości i kochał się z księżniczką. O świecie dziewczyna zaczęła prosić boga, by się z nią ożenił. Mówiła, że teraz, zhańbiona, nie znajdzie wśród ludzi szacunku.

Na to bóg rzekł: „Dam ci przepowiednię. Nad brzegiem rzeki Karnavati urodzisz syna. Zaniesiesz go do Kajuraho, złożysz w świątyni ofiarę. Gdy syn dorosnie, stanie się wielkim władcą, założycielem potężnej dynastii. Odkryje kamień filozoficzny, pozwalający żelazo zmieniać w złoto. Na wzgórzach Kalinjar zbuduje fort...” I tak się stało. Syn boga-Księżycy

zdołał być wspaniałymi rzeźbami przedstawiającymi sceny z życia bogów, bogiń, niebiańskich tancerek Apsara i duchów pozaziemskich, władców, ludzi zwykłych, zwierząt, ptaków...

Rzeźb kilkunastocentymetrowej wysokości są dziesiątki tysięcy, przy czym każda świątynia zbudowana jest symetrycznie: na ścianach z prawej strony jest taki sam zestaw rzeźb jak i z lewej.

Trudno to wyrazić słowami: są po prostu przepiękne, filigranowe: tancerki we wdzięcznych pozach, ślicznie wygięte w biodrach, ubrane zwiewnie. Oto para bóstw: on w strojnym nakryciu głowy, wysokim przypominającym tiarę, z przepięknymi naszyjnikami pereł splotającymi na tors, lewą ręką obejmując ją nieco powyżej nagiej kibiści, gestem pełnym gracji. Ona, niebiańska tancerka, może bogini, zapatrzona w swego partnera-małzonka, garnie się doń gestem pełnym miłości i oddania.

Inna rzeźba: oto słoń chwycił trąbę człowieka i zaraz uniesie go w górę, by rzucił na ziemię i rozdeptać. Troki od uprząży, zakończone bujnymi chwastami, rozwiewają się w pełnym ekspresji ruchu.

Cuda w kamieniu! Niektóre uszkodzone przez wandalów, mimo iż w dzień i w noc świątynie otoczone kolczastym drutem są dodatkowo pilnowane przez strażników. Dziesiątki tysięcy rzeźb, setki tysięcy figur, postaci, detali. Trzy wieki trudził się majstrów budując te cacka. Kilkanaście już wieków zachwyceni zwiedzający stają oniemiałi, składając hold ludzkiemu geniuszowi...

Wróćmy do Kajuraho. Rzeźby o treści erotycznej, które można tu spotkać wśród tysięcy innych, stanowią ilustrację słynnego poematu Kama Sutra (Nauka o Uprawianiu Miłości), napisanego podobno przez niejakiego Walsajana w IV wieku naszej ery:

„Niechaj będzie pochwalona Cnota, Dobrobyt i Miłowanie, jako że stanowią one przedmiot tej nauki. I wobec tego niech także będą pochwaleni uczeni, którzy wyłożyli jej zasady” — pisze autor.

Kama Sutra składa się z siedmiu części, a te z 36 rozdziałów, które są wyłożone w 125 wersach. Jest to w gruncie rzeczy bardzo wnikliwy,



Foto: J. Potęga



Foto: J. Potęga

## PLASTYKA

Pisał Tuwim w jednym ze swoich wierszy:

I nie nie wiem, i nie nie rozumiem, i wciąż wierzę biednymi zmysłami, że ci ludzie na drugiej półkuli muszą chodzić do góry nogami.

Kiedy oglądałem wystawę Ryszard Winiarskiego w Salonie Sztuki Współczesnej, potrzebna mi była wiara Poety, że „ci ludzie na drugiej półkuli muszą chodzić do góry nogami”. Musiałem w to chodzić do góry nogami wierzyć, bo w przeciwnym razie wystawa byłaby do końca nie obejrzała. Nie tylko dlatego, że jest nudna...

Tytuł wystawy Winiarskiego brzmi: „Próby wizualnej prezentacji rozkładów statystycznych”. W katalogu tytuł ten napisany jest również po angielsku: „Attempts of visual presentation of statistical lay-outs”. Po angielsku tytuł bardziej mi się podoba, niż po polsku. Może jeszcze bardziej podobalby mi się, gdyby był napisany po hiszpańsku.

Autor wystawy w 1959 roku złożył dyplom na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej na Politechnice Warszawskiej. W 1966 roku — dyplom na Wydziale Malarsstwa ASP w Warszawie, w pracowni Aleksandra Kobzdej. Drogi człowieka do sztuki bywały różne. Czasem są to drogi bardzo kręte, komplikowane, nieproste, czasem przypominają szlak stauki, po busie którego podłożono siekiere. Drogi proste

nie zawsze są drogami najkrótszymi. Nie zawsze też dają gwarancję, że doprowadzą do miejsca, do którego chciałoby się dojść. W ogóle w sztuce żadna okoliczność ani żaden fakt nie stwarza gwarancji. Ale im większa świadomość braku gwarancji, tym droga trudniejsza. Może dlatego tak trudno robić sztukę. Może dlatego tak wielu twórców nosi pod nozkiem (albo pod sercem) siekiere.

Winiarski wyznaje w swojej wypowiedzi pomieszczonej w katalogu:

„Wiosną 1972 roku udało mi się przedmówić jedną z sal w Galerii Współczesnej w Warszawie w swisty „salon gier” towarzyszący wystawie moich prac. W wyniku gier rozgrywanych przez publiczność na planszach, powstały białe-czarne lub kolorowe układy elementów za każdym razem inne, zawsze stanowiące rezultat innego przebiegu gry odbywającej się według określonych, narzuconych przez mnie reguł. Uważam, że było to ważne wydarzenie w moich ośmiolatkich próbach i doświadczeniach, gdyż „salon gier” pokazywał w uproszczonej postaci zasady moich działań, stając się jednocześnie jakby tych działań uogólnieniem...”

Gdybym miał pieniądze, jeździłbym do salonów Monte Carlo pograć sobie w różne gry. Nie posładam dużej ilości pieniędzy, zatem zmuszony jestem chodzić na wystawy Winiarskiego. Ale „salon gry” Winiarskiego nie jest salonem „eleganckim”, a zwykłą szulernią; proponuje mi się tu nie grę fair play, a grę znaczącymi kartami. Ja

przychodzę w poszukiwaniu sztuki, a Winiarski proponuje mi:

„skonstruowanie rozkładu statystycznego elementów z rozkładem równomiernym, pojawienie się trzeciego wymiaru, a wraz z nim penetrowanie przestrzeni rzeczywistej, wycieczki w stronę przestrzeni iluzorycznej i próby stosowania perspektywy, wprowadzenie czynnika zmienności mechanicznej w zbiór elementów...”

Mechanika precyzyjna nigdy mnie nie interesowała, chyba że zepsuł mi się zegarek i musiałem oddać go do zegarmistrza. Sztuka interesowała mnie zawsze, niezależnie od tego, czy zegarek mój chodził punktualnie, czy też spóźniał się o minut piętnaście.

Do czasu Winiarskiego używano do prokurowania obrazów: pedzeli, farb, rowców, ręk, stóp, nagich ciał dziewcząt itp. Winiarski używa kostki do gry, monet (orzeł czy reszka?) ruletki, komputera. Osobiście jestem za cyklistami i ciałami gołych panienek (niechby już były pomalowane, byleby ładnie były). Z uprawiania sportu korzyści wiadome; z obcowania z ciałami (gołymi) panienek — wiadome przyjemności. Jaka przyjemność ma Winiarski, grając sam z sobą, nie wiem. A musi grać sam z sobą, bo przecież do „takiej ruletki”, do „takich kości” nikt z nim nie zasiądzie. Chyba, że będzie grał z komputerem. Ale komputer, to nie żywy człowiek, a partner zaprogramowany. Żywego przeciwnika można w kości orznąć. Wynik gry z komputerem zależy od zaprogramowania tegoż; moż-

na komputer tak zaprogramować, że będzie grał jak noga stolowa, albo też odwrotnie. Komputer nigdy nie będzie równorzędym partnerem, bo jest tylko maszyną. Sztuka robiona przez maszynę jest dla maszyn, nie dla ludzi. Dla kogo jest sztuka robiona przez kości do gry?

Robienie sztuki rowerem wymaga kondycji. Robienie sztuki nagimi panienkami, pomalowanymi na różne kolory i odciskaniymi na płótnie też czegoś wymaga. Robienie sztuki pedzlem i farbami wymagało talentu. Robienie sztuki ruletką zwalnia od myślenia, wymaga więc pewnych predykcji psychicznych. Jedni ludzie lubią (niektórzy nawet muszą) posługiwać się szarymi komórkami, inni — nie. Nie oznacza to wcale, że posiadacz Winiarskiego o niemyślenie. Winiarski może myśleć (może nie — nie wiem); kogo zainteresuje po obejrzeniu jego wystawy to, o czym myśli, chociaż wystawa stwarza pozory, że Winiarski myśli bardzo intensywnie i precyzyjnie? Staram się nie ulegać pozorom.

„Ostatnie prace (Winiarskiego — przyp. A.G.) to szereg przemyśleń i prób, które od pojedynczego elementu, poprzez zbiór elementów prowadzą do koncentracji w zbiorze poddanym takim regułom, jak symetria, gradacja walorów, kolorów itp., aż do pewnych wartości, znaczeniowych uzyskiwanych poprzez taką czy inną koncentrację elementów. Interesujące wydają

się także inne wyprawy w niezgłębione regiony sztuki obiektywnej, w których warto jako dewiza przyjąć myśl najtrafniej wyrażoną już dawno przez Tadeusza Pełperę (1922): „Organiczność, znana nam najlepiej z fizjologii, stanie się inspiratorką konstrukcji artystycznej. Dzieło sztuki będzie zorganizowane społecznie. Dzieło sztuki będzie społeczeństwem”. Taka dewiza otwiera szerokie szanse budowy pomostów między życiem, nauką, techniką i sztuką”.

Taka dewiza niczego nie otwiera, a przeciwnie — wszystko zamyka. Na kilka spustów Marek Zulawski powiedział kiedyś, że każda sprawa doprowadzona do ostatecznych logicznych konkluzji staje się absurdem. Logika czystego malarstwa prowadzi w prostej linii do płótna, zamalowanego gładko jednym kolorem. Taki obraz spełnia pewną funkcję dekoracyjną — ale jest to pomniejszanie zadania, jakie sztuka ma do wykonania.

ANDRZEJ CIJUN

P.S.

A ci ludzie na drugiej półkuli muszą chodzić do góry nogami! Bez tego nie istniałaby sztuka. Ale jeżeli oni rzeczywiście nie chodzą do góry nogami, to „szulernia” Winiarskiego ma szansę...



„Wam najwięcej dano i od was się najwięcej będzie żądało. Czekamy. Ustupujemy i cofamy się w należytych okolicznościach na wskazane losom pozycje. Na was kolej!”  
Słowa te, autorstwa wybitnego krytyka i satyryka, którego start literacki przypadł na okres Młodej Polski, Adolfa Nowaczyńskiego (1878–1944), zamykały głosny w owym czasie (1921 r.) szkic pt. „Skamander polska, wiślana świeżość się fala...” Już sam tytuł (zaczepiony z Wyspiańskiego), pełen poetyckiego uroku, sugerował, iż ufnym i pogodnym okiem spozierał autor „Małpiego zwienciadła” na pierwsze kroki skamandrytów, czemu dał wyraz w treści owego eseju, jakkolwiek nadzieje swe obwarował wieloma zastrzeżeniami. Z kolei tytuł niniejszego artykułu świadczy o pewnej rezerwie i dystansie uczuciowym autora wobec metamorfoz ideowo-artystycznych grupy poetów — założycieli „Skamandra”.

Pamiętajmy wszakże o atmosferze tamtych lat, o huraoptymistycznych nastrojach znacznej części społeczeństwa, witającej narodzin Drugiej Rzeczypospolitej. Winniśmy więc oddać część uczuciom minionych pokoleń — zaiste rzecz to zrozumiała — ale ów szacunek nie uwalnia nas od krytycznego spojrzenia, waloryzowania treści, jakie zaferowało nam w spadku zaranie nowej Polski, tym bardziej że skamandryci uważali się za wyzwoleńców i nastrojów epoki, a wielu ówczesnych krytyków szeroko (tuteż głęboko) mniemanie to uzasadniało.

Co zatem będziemy rozważać? Czy „Skamander”, jako pismo ukazujące się w l. 1920–28 i 1935–39, które było magazynem najróżniejszych tendencji artystycznych? Czy też tropić zamierzamy jedną wspólnotę światopoglądową i artystyczną głównych poetów: Iwazkiewicza, Lechonia, Słonimskiego, Tuwima i Wierzyńskiego? A może śledzić winniśmy losy twórcze każdego z osobna? To tematy na obszernie rozprawy. Trzeba przede wszystkim zdecydować się na jedno pytanie, ułatwiające nam modelowanie zjawiska i tym samym je upraszczające: czy spełnili skamandryci nadzieje w nich pokładane, np. przez „Nowaczyńskiego”? Wpierw ustalmy, kim oni byli, jakiego rodzaju tworzyli grupę poetycką i jakie przesłanki spowodowały jej powstanie.

Już od samego początku istnienia grupy poprzez gromkie fanfary pochwalne przebiegały się głosy krytyki. Najbardziej liczą się w tym względzie uwagi Karola Irzykowskiego oraz poetów Awangardy Krakowskiej, którzy — jak w przypadku Przybysia — ustawicznie zwalczały „gust” skamandrycki przez dziesiątki lat. Nie bez powodu opatrzyłem cudzymi słowami wyraz gust, jako że pojęcie owo w odniesieniu do Skamandra — grupy nie daje się łatwo spreycować. Wynika to z „programowej” bezprogramowości — naczelną dewizę interesującej nas grupy. W grudniu 1919 roku w sali Towarzystwa Higienicznego w Warszawie odbył się wieczór autorski skamandrytów, poprzedzony przemówieniem Lechonia, wydrukowanym następnie w pierwszym numerze miesięcznika. Warto zacytować fragmenty wystąpienia dwudziestoletniego wówczas poety, chociażby i z tej racji, że są jedynym obok „Słowa wstępnego” do „Skamandra”, również pióra Lechonia, dokumentem założycielskim grupy.

„W tym tkwi trudność, że każdy pisarz uważa słuszną za swój klejnot najszlachetniejszy i legitymację przed społeczeństwem to właśnie, co go od innych odróżnia — na pojęcie literatury składa się suma indywidualności. (...) Nie nasza jest rzecz zakreślać lub przesuwać szczyty każdego z nas; łączymy się prawem pewnego minimum talentu i — o co właściwie chodzi — prawem duchowego pokrewieństwa. Od tego szalenie daleko, nawet nie tędy droga do programu i formulek estetycznych, nie chcemy też piętrzyć spraw formalnych o literaturze, w tym właśnie wypowie się swoboda talentu fantasmagorie i przywidzenia poetów. (...) I pamiętajmy przede wszystkim, co po-

wiedział kiedys dobry nauczyciel, Stanisław Brzozowski: „tam wszędzie, gdzie styka się pierśią w pierś moc ludzka, stwarzająca siebie, z wielkim nieznanym czynu, tam, gdzie się rodzi

życie — tam jest Polska, jest siła, przyszłość”. W tymże samym numerze, w „Słowie wstępnym” pokusił się Lechoń o uzasadnienie skamandryckiej bezprogramowości, powołując się na przykład Kolumba, który nadprogramowo odkrył Amerykę. Następnie złożył wyznaczenie wiary, będące afirmacją powszechności i teraźniejszości. W tym ferworze optymistycznych haseł pojawiają się zdania, mówiące o obowiązku moralnym wobec twórców romantyzmu, o spełnieniu ich zapowiedzi i ideałów. Wszystko jednak ma być podporządkowane chwili obecnej: „Wierzymy więc w dzień dzisiejszy, w jego wartość, osłabłość i powagę, wierzymy we wsłaniającą nową sztukę, która będzie krzykiem tego pokolenia, a świadectwem o nas przed potomnymi, żeśmy naprawdę byli. Wierzymy niezachwianie w wieczność naszej teraźniejszości, w nieskończoność skończonych duszy ludzkiej, w nieprzemijanie przelotnych słów, w niezniszczalność kruchych kształtów. (...) Nie kusj nas kszonziejstwo, nie pragniemy nikogo nawracać, ale chcemy zdobywać, porwać, zapalać serca ludzi, chcemy być ich śmiechem i płaczem...”

Czy jest to program artystyczny lub ideowy? Co nowego wnosi do poezji polskiej? Wystąpienie Lechonia spotkało się z ostrą ripostą ze strony Karola Irzykowskiego w artykule „Programofobia” (1920 r.). Brak spreycowania programu poczytał krytyk za „objaw małoduszności”, który w konsekwencji prowadził do tego, że „w polskiej literaturze są tylko arcydzieła, ale nie ma literatury w znaczeniu ruchu literackiego, który zuchwale pozwala sobie na wytykanie własnych celów i przez to osiąga własne zlszczenia lub dorabia się własnych błędów”. Posiadać własny, skryształowany program znaczy — zdaniem Irzykowskiego — sytuować się w historii, opowiadać się wobec prze-

życiu i teraźniejszości, wybierać tradycję kulturową. Skamander nie zdołał panować nad chaosem estetyczno-poeciowym, jaki nastąpił po epoce modernizmu. Biernie mu się poddał, a nawet go afirmował, widząc w nim uosobienie wszelkich sił naturystyczno-witalnych. Wystarczy sięgnąć po pierwsze dwa zbiory wierszy Wierzyńskiego („Wiosna i wino” oraz „Wróble na dachu”) czy „Sokratesa tańczącego” Tuwima, by się o tym naucecznie przekonać.

Wracając do wypowiedzi Lechonia, zwróćmy uwagę na to, że stanowi ona początek dialogu z estetyką dekadentyzmu, przy czym dyskurs to bardzo powierzchowny. Lechoniowska deklaracja wyzbyta jest wszelkiej argumentacji, odwołan do konkretów. Nowym jej po-lega przede wszystkim na rehabilitacji uczuć i wrzuceń powszednich. Zrywa z artystostwem na rzecz naturalności i prostoty, kieruje się w stronę „prostego człowieka”, który stał się bohaterem wielu tuwimowskich wierszy. Deklara-

wny znajdować się w mózgu poety pewne stałe odpowiedniki pojęciowe. Tych stałych pojęć Słonimski nie ma — przeto najmniejszej nie może mieć pretensji do nazwy filozofa i myśliciela, chociażby nawet anarhistycznego, jak tego chcą niektórzy. Myśla jego jedynie rządził kaprys i na próżno by popadł manowce, kto by chciał system filozoficzny Słonimskiego skonstruować na podstawie jego wierszy”.

A jeśli była to grupa poetycka, czy można mówić o jej spójności artystyczno-ideowej? Są pewne przesłanki przemawiające za tym: kult codzienności, wprowadzenie języka kolekwialnego, a nawet wulgaryzmu do utworów poetyckich, biologizm i związana z nim dynamika intonacyjna wiersza, tematyka obyczajowa itp. Znajdziemy natomiast więcej cech różniących poetów od siebie, cech o wiele ważniejszych od poprzednich. I tak oto Lechonia fascynowała tematyka romantyczno-patriotyczna, której odpowiadała odpowiednia stylizacja, Słonimskiego frapowały par-

czyli o sympatię ze strony mas, a więc Tuwim i Słonimski, ci właśnie w latach trzydziestych dopatrzili się w jego psychozie źródło faszystów. Tlum więc zbladził czy też poeci?”

Wraz z upływem lat krystalizowały i polaryzowały się stanowiska skamandrytów, tak że w latach trzydziestych nie sposób już było mówić o grupie Skamandra. Powstanie jednak tej grupy jest faktem historyczno-literackim. Można ją rozpatrywać tylko w pierwszych latach istnienia miesięcznika. Ona też stała się miejscem odniesienia dla innych, najeździe awangardowych poetek. Wobec niej to sytuowano się w późniejszych latach. Zarówno Awangarda Krakowska, jak i Zagary wileńskie przeciwstawiły się poecie skamandryckiej, traktując ją przede za fakt dokonany, zaistniały w historii. Wprawdzie Skamander służył tu jako negatyw z racji hybrydycznego i niejednorodnego programu, to — trzeba przyznać — spełnił w myśl zasad dialektyki historycznej swoją rolę. Znamienna rzecz — w historii literatury grupa ta nie odgrywa istotnej roli, natomiast poszczególnej jej członkowie wnieśli niemały wkład do literatury ojczystej, czego dowody mamy i w dniu dzisiejszym, biorąc pod uwagę twórczość dwóch jeszcze żyjących skamandrytów: Jarosława Iwazkiewicza i Antoniego Słonimskiego.

Pozostaje nam odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: czym był Skamander? Niesłusznie zapominamy krytyk, postulujący metodę badań strukturalnych w nauce o literaturze Konstanty Troczyński (1906–1942) w drugim numerze „Tęczy” z 1938 roku ogłosił artykuł pt. „Próba bilansu „Skamandra” (z dzieł najnowszej poezji polskiej)”. Określił Skamandra jako grupę poetycką o charakterze towarzyskim, która na pierwszym planie swej działalności wystawiała „strategię literacką”. Rzeczywiście była ona zespołem ludzi mających znaczny, o ile nie największy w dwudziestolecie międzywojennym wpływ na opinię literacką w Polsce, zważywszy, iż opanowała tamy nie tylko „Skamandra” ale także poczytany tygodnik „Wiadomości Literackie”. Pamiętajmy także i o tym, że byli to poeci obdarzeni laurem i wysoko notowani w ówczesnym życiu społeczno-polityczno-obyczajowym. Iwazkiewicz i Lechoń piastowali funkcje dyplomatyczne, Słonimski miał niebawem wciągnąć jako autor „Kronik tygodniowych”, Tuwim obrał się w kregach ówczesnej „śmietanki” towarzyskiej, której autoportret (fakt) wiersznie oddał w „Balu w operze”, a oprócz tego szeroka popularność przysporzyły mu teksty do piosenek: Wierzyński natomiast zajmował eksponowane stanowisko w życiu literackim i dziennikarskim. Wszelkie urupowania awangardowe, a więc te, które wytyczały drogę poezji polskiej, pod tym względem były kopciuszkami przy poetach Skamandra, którzy weale nie obrażali gustów publicznych, uprawiając poezję „dworską”, sprowadzając się do zasady ograniczonego buntu.

Współczesny krytyk, Michał Głowiński, słusznie przeto nazwał Skamandra grupą sytuacyjną, która powstała w specyficznej sytuacji literackiej, kiedy nie było z kim walczyć, gdyż z jednej strony aktywni w dalszym ciągu byli klasycy (Staff, Tetmajer, Kasprzowicz i inni), z drugiej strony natomiast nie sposób było walczyć z katarynkową poezją Or-Ota czy Edwarda Słoniańskiego. Nie jest to jednak usprawiedliwienie, historia nie znosi uzasadnień post factum, zwłaszcza że jej twórca jest człowiek i za jej bieg jest odpowiedzialny. A od tej odpowiedzialności grupa skamandrytów uchylała się. Próby podjęcia tej odpowiedzialności widzimy natomiast w indywidualnych, rozbieżnych i jakże często dramatycznych wyborach, dokonanych przez Lechonia, Słonimskiego, Iwazkiewicza, Tuwima i Wierzyńskiego.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

## SKAMANDER

cja ta nie przesądza jednak o profilu ideowym, nie wytycza żadnej osi światopoglądowej, pozostawiając w tym względzie nieograniczone pole możliwości. Dziwnym zatem i niezrozumiałym staje się w tej sytuacji fakt powołania się na Brzozowskiego. Zresztą autor „Karmazynowego poematu” posłużył się tu nie najfortunniejszym cytatem, mglistym i w zasadzie nie mówiącym.

Chaos propozycji i realizacji skamandryckich świadczył w pierwszym rzędzie o niedojrzałości intelektualnej młodych twórców. Autorka książki o „Lirykach Słonimskiego” (1918–1935), Alina Kowalczykowa pisząc o pierwszych dwóch tomikach wierszy późniejszego wybitnego felietonisty wskazała na synkretizm kulturowy, również ideowy, który znamionował poetykę nie tylko Słonimskiego, ale i reszty skamandrytów, z wyjątkiem Iwazkiewicza, którego estetyka od „Oktostychów” (1919) była wyraźnie sprofilowana, korekcjami tkwiąc w tradycji wilde’owskiej. Trudno też dopatrzeć się jakichkolwiek ambicji filozoficzno-poznawczych wczesnej liryki skamandryckiej, choć niektórzy ówczesni recenzenci doszukiwali się takowych w „Czarnej wiosnie” Słonimskiego, i o dziwo, sam przyjaciel Słonimskiego, Jarosław Iwazkiewicz oponował. Warto zatem przytoczyć fragment jego recenzji, zamieszczonej w „Skamandrze” w 1921 roku, chociażby z tego względu, że słowa poniżej dają się odnieść do poetki całej grupy: „Absolutnie nie możemy nazwać Słonimskiego ani klasycem, ani filozofem, mimo iż nazwy te niejednokrotnie od autora „Parady” stosowano. Nie mówimy tu już o plastyce obrazu, który częstokroć ma u Słonimskiego pozory uchwytności, nigdy zaś nie ma jej in concreto, chodzi nam o operowanie słowami, dla których po-

nasłowski problem (relacja: artysta — sztuka, np. słynny sonet o Leonardzie da Vinci), Tuwima — życie ulicy, jarmarczne nastroje i im podobne słownictwo oraz rymy. Wierzyńskiego uderka młodzieńcza beztroška i chaos myślowo-uczuciowy, a Iwazkiewicz sięgał po tematy psychologiczne, malując najsubtelniejsze uczucia w pastelowych kolorach. Wspólną cechą, bodaj najważniejszą i zarazem przemawiającą na niekorzyść skamandrytów, był intelektualizm, rozwiechrzenie umysłowe, brak panowania nad treściami emocjonalnymi. Ktoś już powiedział, że poeta nie jest ten, co się wrzusa, lecz ten, co umie wrzucenie opisać. Skamandryci niestety zatrzymali się w owym czasie na pierwszym etapie życia uczuciowego człowieka. Zresztą o tym dobitnie mówił Lechoń w przytoczonym wyżej ustępie.

Krzywdzącą zapewne wydalibyśmy ocenę odmawiając poetom Skamandra jakiegokolwiek nowych wartości. O ile waptilwa wydaje się — patrząc z pewnej perspektywy historycznej — ich rola we wnoszeniu trwałych wartości poznawczych do polskiej poezji, o tyle niezaprzeczalne zasługi wnieśli do ożywienia życia literackiego w Polsce. Wbrew przeto mniemaniu Irzykowskiego, poeci Skamandra nie zrezygnowali z języka poetyckiego, ani też form wiersza, mimo iż dopuścili pewne ożywice czynnikki do poezji. W powszechnej opinii uchodzili za nowatorów, ich poezję ułożano z potoczny rozumieniem pojęcia poezji współczesnej. Kokietałowi tłum, przed którym artysta występował w roli szukmistra, mistrza, wirtuoza stylu. Szokowali słuchkami słownymi, dążyli do zaskarbenia uczuć tłumem. Szybko jednak minęło wraz z przemianami życia politycznego Rzeczypospolitej uczucie tłumem. Ci, którzy najbardziej wal-

## FILM

# U ŹRÓDEŁ TEMATU

Kilka ostatnio pokazywanych u nas filmów amerykańskich łączy wspólny temat, temat wędrówki. Ich bohaterowie rezygnują ze swego dotychczasowego trybu życia i ruszają w poszukiwaniu nowego, które ma znaczyć tyle, co lepsze lub po prostu, inne. Kariera tego tematu ma swe oczywiste związki z jego tradycją — motywy wędrówki pojawiają się w literaturze i sztuce amerykańskiej wyrastał niejako z doświadczeń narodu. Pionier Dzikiego Zachodu stał się archetypem Amerykanina, tramp zajął jego miejsce wówczas, gdy doświadczeniami cywilizacji nie udało się objąć wszystkich mieszkańców Ameryki. Współczesny wędrówiec wyrusza na szlak powodowany nie tyle koniecznością poprawy swego materialnego bytu, co przymusem wewnętrznym, którego podłożem jest niezgoda na życie własne bądź układy społeczno-obyczajowe, określają-

ce jego egzystencję. Wędrówka przestała być poszukiwaniem, stała się raczej ucieczką, wyrazem buntu, losy bohaterów w wspomnianych filmach jednakże obrazują prawdę, iż jest to ucieczka donikąd.  
To krótkie przypomnienie dzieł tego tematu i jego aktualnej kariery prowokuje kolejny w serii tej film „Jeremiah Johnson” w reżyserii Sidneya Pollacka. Pollack powraca jednak do jego źródeł, konkluduje, do których dochodzi, pozwalają widzieć, że ewolucja tematu dotyczy tylko jego form zewnętrznych. Klęska i upadek nadziei współczesnych wędrówców była już zakodowana w dziełach ich poprzedników. Tak przynajmniej interpretuje ten temat Sidney Pollack, który opowiadając historię Jeremiaha Johnsona, autentycznego dziesiętnastowiecznego trapera, nie interesuje się tematem wielkiej szansy, lecz wielkiej klęski.

Cała seria amerykańskich westernów ostatnich kilkunastu lat celem głównym uczyniła rewizję narodowej historii, burzyła mity, w których ukształtowanemu kinu miało swój bezprzykładowy udział. Legendarni bohaterowie Dzikiego Zachodu, ci anonimowi i ci znani z nazwiska, zaczęli ukazywać swe prawdziwe oblicza dalekie temu, co western ukształtował w świadomości widzów kinowych całego świata. Zjawisko to stało się jedną z najciekawszych tendencji filmu amerykańskiego ostatnich lat. „Jeremiah Johnson” Pollacka jest również niezwykle ciekawym tego typu przykładem.  
Jeremiah Johnson jest bohaterem wielu amerykańskich opowieści i książek, dwie z nich stały się podstawą scenariusza Pollacka. W pełnym tytule jednej z nich: „Krukobójca — saga o Johnsonie Pożeraczu Wątroby” zamknięte są dzieje i cha-

rakterystyka legendarnej postaci. Jeremiaha Johnsona, traper z Gór Skalistych, spędził w nich swe życie, zabijając Indian z najokrutniejszego, o bok Siuksów, plemienia Kruków. Aktu zemsty dopełniał, zjadając ich wątroby. Ta koszmarna opowieść jest pono prawdziwa. W filmowej jej wersji oszczędzono nam tych realiów, a dzieje Jeremiaha wzbogacano motywacją i komentarzem, będącym współczesną ich interpretacją.  
Jeremiah Johnson wyruszył w góry zmęczony cywilizacją, gnany marzeniem o stworzeniu sobie warunków życia zgodnych z jego pragnieniem niezależności i wolności. Wszystko to, co później się stało, służy w metaforycznej opowieści Pollacka dowodowi, iż ucieczka nie jest żadnym rozwiązaniem, a społeczeństwa ludzkie bezprawistnie nie mogą. Wracając do źródeł mity „wędrówki — ucieczki”, Sidney Pollack przyłącza się do głosów tych, którzy temat ten drążą w realiach współczesnych społeczeństw. I tak, jak oni, szansy dla ludzi szuka w nich samych, w zachowaniu wartości moralnych, coraz bardziej niszczonej trybami cywili-

zacji. Jest to więc film o złudzeniu wolności, ale i ostrzeżeniem przed utratą indywidualnej moralności, film o potrzebie poszukiwania prawdy o sobie. Dlatego też zapewne jego Jeremiaha Johnsona nie jest Pożeraczem Wątroby, lecz człowiekiem, który musiał poddać się okrutnym prawom Gór Skalistych i ich mieszkańców, może nie tyle poddać nawet, co je zrozumieć i uszanować. Film kończy się więc pojednawczym gestem śmiertelnych wrogów.  
Nim dojdzie to niego, Sidney Pollack i jego znakomity operator Andrew Callaghan odkrywają nam świąty nieznane: urodę i grozę natury, której człowiek pokonał do końca, nie może i dawną cywilizację i kulturę Indian, którą umiał zniszczyć. Cenę film Sidney Pollacka za jego okrutne piękno oraz za jego moralną czystość. Jako ciekawostkę podaję fakt, że rolę Jeremiaha Johnsona kreuje jeden z najbardziej dziś wziętych aktorów amerykańskich, Robert Redford, pomysłodawca całego filmu.

EWA NURCZYŃSKA



# REPORTAŻ

Las. Splunąć w dłonie siarczyste, krępko chwycić stylisko. Do diabła z romantyką! Jazgot pił mechanicznych, grających tańcami po omszanych piachach. Powtarzają echem loskot siekier, wgrzyżających się w żywe konary. Bukując kołami w błotnej bryli przemieszanej z igliwem i drzewną drobnizną, terkocze ciągnik, wlokący na skraj drogi prosty i długi kłoc okrzęsany do gołej kory. Droga zakopana przez wielką „Tatę”, grzęznącą po osie w błocie pod ciężarem spiętych na jej podwoziu zwalistych pni sosnowych.

Dla wielu z nas leśnik jest przede wszystkim człowiekiem, który bez troski chadza sobie między drzewami z flintą na ramieniu, wdycha żywiczne powietrze, liczy sarny i zające. Czasem przepłoszy niecnego kłusownika. Kiedy indziej upomni niesforemny turystę.

Utrzymują się wciąż w obiegu opinie, które pozostają dziś tylko mitem, legendą bez pokrycia. I o tych właśnie sprawach rozmawiałem z dyrektorem Zarządu Okręgu Lasów Państwowych w Łodzi, mgrem inż. Henrykiem Baksałerskim i jego zastępcą — inż. Januszem Cordec. Pojechałem do nadleśnictwa Kolumna i rozmawiałem z nadleśniczym inż. Janem Brylem. Byłem wiele godzin w leśnictwie Poleszyn i tam rozmawiałem z leśniczym Michałem Felczakiem i jego pracownikami...

2.

Nadleśnictwo Kolumna. Leśnictwo Poleszyn. Zrab lasu. Ciągnik, dwie piły mechaniczne, kilkanaście siekier, dziesięciu robotników — na poboju-wisku. W gęstym, zwartym, przeciętym tylko drogą, leśnym kompleksie — wylom. Spory prostokąt ogołocony z drzew. Część już wywieziona, inne leżą pokotem. Cieńsze okorowane, porżnięte na krótsze odcinki, ustawione już w sęgi. Na środku r...  
kie ognisko, pochłaniające gałęzie, gałki, inne odpady. W zż...  
dłoniach siekier, uchwyty pił mechanicznych. Czerwone metalowe kaski, dreflichowe ubrania i wysokie gumowce. Praca wre, powiększając wyręb...

Współczesny leśnik, to przede wszystkim — producent drewna — mówi Jan Bryl. — Producent, który ma do spełnienia obowiązki nie mniejsze i nie mniej ważne, niż pracownik przemysłu czy rolnik, który jednak znacznie mniejszymi od nich dysponuje możliwościami. Przeciwno tym tysiącom metrów sześciennych ma wprowadzić siekier pod dostatek i wystarczającą ilość pił mechanicznych, ale — w skali województwa tylko sześć — mechanicznych korowarek i jedną la-

dowarkę, czyli, praktycznie, żadnych urządzeń mechanicznych...

Harówka. Ciężka robota. I trochę jak za króla Cwiczka. Siekiera raz, siekiera dwa. Tylko siekiery już nie te. Szczerbią się i wywijają. Nosi się więc taką prosto ze sklepu — do kowala. Ten obcina ostrze. Bierze kawał stalowego resora. Przyspawa i można pracować. Brzydkie to i nie-eleganckie.

Zdrowo się trzeba namachać, żeby do trójki miesięczną dociągnąć. Pół biedy, jeśli brygada zgrana. Ale są tacy, co tylko patrzają, jak się urwać. Roboty we własnym gospodarstwie przeciętne pełno. A tu też nielekkie. W

Zadnych tradycji, a i w rodzinnych stronach — lasów jak na lekarstwo. Lecz jego ciągnęło do lasu. Skończył ogólniak. Potem dwuletnia szkoła pomaturalna dla pracowników leśnictwa w Chyłowicach pod Opolem. Stypendium. Skierowanie na staż: nadleśnictwo Kluki w powiecie bełchatowskim. Potem jako podleśniczy nadzorował lasy niepaństwowe w nadleśnictwie Złoczew. A w czerwcu sześćdziesiątego siódmego objął na stałe Poleszyn, największe dziś w nadleśnictwie Kolumna i całym województwie łódzkim leśnictwo. Teraz przodujące, a wtedy...

Wtedy, przed siedmioma laty, było

Urodził się w okolicy. W gminie Dobra. Ojciec służył po majątkach jako polowy, to na podobnych funkcjach. A jego — od dzieciństwa ciągnęło do lasu. W pierwszą okupację niemiecką chodził za gajowym. Wodę i wałówkę nosił. Pomagał przy czym się dało. Najważniejszy był las, który go zuroczył, wciągnął i przez całe życie nie wypuścił.

Potem chodził do sadzonek, do pielęgnacji, uczył się lasu i pracy dla niego. W końcu — w trzydziestym trzecim — spełniło się jego marzenie: został gajowym. W lasach prywatnych. Służył najpierw w Karszewie — u Szajdramy, potem u Siemiątkowskiego

ko zwykłego robotnika. A zaraz po wyzwoleniu — znów mundur gajowego w nadleśnictwie Kolumna. Przez dwadzieścia dwa lata w Belzaniu, a ostatnie osiem — w Rembowie. Tylko po wojnie już inna praca. Musiał gajowy uczyć się nowych obowiązków. Bardziej dziś plan gonić, niż ludzi. Było nie było trzy tysiące metrów sześciennych to kilkanaście tysięcy drzew.

Do sadzenia czy wyrębu potrzebni są ludzie. A ich ciągle brak. To największe zmartwienie gajowego Szubskiego. Chodzi po wsiach, prosi, namawia. Musi chodzić, bo do niego rzadko kto sam zagląda. Rembów — to przecież gajówka położona w sercu lasu, skąd do najbliższej drogi aż dwa kilometry. Mieszka tu z żoną. Skromne obejście i sama gajówka w stanie technicznym żalonym. Nikt tu by pewnie mieszkać nie chciał, ale Szubscy zadbałi o gospodarstwo. Wszystko polatane, poporeperowane, uprzędkowane. Czysto i schludnie. Przywiązali się do tego miejsca. Z dała od ludzi, samotni. Tylko czasem odwiedzają ich dzieci i wnuczka...

— Żadne z dzieci nie poszło w ślady ojca? — pytam.

— Córka mieszka w Pabianicach — mówi gajowy — pracuje w „Zarówece”. Jeden z synów tragicznie zmarł za młodu, a drugi poszedł, do milicji. Był wiele lat komendantem posterunku w Dłutowie i Zelowie, a teraz — ze względu na stan zdrowia — pracuje w komendzie powiatowej...

Samotni, ale szczęśliwi. W lesie. Nigdzie by się stąd nie przenieśli.

Martwi się tylko gajowy, że już za rok emerytura. Ale słyszał przecież, że nadleśniczy to go chce jeszcze zatrzymać. Czy to prawda? — nie śmie pytać. Przecież nie jest jeszcze taki stary. Ma dużo sił. Tak czy inaczej obiecał nadleśniczy, że z gajówki ich nie usunie. Stare to, rozlatujące, nikt tu pewnie mieszkać nie będzie chciał. A na pewno żaden z młodych. Ci ciągną do ludzi. Wolą we wsi mieszkać. A im tu dobrze. Tylko ostatnio żona się trochę boi. Głównie po nocach. Boi się, że ich podczas snu spala. A bo to w zeszłym roku ktoś podpalił stóg słomy obok stodoły. Gajowy był na kursie behape w Dobroju. Szczęściem był wnuczek, co to z wojaka dopiero wyszedł. W porę zauważył i straż powiadomił. Woda w podwórku. Ludzie się zlecieli, stodołka uratowana, ale słoma doszczętnie spłonęła i jeszcze do dziś osmalone sosny za stodołą sterczą...

## JACEK INDELAK

# DO DIABŁA Z ROMANTYKĄ

październiku, jak deszcze poszły, to w błocie można było utonąć. Lepszy już śnieg i mróz, chociaż wściec się z zimna można. Ognisko trzeba przez cały czas palić.

3.

Drewniana balustrada, niczym na posterunku milicji, dzieli pomieszczenie na dwie części. Jedna — zastawiona dwoma starymi biurkami i urzędową szafą. Druga — pusta. Tylko pod oknem stoi ławka. Dla interesantów. Dziś też było paru. Zwykle sprawy: zakup drewna, zezwolenie na wyręb... Potem trochę papierkowej roboty.

Operatywka z podleśniczym i gajowymi była niedawno. Następną roboczą naradę można odbyć na kilka dni. No, tylko ustalić rozkład jazdy dla kierowcy ciągnika, wyznaczyć zadania operatorowi wypożyczonej równiarki drogowej — i już można do lasu. Motocyklem. Bez motoru ciężko by było sobie poradzić: do najdalszej granicy leśnictwa kilkanaście stąd kilometrów. Wygoda, ale w kościach łamie i zatoki boją.

Najpilniejsza rzecz, produkcja. Można by nie pilnować, bo pracownicy sumienni i fachowi. Taki na przykład gajowy Szubski. Dobrze dopilnuje, ale roboty tam i na kilku starych. Drzewa pomierzyć, odprawić do tartaku, oznakować, poklasyfikować.

Później jeszcze las trochę objeżdża. Dobrze, że z hodowlą ryb teraz spokój. Gospodarstwo Kiki, sześć hektarów. Mały zbiornik, zysk dla nadleśnictwa niewielki, ale przecież też ważny kawałek produkcji. Odłów był w październiku. Z tona karpia handlowego wyszła. Większość — do centrali rybnej. Trochę pracownicy kupili. I znów w kantorku leśniczówki. Papierki, papierki. Tak schodzi do końca urzędowania.

— Papierki, interesanci, produkcja, czyli leśniczy przelotczyli się w urzędniaka? — pytam.

— A nie, chodzą czasem i z fuzją — odpowiada Michał Felczak. — Połuje. Ale to dziś już przyjemność luksusowa.

Michał Felczak pracuje dziesięć lat. Pochodzi z powiatu sochaczewskiego. Nikt w rodzinie nie pracował w lesie.

kilku kandydatów na objęcie Poleszyna. Przyjechali, popatrzeli i nogi za pas. Zapuszczone, zaniedbane, nie wiadomo, za co się najpierw brać. Nawet sama leśniczówka w oplakany stan. Młody jestem, spróbuję — postanowił Michał Felczak. Był sam. Poprzednicy zrazili do współpracy z leśnictwem okolicznych ludzi. Powoli dorobili się autorytetu, zaufania i sympatii. Wiś zblżyła się. Zaczęli przychodzić ludzie. Pomagali, najmowali się do pracy.

4.

Z początkiem zeszłego roku do nadleśnictwa Kolumna przyłączone zostało nadleśnictwo Rydzyni. Nowe nadleśnictwo Kolumna objęło bez mała dwadzieścia tysięcy hektarów lasów państwowych oraz przeszło siedem tysięcy lasów prywatnych, podzielonych między dwadzieścia leśnictw, liczących od czterystu do tysiąca hektarów. Przeprowadzona została centralizacja, w wyniku której ograniczona została ilość leśnictw do dziewięciu, o powierzchni od dziewięćset do tysiąca osmiuset hektarów. Pozwoliło nam to na utworzenie przy nadleśnictwie nowych zupełnie stanowisk pracy: komendanta straży, instruktora do spraw budownictwa i remontów, pracownika do spraw szkółkarstwa oraz leśniczego łowczego...

Była to przysłówiowa kropka nad „i”, ograniczająca dotychczasowe funkcje leśniczego do nielicznych, z których podstawową na dobre stało się pozyskanie drewna. Posunięcie to zresztą uratowało chyba leśniczych od zupełnego zagubienia się i zalamania pod natokiem obowiązków. Teraz mają przynajmniej jasność: plan pozyskania drewna jest dla nich najważniejszy. Plan ten w samym nadleśnictwie Kolumna obejmuje dziewięćnaście tysięcy sześćset metrów sześciennych drewna, z czego na leśnictwo Poleszyn przypada trzy tysiące dwieście...

Na zrebie wita nas gajowy Wacław Szubski, kierujący brygadą drwali. Wita — salutując, po wojskowemu wyprostowany. W ogóle — postawa żołnierska. Energia i zapal. A tu — sześćdziesiąt cztery lata. Z tego przeszło czterdzieści — w służbie lasu.



Fot. Włodzimierz Parys



Fot. Włodzimierz Parys

# TELEWIZJA

## „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ”

Pytanie: „W co się bawić?” zawisło nad światem. Składając wiadomo, że „TV to nasze okno na świat”, więc rozrywkowy problem najlepiej prześlada się w telewizyjnym ekranie. Wszystko wiedzający statystycy wyliczyli zresztą, że społeczeństwo najbardziej na rozertwanie pokłada w pierwszym rzędzie w TV. W samej telewizji rozrywka również jest dla widzów najważniejsza — przed dziennikiem i wykładami NITR-u. Masowe oczekiwania nie stwarzają telewizyjnej rozrywce pomysły, a sytuacja z pewnością jest u nas anadotyczna sytuacja zaczerpnięta z gruntu amerykańskiego, gdzie w znanym konkretnie kultury masowej windziarza pytano o

ocenie i akceptacje przygotowanych programów rozrywkowych. Jednakże moja dobra wola co rusz nadużywała programy, w których beżmyślna i nieudolna imitacja zachodnich rewii idzie w parze z kosztowną paradą zlezo gustu, szmiry i nudu.

Jest taka scena w znanym filmie Milosa Formana „Miłość blondynki”: oto para zaprzyjaźlonych mieszczuchów dziwnie w fotelach przed ekranem telewizora, na którym fikcja ginłaski. W tym krótkim, ale także żądliwym tleciu Forman, niezrównany kpiarz, uchwylił kulturową nędzę współczesnego mieszczucha.

Ten lakoniczny obrazek obyczajowy nieodmiennie staje mi przed oczyma, kiedy próbuję z obowiązku oglądać telewizyjne programy rozrywkowe rodzimego chowu w ich wersji popularnej.

Zastanawiając się nad znaczeniową wartością nazwy „rozrywka” nietrudno spostrzec, że powszechne skojarzenia bieżąca w stronę zakalca zwanego showem albo rewią. Oczywiście, istnieją inne wy-

obrażenia na temat kształtu programu rozrywkowego, ale obawiam się, że to właśnie jest najpowszechniejsze.

Program typu show czy rewiu zwalnia od oryginalności, a nakłady koncepcyjne zastępuje nakładami finansowymi. Całość polega na mechanicznej składance, w której bierze udział kilku piosenkarzy i piosenek z najbardziej banalną muzyką i najbardziej wysławianymi tekstami. Odbywa się to na tle kiczowatej scenografii (schody, gwiazdy, spadające gwiazdy, kwiaty itp.), gdzie tani pryncyp bnie się o lepsze z żalonymi próbami wykrzesania równie taniego nastroju. Jedyny wysiłek umysłowy realizatorów tych pretensjonalnych humbuków sprowadza się do skłecenia tematycznego tel „od Sasa do Lasa” zataczającej się karawany.

Nie trzeba wielkiej smostregawczości, żeby stwierdzić, iż pełna rozmachu inscenizacja dla odpiewiania kilku piosenek kłóci się z możliwościami telewizyjnego medium. Dla amatorów takiej rozrywki, do których osobście nie zaliczam się, gi-

lantyczny show z udziałem renomowanych gwiazd może w pełni zrealizować się jedynie w przestrzennych warunkach mu-sic-hallu. Radzę im zatem obejrzyć film „Hello Dolly”, który idealnie spełnia reguły gatunku w filmowej edycji. Natomiast wydanie telewizyjne rewii, w polskich warunkach nieudolnie imitowane z zachodnich wzorów, gdyż brak u nas tego rodzaju tradycji, nieuchronnie musi sprawić wrażenie odpychającej sztampy i nudu.

Niestety, wstyd wyznać, ale opisane powyżej grzechy stanowią rejestr, który objęła przede wszystkim konto Łódzkiego Ośrodka TV. Telewizja Łódzka w dziedzinie rozrywki zdobyła sobie zła sławę producenta programów o wybitnie złym smaku artystycznym i pozbawionym elementarnej inwencji.

W bliskim sąsiedztwie telewizyjnych „kaskad”, jak te programy nie bez ironicznego wzdruku określiła kiedyś Agnieszka Osiecka, stoi filmy o intencjach rozrywkowych, poczawszy od zwykłych teledysków, a skończywszy na średniometrażowych lasienkach. Tutaj zasada pozostaje ta sama, lecz możliwości wizualne rozszerzała się niepomierne. W rezultacie ich beżmyślnego wykorzystania otrzymujemy szereg ostrych obrazów szkolonych, które bez ładu i składu sytuują spie-

wając persone na różnych płach, w różnych układach i otoczeniu.

Gdzie zatem upatrywałbym szansę odwrócenia tej ponurej sytuacji? Przede wszystkim w celowej ekspansji programów rozrywkowych o charakterze kabaretowym, które bliższe są naszej tradycji kulturalnej i które posiadają spory i „prawdony dorobek. Wystarczy wspomnieć niedźwiedzię powodzenie Kabaretu Starszych Panów (ich nowy powrót oby był laskółką), Galux-Show Olgi Lipińskiej czy „happening” Jerzego Gruzy i Jacka Federowicza. To do pierwsze. Po drugie — wydaje się, że cennym wzbogaceniem tej niswal już klasycznej tradycji naszego telewizyjnego kabaretu byłby kabaret studencki, który zawsze stanowił rzeczwiwa wy-legarnie wielkich talentów estradowych. Staniadłbytno odświeżenie widzenia rzeczywistości, nowe propozycje formalne, ostry zmysł satyryczny i spontaniczna atmosfera prawdziwej zabawy. Cawil to, czego nam najbardziej w telewizyjnej rozrywce brakuje.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



## CZTERY I PIĄTY

Dalszy ciąg ze str. 1

Przypominam te słowa dlatego, aby tym wyraźniej uzmysłowić wszystkim, że myślenie o przyszłości i działanie dla przyszłości wywiera pozytywny wpływ na teraźniejszość. Stara to prawda, że jutro buduje się dziś. Ale o prawdziwie tej można tylko mówić i można wcielać ją w życie w codziennej praktyce. Był czas, kiedy przyszłość traktowaliśmy jak worek dla wrzucania nie zrealizowanych zamierzeń i marzeń. W przyszłość odsuwaliśmy wszystko to, co dziś wydawało się nam niemożliwe. Obecnie partia określiła ramy i wymiar tej przyszłości i konsekwentnie dąży do spełnienia narodowych ambicji i aspiracji. Chciałbym zwrócić uwagę na pozornie drobny fakt, ale on właśnie dość istotnie charakteryzuje naszą teraźniejszość. Z naszego języka powszedniego znika coraz częściej słowo: „niemożliwe”.

Wyniki osiągnięte w 1975 roku zdecydowały o rezultatach naszej pięcioletniej pracy, pozwolą też śmiało określić zadania na lata 1976-1980. Stało się to możliwe dlatego przede wszystkim, że w minionych czterech latach dokonaliśmy rzeczy, które wydawały się nam niemożliwe. Warszawa otrzymała TRASĘ LAZIENKOWSKĄ, trwa tam budowa DWORCA CENTRALNEGO. A przeciwko projektowi i Trasy Lazienkowskiej i Dworca Centralnego od dawna były gotowe i leżały w biurkach projektantów czy inwestorów.

Wiele inwestycji, którymi chlubił się w przeszłości i które nadal pozostają dowodem osiągnięć naszego narodu, okazało się już niewystarczającymi. Chłuba była i jest NOWA HUTA, ale potrzeby kraju szybko u przemysłowca spowodowały, że rośnie HUTA KATOWICE. Chlubił się naszymi portami, ale rosnący handel zagraniczny zmusił nas do podjęcia budowy PORTU PÓLNOOCNEGO. Dumni byliśmy z Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, ale potrzeba wszechstronnej motoryzacji spowodowała, że trzeba było podjąć budowę fabryki samochodów w Tychach i Bielsku-Białej.

Od dawna narzekaliśmy na brak miejsc w hotelach. Dziś tych miejsc nadal jeszcze brakuje, ale nowe hotele stoją już w Warszawie, Zakopanem, Poznaniu, Łodzi. I budują się dalsze. Zmodernizowano wiele tras komunikacyjnych, powstają nowe autostrady, a przy nich zajazdy dla podróżnych. Dziś już nikt nie odważy się reklamować Polski jako „kraju pustych szos”, bo taka reklama byłaby bzdurą, zaprzeczeniem rzeczywistości.

A polityka socjalna partii? A wchodzący w życie nowy KODEKS PRACY? Są to osiągnięcia, których nie można wylizywać w procentach, a które również liczą się w ocenie mi-

nionych czterech lat. Tak jak liczy się rozmach budownictwa mieszkaniowego i rozmach inwestycyjny, coraz śmielej i pomyślniej wprowadzana nowoczesność do przemysłu, reforma oświaty, polityka żywnościowa, rozwój współpracy gospodarczej z krajami socjalistycznymi, rozwój handlu zagranicznego. Wszystko to razem składa się na pozycję Polski wśród krajów socjalistycznych i na pozycję Polski we współczesnym świecie. Pozwala na cenne inicjatywy dyplomatyczne, których istota sprowadza się do utrwalania pokojowego współżycia krajów o różnych systemach społecznych.

Często ostatnio mówi się, że minionie czterdziecie było okresem bez precedensu w naszej najnowszej historii. Istotnie. Ale też to, co osiągnęliśmy, osiągnęliśmy nie bez trudności i zakłóceń.

„Lata 1971-1974 — mówił na grudniowej sesji Sejmu PRL prezydent PZPR Jacek Kuron — przyniosły wyniki, które zapewniają znacznie wyższy od planowanego poziomu zaspokojenia potrzeb społeczeństwa oraz modernizację gospodarki. Rezultaty te osiągnęliśmy nie bez trudności i przeszkód, ale wiadomo też, że trudności te są po części następstwem wysokiej dynamiki rozwojowej, po części zaś wynikają z wielu zadaniowych w gospodarce dysproporcji, z którymi wchodziliśmy w bieżące 5-letnie”.

W bieżące pięcioletnie wchodziliśmy nie tylko z zadawnionymi zapóźnieniami w gospodarce, nie tylko z dysproporcjami, z błędami popełnionymi w polityce społecznej i gospodarczej, ale też z poważnym bagażem obciążeń psychicznych. W latach poprzedzających ostatnie czterdziecie ukształtowały się negatywne postawy: „tumiwizm”, obojętność, asekurancystwo. Ludzie nie zawsze mając warunki dla rozwijania inicjatyw, wykazywania swoich pełnych umiejętności, starali się li tylko wypełniać swoje obowiązki i to nie zawsze najlepiej. Solidnie we znaki dawało się społeczeństwu odczuć wszelkiego rodzaju partactwo.

Czy dziś te postawy zostały do końca przezwyciężone? Pozytywna odpowiedź byłaby rozmiarem się z rzeczywistością. Nie, nie zostały do końca przezwyciężone. Mieczysław F. Rakowski bardzo to trafnie ujął niedawno w „Polityce”:

„Wśród milionów ludzi pracy jest jeszcze sporo takich, którzy chcą lepiej żyć niż pracować. Wśród ogółu Polaków znajdują się na rynku z coraz to nowymi żądaniami spostrzegamy również tych, którzy żyli się z partactwem jak ze swoim kapcialem, a apele o zwiększenie wydajności pracy traktują jak kazania na odpuszczenie”.

Nie przezwyciężyliśmy jeszcze do końca partycularyzmu. Nie nauczyliśmy się jeszcze myśleć do końca kategoriami kraju, całości gospodarki, całego społeczeństwa. Nie zawsze i nie wszyscy jeszcze potrafia dostrzec, że dobre dla mnie, dla ciebie i dla nas jest to, co dobre jest dla wszystkich. Wprowadzanie w społeczną świadomość umiejętności łącze-

nia interesu własnego z interesem ogółu nadal jest ważnym zadaniem naszej propagandy.

Partia stawia przed narodem coraz to śmielsze zadania, odwołując się nie tylko do indywidualnego poczucia własnego interesu, ale też i do wyobraźni każdego z nas. Aby takie zadania wykonać, aby żyć i pracować w warunkach nieustannego przyspieszania, trzeba zerwać z przeciętnictwem, trzeba zerwać z zamiarami, trzeba też zerwać z tolerowaniem cwaniactwa, wygodnictwa i kilku pomniejszych powszednich grzechów polskich.

Ale też przez ostatnie cztery lata sporo zmieniło się i w społecznej świadomości. Zrozumieliśmy już, że nie można jednocześnie budować w całym kraju, bo nie ma takiej potrzeby. W koncepcji dalszego rozwoju Polski wyodrębniła się odrębna intensywniejsza inwestowania, które tworząc aglomeracje będą rozwijały się jako centra przemysłu, administracji, usług i kultury. Pozostałe rejony kraju staną się rolniczymi i rekreacyjnymi okręgami, staną się naturalnym zapleczem wielkich aglomeracji miejskich. Nie jest to jednak degradacja dla tych rejonów Polski. Przeciwnie, gdyż rolnictwo i przemysł spożywczy zostały podniesione do rangi ważnych działów gospodarki narodowej, nadano im taką pozycję, jaka im się słuszenie tak należy. Poza tym z doświadczeń minionych lat jasno wynika, że inwestowanie przemysłowe bez racjonalnego planowania przestrzennego kraju może i przynosi korzyści temu czy innemu miasteczku, tej czy innej części kraju, ale częstokroć szkodzi całości gospodarki, gdyż narusza naturalne warunki życia ludzi.

Poza tym porządkowanie przestrzennej struktury kraju nie wyklucza możliwości rozwijania społecznych i indywidualnych inicjatyw w każdej części Polski. Takie inicjatywy, racjonalne myślenie, wyobraźnia i śmiałość rysowania wizji przyszłości są potrzebne nie tylko przy budowie Huty Katowice, nie tylko przy budowie Portu Północnego, ale w każdym powiecie, mieście, gminie. Po to przecież dokonano przemian w strukturze administracyjnej kraju, aby właśnie stworzyć ludziom warunki dla rozwijania inicjatyw, aby troska o to, co najbliższe stała się zaczynem twórczych poszukiwań i twórczych rozwiązań.

Wchodziliśmy w bieżące pięcioletnie z poważnymi dysproporcjami, z poważnymi zaniedbaniami. Te dysproporcje i zaniedbania w Łodzi odczuwaliśmy szczególnie ostro. Przez wiele lat stolica polskiego wótkienictwa znajdowała się w sytuacji bardzo niekorzystnej. Miasto wiele z siebie dawało. Łódzka klasa robotnicza zawsze była gotowa do poświęceń, otrzymując w zamian niewiele. A przecież żaden z działów gospodarki narodowej nie może długo egzystować, nie pomnażając swoich możliwości produkcyjnych. W Łodzi natomiast zbyt mało inwestowano w przemysł lekkiej, zbyt opieszale pomnażano zdolność produkcyjną budownictwa.

Dopiero ostatnie czterdziecie przyniosło poważne zmiany. Biuro Polity-

czne KC PZPR, a następnie Rada Ministrów podjęły uchwały o modernizacji i rekonstrukcji Łodzi. Pomyślnie — acz też nie bez kłopotów i trudności — przebiega realizacja tych uchwał.

„Realizacja programu przebudowy i modernizacji Łodzi — mówił na ostatnim plenarnym posiedzeniu KW PZPR i sekretarz, Bolesław Koperski — przebiega pomyślnie, a nakłady na ten cel są rokrocznie przekraczane. Przewiduje się, że na koniec 1975 roku zamkna się one kwotą około 41 miliardów złotych, co spowoduje, że nakłady przewidziane uchwałą zostaną przekroczone o około 30 proc.”.

Ostatnie cztery lata również i w Łodzi nauczyły nas wiele. Jeśli nawet dziś jeszcze nie wszyscy możemy być zadowoleni z rozmachu i tempa, gdyż stawiamy przed sobą jeszcze bardziej ambitne cele, gdyż kierujemy się jeszcze wyższymi aspiracjami, to przecież trudno nie wyrazić zadowolenia z faktu, że łódzka instancja partyjna między innymi postawiła przed projektantami, architektami i urbanistami zadanie tworzenia rozwiązań kompleksowych. Tylko bowiem takie rozwiązania, zamiast rozwiązań fragmentarycznych, mogą doprowadzić do tego, że Łódź stanie się miastem pięknym, właściwie zabudowanym, miastem, w którym będzie się żyło przyjemnie, wygodnie i dostatnio.

Zadania są ogromne i tempo pracy stale rośnie. Oto w tym roku budownictwo łódzkie po raz pierwszy przekroczyło 30 tys. izb wybudowanych w ciągu roku. Mijemy nadzieję, że wynik ten będzie rzeczywisty i że budowlani oddając te izby przyszłym posiadaczom, nie ukryją poważnych braków, aby tylko osiągnąć wynik, aby tylko plan wykonać. A przecież tak bywało nie tylko w poprzednich latach. Wspominam o tym nie dlatego, aby dokuczyć budowlanom, ale dlatego, że w 1975 roku trzeba będzie wybudować 37 tysięcy izb i realizacji tego zadania nie można będzie odkładać na „ostatnią chwilę” czyli na czwarty kwartał.

Pomyślnie przebiega realizacja zadań w budownictwie przemysłowym, a budowlani oddają nowe fabryki sukcesywnie, umożliwiając tym rozpoczynanie nowej produkcji jeszcze w czasie trwania budowy. Przebudowa bowiem łódzkiego przemysłu lekiwego oznacza nie tylko przenoszenie starych fabryk do nowych pomieszczeń. Jest to jednoczesna modernizacja techniki, technologii a częstokroć produkcji — przy zmianie jej rodzaju na bardziej poszukiwaną, na bardziej potrzebną na rynku krajowym i zagranicznym.

Trwa też przebudowa struktury gospodarczej miasta. W latach nadchodzących pięcioletki rosnąć będzie dynamika wzrostu sprzedaży wyrobów przemysłu elektronicznego i maszynowego. W 1980 roku dynamika wzrostu sprzedaży wyrobów przemysłu Łodzi wzrośnie w porównaniu z 1975 rokiem o 70 proc., w przemyśle lekkim — o 67,5 proc., a w przemyśle elektronicznym i maszynowym — o 135,2 proc. Warto przy tym pamiętać, że w 1980 roku zarówno przemysł lekki, jak i przemysł elektroniczny i maszynowy będą zupełnie różne nawet od tego, co już dziś posiadamy. I warto pamiętać, że to piękne, a niezbędne założenie mo-

że być nie spełnione, jeśli my tego sami nie zrobimy własnymi siłami, jeśli nie przezwycięzymy naszych słabości i niedostatków.

5. Dokonuje się też pomyślny rozwój województwa łódzkiego.

„Zrealizujemy z nadwyżką — mówił na ostatnim plenarnym posiedzeniu KW PZPR i sekretarz, Zbigniew Zieliński — w bieżącym roku (plenium odbywało się 18 grudnia 1974 roku — przyp. L. W.) zadania w produkcji przemysłowej. Użytkujemy na koniec roku ponad 13-proc. dynamikę sprzedaży produkcji własnej i usług, co oznaczać będzie przekroczenie zadań wynikających nie tylko z NPSG, ale i z uchwałonego w styczniu programu przyspieszenia produkcji przemysłowej”.

I dalej: „Dobre wyniki osiągnęliśmy w rolnictwie. Produkcja roślinna i zwierzęca przekroczyła poziom planowany na rok 1975 i jest wyższa niż to ustalono w zadaniach przyspieszenia produkcji roślinnej”.

Dobre wyniki czterech lat w każdym województwie, mieście i powiecie stają się podstawą jeszcze śmielszego planowania, ambitniejszego kreślenia zadań. Czy zawsze zadania te kreśliły na miarę naszych ambicji? Nie zawsze, bo często ambicje te wiążeły niesłusznie z nowymi inwestycjami. A przecież miarą naszych ambicji i aspiracji powinno być to, co mogliśmy i co możemy osiągnąć właściwie wykorzystując istniejący potencjał, istniejące możliwości. Właściwie też wykorzystując ludzi, ich kwalifikacje, uzdolnienia i inicjatywy. Kryje się w tym ogromne jeszcze bogactwo. Jeśli więc — i słusznie — koncentrujemy naszą uwagę na tym, co osiągnęliśmy, co zrobiliśmy w tak krótkim czasie, to pomyślimy też i o tym, co możemy jeszcze zrobić dla kraju, a więc i dla siebie przy pełniejszym wykorzystaniu ciągłej tkwiących w naszej gospodarce rezerw. Tylko że dziś pojęcie rezerw stało się już trochę inne. Tkwią one często nie w magazynach pracujących niepełną mocą, nie w magazynach przepelzionych niechodliwymi towarami, ale w nas samych, w naszym sposobie myślenia i działania.

Ogromne zadania rodzą ogromne trudności. Nie ze wszystkiego możemy być zadowoleni. Jeszcze w codziennym życiu odczuwamy różne braki, ale niech one nie przysłaniają nam celu. Trzeba umieć odróżnić braki i niedomagania wpływające z przewyciężonych dysproporcji gospodarczych od braków i niedomagań wpływających z wadliwej pracy, z asekurancystwa i wygodnictwa. I trzeba umieć podjąć z nimi walkę, przeciwstawiać się negatywnym postawom, hamującym i opóźniającym nasz wysiłek. Budujemy przecież nowoczesną Polskę dla ludzi i przez ludzi.

6. 6 i 7 stycznia 1975 roku obradować będzie na XVI plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego PZPR. Plenum KC poświęcone będzie dalszemu ideowo-politycznemu i organizacyjnemu umacnianiu partii. Partia bowiem kreśli przed narodem wizję nowoczesnej Polski ostatnich lat XX wieku i partia dba o konsekwentną realizację tej wizji, o jej przyszły konkretny kształt. Tych ogromnych zadań nie wykonamy bez przewadnej roli silnej, ideowo i politycznie zwartej partii.

## OKO NA GOSPODARKE

## DZIŚ czyli POJUTRZE

Nowy rok już u drzwi, a więc jak obyczaj każe nie tylko warto, ale i trzeba zgodnie z tradycją dokonać pewnego podsumowania, takiego — czynionego na własny rachunek — bilansu wydarzeń, oczywiście gospodarczych, bo przecież Redaktor to miejsce wyznaczył sprawom ekonomicznym.

Tyle w charakterze wyjaśnień i zarazem usprawiedliwienia. A teraz ad rem, czyli do rzeczy.

Więc — popróbujmy wspólnie wybrać najważniejsze wydarzenia ekonomiczne roku 1974 w naszym kraju, których — jak sądzę — i Ty taskawny Czytelniku byłeś nie tylko uczestnikiem, ale i współtwórcą.

Tym razem liczby i wskaźniki proponuję odstawić do kąta. Jest to właśnie ukłon w stronę świątecznej atmosfery, która nie znosi liczb i wskaźników, a jeśli już to raczej w aspekcie bilansu domowych wydatków czynionych z okazji takich własnych świątecznych chwil. Weźmy natomiast pod rozwagę tzw. generalia. Było ich niewątpliwie w roku 1974 bardzo wiele. Świadomie pomijam — bo to rzecz powszechnie znana — takie fakty ze społeczno-gospodarczej polityki partii i rządu, jak konsekwentne działanie na rzecz modernizacji naszego przemysłu i rolnictwa w sensie technicznym, jak także same konsekwentne przestrzeganie zasady, iż nadrzędnym celem rozwoju ekonomicznego jest stała poprawa warunków życia naszego społeczeństwa. W tym sformułowaniu kryją się takie elementy polityki gospodarczej jak rozwój budownictwa mie-

szkanowego — na nie notowaną do tej pory w naszym kraju skalę, podnoszenie warunków bytu materialnego poprzez odpowiednią politykę płac i świadczeń socjalnych, ogromne wysiłki nie tylko dla umocnienia równowagi rynkowej, ale osiągnięcia odczuwalnej poprawy zaopatrzenia rynku w rozmaite produkty, zaspokojenia potrzeb i naszego apetytu, który — co tu dużo mówić — stale rośnie. Chciałbym jednak zwrócić uwagę PT Czytelników na jeszcze inne fakty, które w natłoku wydarzeń być może umknęły ich uwadze, a są niewątpliwie bardzo znaczącymi wydarzeniami, kto wie czy nawet nie bardziej istotnymi aniżeli nawet bardzo spektakularne decyzje.

Wydaje mi się, że przede wszystkim należy zwrócić uwagę na posunięcia o charakterze organizacyjnym, które zostały dokonane w mijającym właśnie roku. Do tej pory — można chyba zaryzykować takie powiedzenie — dystans jaki dzielił nasz kraj w stosunku do państw najbardziej rozwiniętych był przede wszystkim „luka” w dziedzinie zarządzania i sterowania nie tyle procesami ekonomicznymi co poszczególnymi ogniwami naszego życia gospodarczego. Odnosi się to do funkcjonowania poszczególnych branż, zjednoczeń, a przede wszystkim przedsiębiorstw. Procesy przemian były tu chyba najgłębsze, a odnoszą się one zarówno do modelu przedsiębiorstwa socjalistycznego, czego wyrazem było powołanie do życia tzw. WOC-ów, czyli Wielkich Organizacji Gospodarczych. Ale nie tylko o samo powołanie tutaj chodzi.

Bardziej jeszcze istotne jest okrzepienie tych placówek, zdanie z powodzeniem praktycznego egzaminu w działaniu, i to w dodatku z dużym społeczno-gospodarczym sukcesem. Jakby się komuś mogło wydawać nie jest to zabieg czysto formalny, organizacyjny. Ma on bowiem swoje głębokie konsekwencje ekonomiczne, prowadzi do wytworzenia zupełnie nowego modelu zarządzania, który wraz z przemianami i odbiurokracyzowaniem systemu planowania gospodarczego, powinien przyczynić się do uelastycznienia całej naszej gospodarki.

Nie ma co ukrywać — że są to sprawy o kapitalnym znaczeniu dla rozwoju społeczno-gospodarczego. Chodzi przecież o właściwe wykorzystanie środków materialnych zaangażowanych w sferze przemysłu, maszyn i urządzeń, materiałów, a wreszcie tego co najcenniejsze — pracy, umiejętności, kwalifikacji człowieka.

Właśnie człowiek, jego możliwości i twórczość.

I tutaj dochodzimy do kapitalnego problemu, który — mam wrażenie — przewijał się przez wszystkie posunięcia gospodarcze w mijającym roku 1974. Przypomnijmy bowiem pewne tylko wybrane fakty. Mieliliśmy przecież do czynienia z ogólnokrajową kampanią ujawniania zbędnych surowców i materiałów, akcją, która tylko w samej Łodzi w 285 zakładach przyniosła ujawnienie rezerw przedstawiających niebagatelną wartość 1 miliard 700 milionów złotych. I tutaj pewną rzecz trzeba wstulować. Używamy wprawdzie sformułowania, że są to zbędne rezerwy, ale jest to określenie nieco zwodnicze. Faktem bowiem jest, że owe materiały i urządzenia, surowce i półprodukty ujawnione w owych 285 przedsiębiorstwach łódzkich mogły być uznane w poszczególnych zakładach jako zbędne. Natomiast gdzie indziej były one wartościaki niezmiernie poszuki-

wanymi i niezbędnymi. Rzecz więc sprowadza się do tego by je nie tylko ujawnić, ale właściwie i prawidłowo wykorzystać. I taki był właśnie cel tego przedsięwzięcia gospodarczego i racjonalizującego naszą gospodarkę materiałową, powtórzmy — posunięcia niezwykle potrzebnego w dobie światowego załamania się rynków surowcowych, w czasach, w których wartość, cena na surowce skacze nieustannie w górę i każda tona węgla, bawelny, po prostu przedstawia wartość złota.

I kolejny, też niezmiernie złożony, ważny i podjęty przez partię i rząd problem ekonomiczny, ale w równym stopniu społeczny. Kompleks spraw i środków prowadzących do rozwiązania problemu żywnościowego w naszym kraju.

I znowu cieżnie się tutaj uwaga o nieco ogólniejszym charakterze.

Nie jest tak, że to właśnie my jesteśmy szczególnie narażeni na ów trudny problem zaspokojenia w produktywności apetytów naszego społeczeństwa. Nie należymy do społeczeństw biednych, a w naszym działaniu mamy na uwadze coraz lepsze i pełniejsze zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych, bo chociaż obfitość dóbr nie jest ostatnim celem socjalizmu, ale jaka polityczna i społeczna alternatywa jest przed nami jeśli nie rozwiążemy skutecznie tego problemu.

Stąd też nasze wysiłki zmierzające do przebudowy wsi naszego rolnictwa w dziedzinie bliższej przemysłowi, gałęzi produkcji stosującej wielkotowarowe metody wytwarzania artykułów żywnościowych. Zdając sobie z tego właśnie sprawę możemy chyba nieco inaczej spojrzeć na problemy i sytuację żywnościową krajów, w których — jak to podają statystyki Organizacji Narodów Zjednoczonych — żyje 460 milionów ludzi trapiących permanentnie głodem.

Taką wylizankę problemów można by kontynuować z powodzeniem. Wypadałoby przecież powiedzieć też nieco o nowym spojrzeniu na problem wykorzystania kadr nie tylko poprzez przystąpienie do potrzeb pod względem ilości, ale przede wszystkim w aspekcie bardziej prawidłowego ich wykorzystania. A jest tutaj bardzo wiele do zrobienia o czym może świadczyć choćby jeden wybrany z brzęgu przykład. Otóż jak wskazują badania Naczelnej Organizacji Technicznej przeciętny inżynier 40 do 50 proc. swojego czasu pracy musi przeznaczać jeszcze na proste czynności administracyjno-biurowe. Zakładając, że nasza gospodarka zatrudnia około 220 tys. inżynierów i że 1/4 całości ich zadań stanowią czynności zbędne, uzyskujemy rezerwy dające się ustalić na 20 do 25 tysięcy inżynierów. Czy gra jest warta więc świeczki? To pytanie pozwolę sobie pozostawić bez odpowiedzi.

No dobrze — wylizanie, wylizanie, ale pora chyba na odpowiedź co należałoby uznać za generalny wyznacznik posunięć gospodarczych roku 1974?

Niewątpliwie oprócz konsekwentnie stosowanej polityki stałego rozwoju i polepszenia warunków społecznego bytu, za taki wyznacznik trzeba uznać dążenie do racjonalizacji naszej ekonomiki, do wytworzenia nowoczesnego modelu, działającego sprawnie i zapewniającego osiągnięcie efektów nie tylko na dziś, ale także na jutro i pojutrze.

I to jest rzeczywiście najważniejsze, to jest to o czym warto wiedzieć i uświadamiać sobie nawet wtedy gdy w trakcie noworocznej zabawy składamy sobie życzenia dalszej pomyślności.

KRZYSZTOF POGORZELEC



zebraniach wszystkich szczebli i konferencjach podejmowano sprawy związane z tymi formami pracy partyjnej, które pomocne są w realizacji zadań gospodarczych i społecznych. Jak dotąd przeprowadzono rozmowy z jedną trzecią kandydatów i członków partii.

— W toku kampanii — mówi sekretarz Białek — wyłonilo się wiele kłopotliwych spraw. Na przykład problem usprawnienia handlu i lepszego zaopatrzenia, na wsi zaś szczególnie sprawa niedostatecznego zaopatrzenia w węgiel i pasze treściwe. Ze spraw społecznych — otwarcie żłobka w Łasku i stołówek w większych zakładach pracy.

Obok tego — liczne przykłady zaangażowania, że wymienię choćby Kopyści, gdzie stu ludzi pracowało przy naprawie drogi: budowano wiaty, porządkowano obiekty przemysłowe i kulturalne. Pozytywnie przyjęto na wsi nowe formy świadczenia usług dla rolnictwa przez Spółdzielnie Kółek Rolniczych.

Przyznam szczerze, że dużo kłopotu sprawiło nam porządkowanie dokumentacji. Wielu ucieka na Śląsk za pracą. Sa wśród tych ludzi członkowie partii, którzy odchodzą bez przeniesienia. Musieliśmy, jak biuro de-tektywistyczne, prowadzić poszukiwania...

Tow. Gajda, sekretarz propagandy KP, zalecił mi wyjazd do Zelowa, ponieważ tam znajduje się stary ośrodek przemysłowy, w którym wykształcili się dobre tradycje w podejmowaniu inicjatyw partyjnych.

2.

Siedzi dziewczyna na szafie i śpiewa wesoło. Kiedy majster się wścieka, żeby zeszła do krosien, dziewczyna się śmieje. Trzeba coś wykombinować. Może nie zauważać wyglądu, zawstydzony?

Można. Ta dziewczyna po półtora roku została przodownicą: Makarenko znalazł się i dla dorosłych.

— Kiedyś był silny klan majstrów — mówi młody chłopak po technikum włókienniczym. — Często ludzie bez wykształcenia, pozbawieni właściwego podejścia. Młodemu trudno się przedrzeć. A majstrowie bali się swoich zastępców, czyli zakładaczy. Co ja miałem zrobić, gdy zakładacz siedział i kręcił palcami udając warłata, a maszyny stały? Na komitet też patrzono inaczej...

— Jak patrzono?

— Nieufnie. Poszedł człowiek na skargę, to potem majster albo kierownik mścili się na nim. Przeszali chodzić do komitetu. No bo sekretarz nie powinien dywanikowo, od razu do kierownika. Póść niż powinien, do salowego, powiedzieć: „słuchaj, Józiu, jest tak i tak, warto pomóc człowiekowi”. Po koleżeńsku załatwić, bez podrywania autorytetu, i żeby ludzie skarżący się nie ponosili konsekwencji. Kiedy kierownik nie chciał pomóc, to z miejsca: „Ja pójdę wyżej, napiszę, gdzie trzeba!” Zreszta niech pan innych popytaj...

W ZELOWSKICH ZAKŁADACH PRZEMYSŁU BAWELNIANEGO pisano setki skarg. Dzisiaj skargi zmalały do zera. Pozostał jeden pisarz etatowy. Pchła tupnie, to dla niego jakby ogień wierzgnał, i wszystko go boli.

Zakłady składają się z trzech części: Herbertów, Centrala i Zakład II. Przy każdym POP, czwartą POP tworzy administracja (dział głównego mechanika, transport, biura, dozór zabezpieczenia). Jest dwanaście OOP,

a w nich 34 grupy partyjne. Powstały w toku kampanii.

WZZPB pracuje 2300 osób. Do partii należy 581, kandydatów jest 37. W czasie kadencji przyjęto do partii 100 kandydatów, w tym 83 robotników, w większości przodowników pracy.

Nie ma skarg i taki procent upartyjnienia! Jak to jest?

Stanisław Baranowski startował od dołu. Tkactwa uczył się u rzemieślnika, potem skończył technikum. Pracując — studia na politechnice. Był tkaczem, mistrzem, w ciągu ośmiu lat kierownikiem „Herbertowa”, który zatrudnia 1000 ludzi i daje 68 proc. produkcji całego zakładu. Poznał to, co trzeba, od trzech

punkcie pralniczym. Kiedy sekretarz dowiedział się o tym, poszedł do tego punktu i spytał, czy ona pójdzie do szkoły, jeśli on jej pomoże. Zgodziła się. Sekretarz był „za krótki”, ale przy pomocy KP załatwił i praczka z maturą uczy się w Pabianicach.

Zastanawia mnóstwo prób o przyjęcie do pracy, względnie o przedłużenie zatrudnienia. Przeciwnie w kraju przedsiębiorstwa uganiają się za pracownikami.

Trzeba odpowiedzieć na pytanie: „Z czego żyje Żelów?”

Miasto liczy 8 tysięcy mieszkańców. W ZZPB pracuje 2300 osób. Wartość rocznej produkcji zakładów — około 630 milionów złotych, roczny

— Ale chyba nie tylko to decyduje o dobrej atmosferze, aktywności i wysokim upartyjnieniu załogi?

— Może nowe, jak na zelowskie warunki, metody wyróżniania ludzi dobrej roboty? Aby uzyskać tytuł zasłużonego dla zakładu, należy spełnić następujące warunki: pięć lat nieprzerwanej pracy, pełne wykonywanie planów, ścisłe przestrzeganie regulaminu pracy, KSR i BHP, zgłaszanie pomysłów racjonalizatorskich oraz czynny udział w życiu społecznopolitycznym przedsiębiorstwa. Rozumie pan, o co chodzi?

Przytaknąłem. Najważniejsze to ostatnie kryterium. Pojełł je również ludzie, którzy przychodzili z interwencjami.

— Pracując tutaj trzydzieści lat. Przez ten czas tylko dwa razy chorowałem i opuściłem pięć dni.

RYSZARD BINKOWSKI

# ORKIESTRA GRA PRZODOWNIKOM

lat pełni funkcję sekretarza KZ PZPR.

— Zrobilem to, co proponował ten młody włókiennik, i stałem się niejako instancją odwoławczą. Jeśli robotnik ma rację, to trzeba załatwić sprawę!

Kiedy miałem trzydzieści lat, stwierdziłem, że nigdy nie będę bogaty. Łapówek nie przyjmowałem, chociaż miałem różne propozycje. Ale, zdarzyło się tak, że jedna kobieta adoptowała dziewczynkę, którą po ukończeniu podstawówki przyjęto do szkoły krawieckiej w Łasku. Pod warunkiem, że dziewczyna otrzyma praktykę w naszej „Zelowlance”. Przez miał komisję na karku i nie mógł nikogo zatrudnić. Dyrekcja groziła, że wyrzuci dziewczynę ze szkoły. Próbowałem u kolegi krawca, ale bez rezultatu. Przez dwa tygodnie stukaliśmy do różnych drzwi, m.in. do „Wólczanki”, aż w końcu udało mi się znaleźć tę praktykę w „wielobranzówce”. I wówczas po raz pierwszy wziałem od dziewczyny łapówkę. Przyniosła mi kwiaty...

3.

Pomówmy o sprawach dnia powszedniego. W ciągu dwudziestu miesięcy przez KZ przewinęło się 122 interesantów, w tym 50 bezpartyjnych. Więcej niż w Radzie Zakładowej. Osiemdziesiąt osiem spraw załatwiono pozytywnie.

Samochodu na wesele syna nie da się, ale dziecko pracownicy powinno chodzić do szkoły w Bachorzynie, bo bliżej. Mieszkań też nie można szybko załatwić. Należy jednak załatwić sprawę zerwanego w gminie dachu, pogadać z dziećmi, które maltretują ojca, przesunąć pracownika, zgodnie z życzeniem, na inne stanowisko.

Maż upija się. Majster krzyczy, żeby wywalił. A może ukarać majstra? Miał czas, żeby wychować robotnika.

Ojciec chciał, aby córka uczyła się w szkole pielęgnarskiej w Pabianicach. Były trudności. Dziewczyna zrezygnowała i podjęła pracę w

zysk — 85 milionów złotych. Dla porównania nie wypada nawet wymienić budżetu miasta.

Stare rody włókiennicze. Niemal z każdej zelowskiej rodziny ktoś siedzi w włóknie. Wokół miasta biedne wioski, gospodarstwa drobne, a rodziny wielodzietne. Do roku 1972 przedsiębiorstwo nie rozwijało się. Były wprawdzie przymiarki do budowy przedziałni, ale nie z tego nie wyszło. Tak więc ze względu na położenie Żelów stał się na mapie kraju enklawą, gdzie zaznaczał się i występował nadmiar siły roboczej. Belchatów za miedzą, lecz we włóknie większość kobiet, które do kopalni nie pójdą. No, ale w ZZPB było ponad 1200 ludzi bez ukończonej szkoły podstawowej. Łatwo kogoś zwolnić i przyjąć nowego. Jednak dla zatrudnionego pozostanie w fabryce to „być albo nie być”. Stąd też żale i skargi płynące aż do władz centralnych.

Z miejscowego liceum młodzież odpływa do miast i nie wraca. Mimo to odmłodzono załogę, ponieważ w Zasadniczej Szkole Włókienniczej przy zakładach uczy się aktualnie 138 uczniów.

— W toku kampanii sprawozdawczo-wyborczej — mówi Baranowski — wybieraliśmy 34 grupowych. Robotników dwudziestu pięciu. Jedenastu grupowych jest nowych. We włókiennictwie, ze względu na trójzmianowość, praca grupy partyjnej jest trudniejsza. Szkoda czasu na zebrania. Dla nas grupa to zespół ludzi znający swoje problemy i mówiący o nich na co dzień. Przecież ci ludzie pracują na jednej sali i wykonują pokrewne zawody. Ważny jest grupowy. Żeby nie tylko powiadał o zebraniach. U nas grupowy razem z mężem zaufania załatwia bilety na imprezy, ale również występuje w sprawach odrabiania takich dni jak np. Sylwester, przekazuje do KZ uwagi ludzi, którym dzieje się krzywda. Latem brak napojów, albo gdy kłosc jest źle zaopatrzony — grupowy występuje z tym w imieniu robotników. Tak samo w sprawach zarobków.

W czwartkowe popołudnie w sali zakładowego ośrodka metodycznego zbierają się ludzie. Przychodzą odświętnie ubrani i nie spóźniają się. Jest kawa, herbata, ciastka.

Ci ludzie, to przedstawiciele różnych grup zawodowych, wytypowani przez RZ i poprzez nią zaproszeni przez dyrektora na czwartkowe spotkanie. W ciągu dwóch lat w spotkaniach uczestniczyło ponad siedmiuset robotników.

Nie ma protokółanta ani magnetofonu, można mówić swobodnie o wszystkim. Dyrektor przedstawia aktualne problemy przedsiębiorstwa; pyta np. czy należy kupić taką maszynę, proponuje nowe rozwiązania technologiczne itp. Sekretarz KZ omawia sprawy polityki międzynarodowej oraz... najżywońsze sprawy Zelowa.

Wstaje tkaczka.

— Kierownik Zakładu II nie pozwolił chodzić przez tkalnie po kawę. A na dworze błoto i ziąb! Przekonajcie go, że nie ma racji.

Robotnik z magazynu:

— Podczas zmiany asortymentu zawsze coś zostaje i to się wyrzuca. Dlaczego? Przecież to marnotrawstwo! Albo te porozwalane cewki. Chodzi się i depcze...

Ludzie wszystko widzą. Potrafią napiętnować. Współzawodniczą w Do-Ro, a obok marnotawstwo.

Kto trzy razy wygra w Do-Ro, ten

darmo dostaje wczasy. Zaskoczenie było niewąskie, ponieważ współzawodniczo wygrywała młodzież! Potem wieczornica, nagrody i dyplomy, przez cztery godziny różne własna orkiestra, przodownicy się bawią, ich zdjęcia na planszach. To cementuje. Wielu młodym przodownikom można dać statut do ręki.

Cementują również, choć to dzieł rozłąki, uroczyste odprawy rencistów i emerytów oraz spotkania z jubilatami. Trzeba ludziom dać się wygadać, nawet przez dwie godziny. Jak kto w kawalerii służył, jak chodził do panny, a chłopaki z tamtej wsi ze sztachetami...

— Ogólny klimat w toku kampanii jest dobry — mówi Baranowski. — Na zaopatrzenie pśiocha wszędzie, tego nie da się ukryć. Ale u nas ludzie przywiązani są do zakładu i miasta. Patriotyzm lokalny, dążenie do rozwoju. W czynie społecznym wzniesiono Dom Strażaka, stadion, trzy pawilony handlowe, jeden wielobranzowy; pomagano w wykończeniu oddziału w Zakładzie II. Ludzie widzą, co się dzieje. Zbudowaliśmy węzeł sanitarny, wkrótce znajdzie się praca dla 600 osób, ponieważ oddamy do produkcji supernowoczesną, odtworzeniową tkalnie automatyczną. Koszt budowy wyniósł miliard złotych. W piątek przekazujemy do użytku przychodnie lekarską wartości 5.400 tys. zł, przy czym udział zakładu w tej inwestycji wynosi 4 miliony złotych.

W tej kadencji średni zarobek wzrósł o 20 proc., z 2.261 na 2.701 zł...

Skoro tak, myślę, nie należy się dziwić, że załoga ZZPB wypracowała w czynach społecznych 6,5 miliona złotych, a sama tylko młodzież ZMS (w kadencji ilość członków wzrosła z 273 do 362) wypracowała społecznie 325 tys. zł.

Kiedy zabrakło watków, w niedzielę pięciuset ludzi wykonało bezpłatnie 16 milionów watków. To dla uczczenia zakładowej konferencji sprawozdawczo-wyborczej.

Pięćset osób z administracji myło okna, zawieszało firanki, szorowało parkiety, wywoziło gruz i układało chodniki, aby przychodnia lekarska została oddana w terminie.

Partia to jedno, Biblia drugie, co absolutnie nie przeszkadza, iż w Zelowie miniona kadencja przyniosła dwa lata tłuste.



Fot. Włodzimierz Parys

# Z PRZESZŁOŚCI RAWSKIEGO GRODU

W północno-zachodnim narożniku rynku w Rawie Mazowieckiej często zatrzymują się wycieczki. Turysty podnoszą wzrok do góry i usiłują odczytać tekst tablicy erekcyjnej umieszczonej na barokowym portalu dawnego kolegium jezuitckiego. Litery już zatarły, miejscami nieczytelne. Ale cyfra 1613 jest widoczna, jest to rok fundacji kolegium przez biskupa kujawskiego Pawła Wołuckiego oraz braci Filipa — wojewody rawskiego i Sebastiana kasztelana rawskiego. Uczniem kolegium był słynny pamiętnikarz Jan Chryzostom Pasek.

Obok portalu widnieje tablica pamiątkowa ku czci Stanisława Wesołowskiego, wybitnego działacza SDKPiL, który uczęszczał tu do szkoły w latach 1877—1881.

I wreszcie nad tą tablicą umieszczono w 1966 r. jeszcze jedną: „Muzeum Ziemi Rawskiej w Rawie Mazowieckiej”. Był to piękny akcent uroczystości związanych z obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego. Jedno z najstarszych polskich miast otrzymało placówkę muzealną.

Konserwatora Zabytków w Łodzi bieżące warunki nie sprzyjały rozwojowi działalności muzeum.

Dzięki zrozumieniu i poparciu władz powiatowych, otrzymało ono pomieszczenia w dawnym kolegium jezuitckim. Tu 22 lipca 1966 r. otwarto skromną wystawę obrazującą dzieje Ziemi Rawskiej od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy.

Wystawa była niewielka, ale wśród zwiedzających mieszkańców Rawy widać było radość, iż wreszcie muzeum jest, działa. O tym, że placówka ta była potrzebna świadczyła frekwencja na imprezach organizowanych w salach muzeum. Koncerty muzyki dawnej w pięknie sklepionym korytarzu kolegium, odczyty, wernisaże, wystawy czasowe skupiały wokół muzeum tych wszystkich, którzy łaknęli wiedzy o przeszłości i przyszłości swego miasta i regionu. Jeżeli przypomnieć, że Rawa nie posiada Domu Kultury (obecnie w budowie) a prócz Biblioteki Powiatowej i Poradni Ruchu Amatorskiego brak było innych instytucji kulturalnych, ranga placówki muzealnej była i jest bardzo wysoka.

Podobnie jak większość muzeów regionalnych Muzeum w Rawie składa się z trzech działów: archeologii, historii i etnografii. Wszystkie te trzy

działy są bogato reprezentowane na Ziemi Rawskiej.

Jednym z najstarszych stanowisk archeologicznych nie tylko na Ziemi Rawskiej ale i w Polsce, jest grób z środkowej epoki kamienia — mezolitu (ok. 6000 lat p. n. e.) z Janisławic pow. Skierniewice. Pochowano tu mężczyznę — łowcę — z pękiem strzał do łuku, kościanymi sztyletami, rogowymi i kościanymi dętami. Mężczyzna miał na szyi naszyjnik z przewierconych żebów jelenich.

Skarb ozdób brązowych (bransolety, naramienniki) z III okresu epoki brązu (ok. 1500 p. n. e.) znaleziony w Rawie Mazowieckiej świadczy, że już wówczas tereny te były zasiedlone.

Grodziska w Starej Rawie, Rawie Mazowieckiej, Rzeczkowie, Dzwonkowicach, Białej Rawskiej, to ślady centrów administracyjnych z okresu wczesnego i pełnego średniowiecza.

Rawa Mazowiecka przedstawia w swoim rozwoju typowy dla Polski przykład kształtowania się ośrodka osadniczego o charakterze miejskim.

Pierwszą fazę rozwoju stanowił gród z podgrodziami (dzisiejsze grodzisko „Anielska Góra”), drugą fazą była osada przedlokacyjna (zw. „Stare Miasto”) i trzecią miasto lokacyjne.

W XVI w. Rawa Mazowiecka była jednym z największych miast mazowieckich. W 1564 r. było tu 441 domów i ok. 3000 mieszkańców, stolica województwa mazowieckiego tętniła życiem.

Dzieje polityczne kraju odbijają się wyraźnie na dalszych dziejach Rawy. Wojny szwedzkie w poł. XVII w. całkowicie niszczyły miasto. W 1660 r. stało 400 pustych i zniszczonych domów, mieszkańców zaś było już tylko ok. 250.

W II połowie XVIII w. wraz ze wzrostem elementów układu kapitalistycznego znacząco się pewne ożywienie gospodarcze. Ale już niepewne czasy pocz. XIX w. znowu przyniosły osłabienie rozwoju gospodarczego miasta.

W czasach Królestwa Polskiego rozpoczęła się odbudowa i przebudowa Rawy, która w dużym stopniu wpłynęła na obecny kształt miasta.

Kłeska powstania listopadowego znacząca się wyraźnym załamaniem tempa zapoczątkowanej przebudowy.

W okresie I wojny światowej Rawa była przez 9 miesięcy na linii frontu, spowodowało to zupełne zniszczenie miasta.

Druga wojna światowa również nie oszczędziła Rawy. Okupant hitlerowski zniszczył 78% zabudowy miejskiej, morderując ponad 2000 mieszkańców.

Obecnie miasto jest siedzibą Urzędu Powiatowego i liczy ponad 10.000 mieszkańców. Powstały liczne zakłady przemysłowe, szkoły. Najnowszym obiektem przemysłowym, który budowany jest w Rawie, są wielkie zakłady mięsne, jeden z największych tego typu zakładów w Polsce. Społeczeństwo Rawy zmienia oblicze miasta, buduje się osiedla mieszkaniowe. Wyrazem zaangażowania mieszkańców jest jeden z najnowszych eksponatów rawskiego Muzeum: „Księga czynów społecznych z okazji obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego”.

Tereny Rawskiego należą dziś do najciekawszych obszarów województwa łódzkiego w dziedzinie etnografii. Niewiele już, poza Łowickim oczywiście, terenów w których dawny strój regionalny używany jest na codzień, a tak jest w Rawskim.

W Rzeczyzyc działają warsztaty tkackie produkujące ludowe tkaniny bardzo popularne za granicą. Rzeźby w drzewie Mieczysława Zeglńskiego z Ryńska Dużego, tkaniny i wycinanki Janiny Przyborkowej z Zakoszcziela, pająki Marii Kabzińskiej z Rawy zdobyły sobie trwałe uznanie i liczne nagrody na wielu konkursach sztuki ludowej. Dział etnograficzny Muzeum Ziemi Rawskiej posiada wiele cennych eksponatów etnograficznych.

O tym jak szybko rozwija się rawska placówka muzealna świadczy fakt, że już obecnie przeżywa ona poważne kłopoty lokalowe. Brak miejsca na ekspozycje i magazynowanie zabytków, nie mogą się rozwijać pracownie konserwatorskie.

Ale kłopoty te wkrótce się skończą. Muzeum powiększy swe pomieszczenia w zajmowanym obiekcie, do którego dobudowane będzie zniszczone niegdyś boczne skrzydło.

Oddziałem Muzeum będzie zamek rawski. Po pracach wykopaliskowych, które zostały już zakończone, projektuje się tu urządzenie muzeum zamkowego prezentującego bogatą listę przedmiotów kultury materialnej od XIV do XVIII wieku. Wykorzystane zostaną do tego odpowiednio zaadaptowane piwnice zamkowe.

Możemy mieć nadzieję, że już niedługo warunki pracy rawskiego muzeum poprawią się znacznie. Oblicuje do tego pozycja miasta na ważnym szlaku drogowym Warszawa — Śląsk. Nowa autostrada dotarła już do Rawy od strony Warszawy.

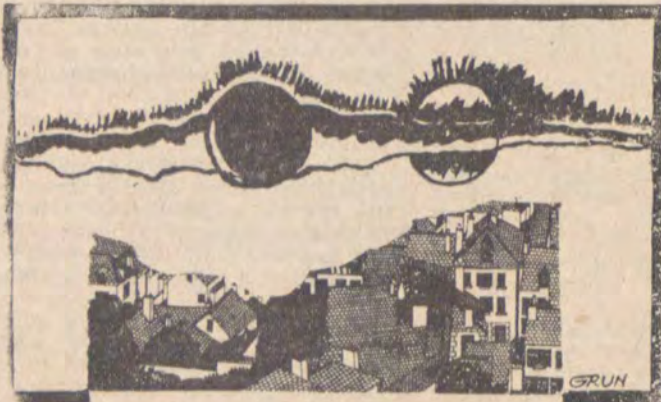
JERZY AUGUSTYNIAK



## MIECZYSLAW MICHAL SZARGAN



Tak mi nie na rękę jego nagła śmierć  
ta trumna z lasu sosnowego  
ten dzwon bijący sercem jak żelazną grudą  
listopadowy samochód w kwiatkach nyska  
Tak mi do tych gwiazd nie po mojej myśli  
ta woda jest martwa za którą on jest  
ten orszak przestępujący z nogi na kwiat  
biały jak na murze prosektoarium tabliczka  
Tak mi nie po drodze po nim cichy żal  
ta gwiazda rozbita jak w latorce szkiełko  
a przecież wolał mnie jeszcze żyjący głos  
jakby w kostnicy darli sine z bólu płótno  
Bo jeśli groby —  
to po słonecznej stronie cmentarza  
z aniołem biegnącym jak żagiew  
i sprawiedliwym jak czyste wody.



Biegłem.  
W jeżynowych kwiatkach śmiały się jaszczurki.  
Kwiat mi zbożowy oczy wykiwał.  
Lilia czerniała na krepę w ogródku.  
Biegłem  
wzdłuż żyta gorącego jak cegły w chlebowym  
piecu  
ze słońcem stojącym wysoko w mojej głowie.  
Mijałem obłoki i jaskółki.  
Głóg stawał dęba jak skrzep w śmiertelnej  
arcie.  
Różgi zasiekły w moich oczach motyla białego  
jak Hostia.  
Biegłem  
odbijając się od kamyków  
od skrzydeł skowronka  
od słońca  
— ścieżką z ognia.  
Płonęły korzenie w dymiących trumienkach  
piasku.  
Nóż w ziemię wbilem.  
W ustach naszych zaplakało okrwawione Słowo.  
Upadliśmy sobie na ręce i jedliśmy wielki głód  
ciała.



## BO JEŚLI GROBY

Bo jeśli groby —  
to po słonecznej stronie cmentarza  
z aniołem biegnącym jak żagiew  
i sprawiedliwym jak czyste wody.  
Bo jeśli groby —  
to z brzozą wrosłą w oczy przez ziemię glinę  
i wszystkie trumny  
z oczami dzieci którym z włosów rozkwitły fiołki  
pachnące jak w domu matki fiołkowa ściana.  
Bo jeśli groby —  
to pod jabłonią białą jakbym Boga w oplatku  
nożem zabił  
i przyjął krwιά ociekające ciało by ciało mnie  
zbawiło  
i trzy gwiazdy mi w gardle tkwią w jego trzech  
milczących ranach.  
Bo jeśli groby —  
to żywi z umarłymi przy jednym rodzinnym stole  
z solą pośrodku życia z chlebem przy samej  
śmierci  
i z tym aniołem co przybiegł z wieścią jak  
spocony chłopiec.

Byłem w domu, kurowałem swoją grypę. Trochę leżałem, trochę lażem po mieszkaniu, próbowałem czytać, napisać list do matki, ale ani przy czytaniu, ani przy pisaniu nie mogłem się skupić. Wszystko mnie drażniło. Patrzałem chwilami na Monę Lizę i myślałem o Irenie. Nie dlatego, bym chciał ją odszukać — swoje postanowienie nie wracałem do tej sprawy uważałem wtedy za ostateczne, lecz o tak, dla zabicia czasu. Jeżeli tajemniczy, nieodgadniony uśmiech Mony Lizy inspirował wiele pokoleń do szukania prawdy o tej kobiecie, do przypuszczeń, o czym myślała piękna modelka Leonarda, to i ja przecież mogłem pójść tym śladem. Nie chodziło mi o Monę Lizę. Lubilem tę reprodukcję, przyzwyczaiłem się do faktu, że wisł nad moim biurkiem, ale teraz myślałem o Irenie, o zagadce żywej, niemal dotykanej.

Zastanawiałem się, co nią powodowało. Im więcej myślałem, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Wszystko wydawało mi się głupie, nielogiczne, bez sensu. Jeżeli Irena należała do kobiet, które ze związków z mężczyznanami czerpią korzyści materialne, to przecież, do diabła, mogła zarobić. Tymczasem cały mój wydatek ograniczał się do kosztu koniaków i kawy. Jeżeli była kobietą uczciwą, to wszystko, co się stało, było zbyt swobodne i nowoczesne, nawet jak na dobę big-beatu i długich włosów. Jeżeli natomiast była to studencka fanfaronada, pozowanie na oryginalność — to dziękuję, zbyt śmiała, jak na mój gust.

Niespodziewanie dla siebie odkryłem, że szukam usprawiedliwienia dla Ireny. Nudziła się, znajomy nie przyszedł, chciała się rozerwać, zabawić. Nie zaczęła mnie przecież, to ja podszedłem nie przorszony do jej stoika. „Nie zawiera się w ten sposób znajomości”. W tym „nie zawiera się” odkryłem śmieszność. Przecież „zawarcie znajomości” było niczym w porównaniu z odwiedzinami u mnie, w moim mieszkaniu, nocą. Współczuła mi? Odgadnęła, że się źle czuję? Jestem samotny? To przecież jej argumenty — ofuknąłem sam siebie. — Samotny?... Nagle wydało mi się, że odkryłem karty, którymi grała. Przyszła do mieszkania, zorientowała się, że jestem kawalerem i postanowiła... Co postanowiła? „Postanowiła rozkochać cię w sobie, uczynić posłusznym, to da jej więcej niż jednorazowy... „utarg”.

Z tą koncepcją czułem się jednak źle, wydawałem się sobie śmieszny. „Brała mnie więc za idiotę, chyba na takiego nie wyglądam”. Zadzwoń telefon. Zwiłkiem się z tapczanu i podszedłem do biurka, podniosłem słuchawkę.

— Słucham.  
— Jak się pan czuje, doktorze?  
— Pani Jadzia. — odgądem.  
— Dziękuję za pamięć. Kuruję się.

— Pamiętamy o panu, życzymy powrotu do zdrowia. Jak najszybciej.  
— Nie „pamiętamy”, tylko pani pamięta.  
— Wszyscy pamiętają, przesyłają pozdrowienia.  
— Nikt jeszcze nie dzwonił.  
— Mamy dużo pracy, czekamy na pana.

Jadzia była pielęgniarką w pogotowiu. Młoda, ładna, bardzo zdolna dziewczyna. Wiedziała, że darzy mnie sympatią, więc zaproponowała:  
— Może by pani zajrzała do mnie, panno Jadziu, jestem sam jak palec.

W słuchawce rozległ się śmiech.  
— Potrzebna panu pielęgniarka?  
— Bardzo potrzebna, choruję przecież.  
— Grypa to nie choroba.  
— Kto tak mówi? — zawołałem z udanym oburzeniem. — Wzorowa pielęgniarka?

Zasmiała się.  
— Co pani o tym myśli, panno Jadziu?  
— Chwila ciszy.  
— Gdyby pan był chory, to proszę zadzwonić, może bym... Nie nalegałem, powiedziałem wesoło:

— Czuję, że mój stan się pogarsza, zadzwonię do pani.  
— Nie chcę, żeby stan się pogarszał.  
— Inaczej pani nie przyjdzie.  
— Pan doktor żartuje.  
— Nie żartuję.

Jeszcze chwilę przekomarzałem się z Jadzią, po czym odłożyłem słuchawkę. Mój nastrój znacznie się poprawił. Przyjemnie jest wiedzieć, że ktoś o nas pamięta, myśli. O Jadzi wiedziałem, że nie przyjęła oferty Jacka Zelowskiego, młodego lekarza, który kochał się w niej od dawna i proponował jej małżeństwo. Tak mówiono, a ja nigdy nie dociekałem, czy to prawda, czy plotki. Jadzia mogła się podobać nie tylko Jackowi. Telefon od niej przypomni mi pracę.

Zatęskniłem za zapachem eteru, jodnym, za atmosferą szpitala. Zmierzyłem temperaturę: trzydzieści siedem i dwie kreski. Jutro powinno być dobrze, pojutrze wrócę do pracy, a Irena... niech szuka przygód z innymi, nie ze mną. Niespodziewanie przypomniał mi się smak jej pocałunków. Umiiała całować, robiła to z przyjemnością, z oddaniem, namiętnie. „Jej pocałunki na pewno były szczerze. A więc może to wszystko...”

Znowu zadzwonił telefon. „Ki diabeł!” — pomyślałem ze złością.  
— Słucham.  
— Czy pan doktor Wodytło?

EDWARD  
KOPCZYŃSKI

KAJETAN  
PAKOWSKI

## GRYPA

— Tak.  
— Tu Irena.  
— Na moment straciłem oddech, serce zaczęło bić mocniej.  
— Słucham, pani Ireno.  
— Pan choruje, tak? No, nic dziwnego, miał pan temperaturę.

— Miałem temperaturę przy pani, to chyba zrozumiałe — pozwoliłem sobie na niewybredny żart. Sytuacja zaczynała mnie denerwować. Dziewczyna, tak mi się zdawało, działała według jakiegoś planu. Skąd, u diabła, miała numer mojego telefonu?

— Pan jest niezadowolony, że zadzwoniłam?  
— Lecz nie, skądże — płątałem się. — Zastanawia mnie tylko, skąd pani zna mój numer?

W odpowiedzi usłyszałem śmiech.  
— Na pana drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem, a znaleźć w książce telefon nie trudno przecież. Jeżeli jednak pan się gniewa, to do widzenia...

Miałem wyschnięte gardło, serce mi biło jeszcze mocniej, nie chciałem, by odłożyła słuchawkę, rzuciłem szybko:  
— Dlaczego pani dzwoni?

Zasmiała się.  
— Chciałam panu pomóc. Mogę coś kupić do jedzenia i przynieść. Pan pewnie nie wychodzi z domu?  
— Staralem się myśleć porunną szybko. Co powiedzieć? Ze mam wszystko, że niczego mi nie brakuje, że dziękuję za uprzejmość, albo brutalnie — niech idzie w diabły i nie zwracaj mi głowy, niech sobie poszuka innego frajera. Powiedziałem jednak:

— Gdyby pani była tak uprzejma...  
— Ależ jestem, dlatego dzwonię.  
— Chwileczkę — powiedziałem ze ściśniętym gardłem — zobaczę, co mam w lodówce.

— Czekam.  
Nie zaglądałem do lodówki. Miałem wszystko, co mi było potrzebne, zapatrywała mnie dozorczyń. Gorączkowo myślałem, że postępuję głupio, nierozważnie, że z własnej woli pcham się w jakąś kabałę. Natychmiast jednak przyszła refleksja: „Co ci szkodzi, stary, nie ugryzie cię przecież”.

Już wesoło mówiłem do słuchawki:  
— Pani Ireno, jeżeli można prosić, to potrzebna paczka masła, trochę wędliny, jakiś chleb, może sardynki, może jeszcze jarzębiak.

— Jarzębiaku nie kupię.  
— Dlaczego?  
— Bo chorzy nie mogą pić.  
— Ja jednak bardzo proszę...  
— Nie kupię. Czy to już wszystko?

— Tak. Kiedy pani będzie?  
— Za godzinę, może półtorej. Do zobaczenia.  
Pobiegłem do łazienki. Dziwne, ale czułem się szczęśliwy. Już nie analizowałem, nie zastanawiałem się nad niczym, rozpięrała mnie radość, że Irena przyjdzie, że będzie ze mną. Mydliłem szybko twarz, żeby się ogolić. Facet w lustrze uśmiechał się, miał wesołe iskierki w oczach: „Połknąłeś haczyk, stary. Uważaj...”

Podziwiałem Irenę. Przyszła, tak jak przyrzekała, nie trwało to nawet godziny. Przyniosła zakupy, ale jarzębiaku wśród nich nie było. Ten fakt niezmiernie mnie ucieszył, miał dla mnie szczególną wymowę.

Zajrzawszy do kuchni Irena oświadczyła, że musi zrobić porządek.  
— W takim bałaganie zginie pan marnie.  
Próbowałem protestować, ale to nie odniosło żadnego skutku. Podwinęła rękawy swetr i wzięła się za mycie naczyń.

— Wszystko pan powyciągał — powiedziała z naganą, patrząc na stertę brudnych talerzy, ustawioną na lodówce.  
Chciałem wycierać, ale nie wierzyła w moje talenty gospodarskie.

— Proszę to zostawić, jeszcze pan coś stłucze.  
Z przyjemnością na nią pat-

rzyłem. Wysoka, bardzo zgrabna, z dobrze zrobionym, nie rzucającym się w oczy makijażem, poruszała się swobodnie, z wdziękiem, a wszystkie czynności, przy wykonywaniu których nigdy nie grzeszyłem nadmiarem zręczności i zapałem, wykonywała szybko i sprawnie.

— Ładnie pani to robi.  
— Dziwi się pan pewnie, to nie pasuje do pańskich wyobrażeń o mnie.  
— Stanowczo zbyt szybko odgadywała moje myśli.  
— Gdzie się pani tego nauczyła.  
— Na kawalerkach.

— Dlaczego pani tak mówi?  
— Bo pan myśli, że jak dziewczyna popelnia takie ekstrawagancje, jak ja, to już nic nie może umieć.  
— Ależ skąd...  
— Nie dała mi dojść do słowa.

— Musi pan wiedzieć, że zanim wyrwałam się do mlasta, mieszkałam z rodzicami. Mama zajmowała się gotowaniem, ja musiałam dbać o porządek. Nie znoszę brudu i bałaganu.

— A ja na tym skorzystam — zażartowałem.  
Irena uśmiechnęła się.  
— Jaki pan coś dzisiaj?

— Piłem herbatę, zrobiłem sobie kanapki...  
— Przyniosłam trochę mięsa. Ma pan cebule?  
— Powinna gdzieś być.

Zaczęła szukać, zajrzała do szafki pod oknem, do lodówki i zobaczyła moje zapasy.  
— Dlaczego pan mi powiedział, że w domu nic nie ma?

— Bo chciałem panią zobaczyć.  
— Znowu uśmiechnęła się.  
— Jeśli tak, to rozgrzeszam pana.

W niecałą godzinę kuchnia była uporządkowana, na dwóch talerzach złożyła się wołowina, pięknie przyrumieniona, a aromatycznym sosie z cebulą.  
— Mamy jeszcze trochę jarzębiaku, coś tam zostało — powiedziałam.

— Nie, dziś nie pijemy.  
Irena zawiadnęła mną. Po jedzeniu pozmywała naczynia, rozliczyła się ze mną z wydatków za poczynione zakupy, a potem spytała, przylgając się do mojej twarzy:  
— Temperaturę pan mierzył?

— Mierzyłem. Trzydzieści dziewięć i pięć kreszek.  
— Oboje wybuchliśmy śmiechem.

— Niech pan powie prawdę, bo zaraz poszukam termometru. — Trzydzieści siedem. Jestem zdrow jak ryba.  
Irena spojrzała na mnie z uwagą.

— Co pan o mnie myślał? — spytała nagle.  
— Nic — skłamałem.  
— To źle. Ja o panu myślałam.

— Ja też — przyznałem się.  
— No i co?  
— Znowu wybuchliśmy śmiechem. Wzięłam Irenę za rękę, usiadliśmy na tapczanie.

— Pan doktor chce podzielić się ze mną grypą?  
— Obudził się we mnie lekarz.  
— Psiakrew. Zupełnie zapomniałem.

Odruchowo odsunąłem się od niej. Irena śmiała się.  
— Widzisz, przede wszystkim jesteś lekarzem, nawet teraz, w tej chwili. Otóż wiedz, że ja się grypy nie boję. I nie zarażam się tak łatwo.

Wysunęła głowę, podała mi usta do pocałunku.  
— No — rzuciła, widząc moje wahanie.  
Dotknąłem jej ust krótkim, suchym pocałunkiem.

Spojrzała na mnie uważnie, uśmiechnęła się.  
— To mnie zastanawia...  
— Niedobrze z nami.  
— Dlaczego?  
— Tak całują ludzie, którzy...  
— Dokończ.  
— Kiedy kochają.  
— Kocham cię chyba — powiedziałam.

— Uśmiech zgasił na jej twarzy, oczy na moment straciły blask.  
— Tak ci się tylko wydaje.  
— Kocham cię, Ireno — powtórzyłem. W tej chwili wierzyłem głęboko, że mówię prawdę (...)

Wszystko w naszej znajomości było dziwne, nawet pierwsze zbliżenie. Od chwili, gdy odszukałem Irenę w „Ofeli”, spotykaliśmy się często, nigdy jednak nie umawialiśmy się z góry. Irena dzwoniła do mnie w wolnej chwili, lecz nie zawsze miała czas, aby się ze mną spotkać. Toteż nie widywaliśmy się codziennie.

Mimo to byłem szczęśliwy. Problem, czy naprawdę kocham Irenę, rozstrzygnąłem już dawno. Kochałem ją. Mówiłem jej o tym i pytałem, czy kocha mnie również. Nie odpowiadała mi na

to. Raz zadała mi inne pytanie: czy wierze w miłość. Zapewniałem ją, że tak. Opowiedziała mi wtedy o swoim domu, o rodzicach. Przeraziłem się...

— Ojciec mój jest aptekarzem — mówiła. — Wiesz, w N., to nieduże miasteczko, niewiele większe od osady. Ksiądz, lekarz, kierownik szkoły, paru nauczycieli i mój ojciec — to elita. Trzy razy w tygodniu grają w brydża i piją wódkę. Mój ojciec jest bardzo przystojny, wysoki, może trochę za tegi. Ma pięćdziesiąt dwa lata. Matka moja, ładna, dziesięć lat od niego młodsza, wysza za mąż z miłości. I co? Od wielu lat, jak tylko pamiętam, wciąż narzeka, płacze. Ojciec gania za kobietami, nawet nie do bardzo z tym się kryje przed matką. Raz jest to nauczycielka z wiejskiej szkoły, to znów urzędniczka z Gminnej Samopomocy, kiedyś indziej dziewczyna ze wsi. Przez parę lat, kiedy jeszcze dojeżdżałam do gimnazjum w K., nie było w domu dziewczyny do pomocy właśnie z tego powodu.

Pomagałam matce wtedy w prowadzeniu domu, bo albo plakała, albo mizdrzyła się do ojca, chcąc go dla siebie pozyskać. Jakaż wydawała mi się śmieszna. Przebierała się parę razy dziennie, siedziała przed lustrem, czesała się, poprawiała makijaż. Teraz już to minęło. Zrezygnowała, nie ma siły walczyć dalej o ojca. Zgodziła się nawet na przyjęcie dziewczyny do pomocy, bo zrozumiała, że to przynosi mniej wstydu, ludźmi mniej wiedz, mniej plotkują.

Irena milczała chwilę.  
— Patrzyłam na to wszystko przez wiele lat, rozumiałam dużo już wtedy, kiedy rodzice moi myśleli, że jestem jeszcze głupia, że wystarczy ciszyć głos, a nic nie usłysze, nie będę wiedziała. Patrzyłam i przyrzekałam sobie, że będę żyła inaczej, że nigdy się nie zakocham... Byłam szczęśliwa, kiedy zdałam maturę i egzamin do szkoły teatralnej. Egzamin nie był dla mnie losem szczęścia. Uczyłam się jak warlatka. Nie spałam po nocach, wkuwałam, czytałam, uczyłam się języków, za wszelką cenę chciałam stamtąd uciec. Dopięłam tego. Nigdy nie wróce do N. Patrzyłam na matkę, umocniłam się w przekonaniu, że aby być wolną, szczęśliwą, nie należy kochać. Miłość robi z kobiety niewolnicę. Z miłości cierpi, znosi upokorzenia, ośmiesz się.

Patrzyłem na Irenę zaskoczony.  
— Życie bez miłości, Ireno? Całe życie bez miłości?  
— Gdybyś widział to, co ja widziałam.

— Pokażę ci wiele doskonałych małżeństw, wielu ludzi, którym miłość dała szczęście.  
— A skąd możesz wiedzieć, że na pewno są szczęśliwi? Przypatrz im się dobrze. Zostaw trochę swobody tym swoim szczęśliwym małżeństwom, a zobaczysz. Pokaż mi mężczyźni, który by nie zdradził żony. Jeżeli nawet taki się znajdzie, to tylko dlatego, że nie nadarzyła się okazja. Spotykam często tych panów. Jak na mnie patrzają. Jak się przede mną popisują. A ich żony? Żyją w kurkach, które sobie stworzyły, i marzą o księciu z bajki. Ten ksiądz to najczystszy młody chłopak poznany na wczasach, głupi, ale silny, wysportowany, czasem ratownik z plaży lub przewodnik oprowadzający po górach.

— Musi ci być bardzo źle, Iruś, jeśli tak myślisz o miłości.  
— Wcale nie. Żle jest człowiekowi, który oczekuje rzeczy niemożliwych. Ja po prostu nie mam złudzeń, chcę w życiu zrobić karierę i to wszystko. Chcę zależeć tylko od siebie.

— Marzysz o zrobieniu kariery?  
— Tak. Mam talent, dużo pracuję, jestem uparta.  
Irena została moją przyjaciółką na swój ekstrawagancki sposób.

Byłem w domu, kiedy zatelefonowała. Spytała, czy może wpaść na pół godziny.  
— Zawsze — krzyknąłem uradowany, bo nie widzieliśmy się cały tydzień.

Wkrótce nadeszła. Z torebki wyjęła małą butelkę jarzębiaku.  
— Przyniosłam, bo nie wiedziałam, czy masz coś w domu, a mam ochotę na kieliszek. — Spojrzała na mnie i powiedziała z uśmiechem: — Ciekawe, jak by to było, gdybym została twoją przyjaciółką?

— Nie zrozumiałem jej, zawsze zaskakiwała mnie.  
— Spojrzała poważnie, bez uśmiechu.

— Co o tym myślisz?  
— Nie umiałem myśleć, byłem szczęśliwy.

Odsunęła krzesło od stołu i zaczęła się rozierać. Dokładnie, z uwagą wieszła na oparcie krzesła części garderoby...

Fragment powieści pt. „Kariera”, nagrodzonej na konkursie Ilustracji Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia.



U PRZYJACIOŁ

Nakładem sofijskiego wydawnictwa „Narodna Kultura” ukazał się zbiór zarytowany „Współczesne polskie opowiadania”. Antologię tę opracował jeden z tłumaczy zawartych w niej utworów — Dymitr Ikononow. Dzieło to o objętości prawie 500 stron zawiera 40 opowiadań 21 autorów, między innymi: Jarosława Iwaszkiewicza, Wojciecha Żurkowskiego, Kazimierza Gładysza, Jerzego Rutimena, Tadeusza Różewicza, Jozeła Lenarta i innych.

Zobor ten jest niejako kontynuacją antologii „Burzliwe lata” wydanej przez to samo Wydawnictwo w języku bułgarskim w 1957 roku. Był to zestaw opowiadań opublikowanych u nas od zakończenia II wojny światowej do 1956 roku włącznie. Nowy zbiór przedstawia opowiadania i nowele wydane w latach 1957-1972. Można go uznać za próbę przedstawienia bieżącego rozwoju polskiego opowiadania w ostatnich piętnastu latach.

We wstępie do wydanej antologii Dymitr Ikononow podkreśla istotną rolę, jaką w literaturze polskiej odegrała i nadal spełnia ta forma literacka i zwraca uwagę na rozkwit polskiej noweli w ostatnim okresie. Zarówno w poprzednim zbiorze, jak i nowym, czołowe miejsce zajmują opowiadania związane z tematyką II wojny światowej. Antologia zawiera także szereg opowiadań poświęconych polskiej wsi, nowele o rewolucyjnych przemianach w naszym życiu społeczno-gospodarczym. Obok bogactwa tematyki zamieszczone zostały reprezentujące różnorodność i bogactwo stylów tej formy literackiej.

W antologii zamieszczono również krótkie notatki biograficzne o twórczości tych autorów, których dzieła tłumaczone były już na język bułgarski. Dwunastu polskich pisarzy, przedstawionych w tej antologii znanych jest już bułgarskiemu czytelnikowi z przetłumaczonych i wydanych wcześniej ich 24 książek — powieści, zbiorów opowiadań i nowel.

Zaprezentowane na XII Festiwalu w Warnie filmy bułgarskie uświadomiły, że osiągnięte w ostatnim okresie poziom artystyczny i ideowy tej kinematografii nadal wzrasta. Znany oraz zasłużony reżyser i pedagog radziecki Sergiusz Gerasimow tak ocenił te dzieła: „Wzrost twórczości”. Obecna kinematografia bułgarska jest wybitną kinematografią, za wszystkich prawami i obowiązkami wielkiego procesu kulturalnego, mającego znaczenie nie tylko dla ekranu krajowego, ale i światowego. Opinie te potwierdzają liczne nagrody międzynarodowe i żywcem przyjęte, z jakim spotykają się filmy bułgarskie w wielu krajach.

W produkcji ostatnich filmów jak „Iwan Kondarow”, „Najlepszy człowiek jakiego znam”, „Ostatnie słowo”, „I nadejście dzień”, „Lato biedaka”, „Spis zajęty” i inne, są wynikiem poszukiwań i naturalnie przebiegającego procesu twórczego, określonego i kształtowanego przez politykę kulturalną państwa oraz przez samych twórców, ich poczucie obywatelskiej i artystycznej odpowiedzialności.

W ciągu ostatnich dwóch lat znacznie wzbogacił się plan tematyczny-repertuarowy — wyprodukowano ponad 15 filmów o tematyce współczesnej i przygotowywane są już następne. Takie filmy jak „Drzewo bez korzenia” kreowany przez Chr. Christowa, „Światło dnia”, nad którym pracuje młody reżyser M. Nikolow, „Wieśniak na rowerze” reżysera L. Kirkowa osadzone są mocno w realiach dzisiejszej rzeczywistości bułgarskiej.

Cała twórczość filmowa ukierunkowana jest ku tym bohaterom i wątkom, które dają największą możliwość wzruszającego, pełnego i natężonego rozwiązania tematów dotyczących współczesnego i ogólnego życia, ludzkich osiągnięć w pracy, przemian społecznych i gospodarczych, które towarzyszą postępowi i rozwojowi Bułgarii.

W Belgradzie z inicjatywy rady miejskiej otwarte zostało muzeum poświęcone twórczości najwybitniejszego malarza serbskiego XX wieku — Petera Dobrovicia (1899-1942). Muzeum mieści się w domu, w którym mieszkał artysta w ostatnich latach życia, zgromadzone tu około 200 jego płócien i rysunków, pochodzących z różnych okresów twórczości. Przed otwarciem muzeum odbyła się retrospekcyjna ekspozycja obrazów Dobrovicia, które zebrano z galerii sztuki i ze zbiorów prywatnych z terenu Jugosławii.

Dobrowić zaczął malować pod koniec I wojny światowej, w epoce modygo wówczas postimpresjonizmu i kubizmu. Interesowały go wtedy przede wszystkim problemy formy; następnie lata przyniosły zwrot ku kolorystyce — artysta tworzy w tym czasie wiele pełnych politycznego nastroju, nasyconych harmonią barw pejzaży. Spod jego pędzla wyszły także liczne portrety między innymi płasza Miroslava Kriego, a także galeria portretów kobiecych.

Przekonania polityczne malarza doprowadziły do zaangażowania się w walkę z siłami imperialistycznymi i antyserbskimi; był jednym z organizatorów rewolwy w szeregach armii austro-węgierskiej, w roku 1918 brał udział w tworzeniu tzw. Małej Republiki Rad na terenie powstającego państwa w latach 1914-1918 państwa Serbów, Chorwatów i Słowenów. Cieszący się uznaniem w krajach Europy, był w pracy artystycznej związany zawsze z losami swej ojczyzny i swego narodu.

W systemie państwowym USA dużą rolę odgrywa potężna siła — pressure groups, czyli „grupy nacisku”, szerzej znane pod nazwą lobbyingu. Nie jest on zjawiskiem nowym w państwach kapitalistycznych, ale rozwinął się głównie w USA. Dziś mówi się tam już o profesjonalnym lobbyingu. Niegdyś działał on na gruncie zaparlamentarnym, wywierając wpływ na organa władzy państwowej środkami politycznymi i ekonomicznymi, w interesie klas posiadających, określonych grup czy instytucji.

Nowoczesny zawodowy lobbying amerykański rozszerzył swoje pole działania na sferę kontaktów z przedstawicielami organów władzy ustawodawczej i wykonawczej rządu USA, a nawet władzy sądowniczej. Ma także inną „klientelę” i właściwie nieograniczony zasięg „spraw do załatwienia”. Działa w interesie wielkich monopolii, karteli, kompanii naftowych, banków, finansistów, zaangażowanych w rozległych operacjach międzynarodowych, itp. itd.

W zasadzie nie dokonuje operacji kolidujących z prawem, ale od dawna oskarżany o „handel wpływami” niejednokrotnie stawał pod przegięciem amerykańskiej opinii publicznej. Lobbying Act, uchwalony przez Kongres USA w 1946 roku, miał na celu ukrośczenie jego działalności, ale postanowienia ustawy są tak niejasne, że w rzeczywistości, w pewnych ramach, nadają mu charakter legalny.

Wtajemniczeni twierdzą — pisze publicysta „US News and World Report” — że w przytłaczającej większości lobbying działa w ramach przepisów prawa i stara się optymalnie rozwiązywać problemy swoich klientów. Proponuje konsultacje w sprawach technicznych, zawodowych i uczestniczy w opracowywaniu niemal wszystkich ustaw przyjmowanych przez Kongres.

Lobbyści, w taki lub inny sposób, ale zawsze, wywierają wpływ na posłów i na działające instytucje rządowe. Większość spośród nich to ludzie którzy przez szereg lat pracowali w aparacie rządowym lub w instytucjach zbliżonych do rządu. Niektórzy są prawnikami z rozległą praktyką, prowadzą sprawy

swych klientów, a także reprezentują ich interesy w Kongresie lub w organach władzy wykonawczej. Pewien był pracownik FBI, obecnie współwłaściciel waszyngtońskiej firmy prawnej, częściej udziela porad swym klientom w sprawach związanych z działalnością rządu niż z problemami prawnymi. Wielu urzędników po odejściu ze stanowisk rządowych, zaczyna działać w lobbyingu. Na przykład w ubiegłym roku sprawy Zrzeszenia Producentów Przepiec Samochodowych „przepychali” lobbyści z pewnej firmy waszyngtońskiej, w której pracują byli wysocy urzędnicy Komitetu Budownictwa Mieszkaniowego i Planowania Miast, Federalnego Urzędu Budownictwa Mieszkaniowego i kancelarii wiceprezydenta. Interesy Amery-

poparcia i Departamentu Stanu, i Kongresu. Dziennikarze waszyngtońscy twierdzą, że lobbyści, którzy pracują na stanowiskach rządowych, mogą zapewnić mocne poparcie przy rozstrzygnięciu kwestii praktycznych. Na przykład jesienią 1973 roku rozgorzała klasyczna wojna o wybudowanie łodzi podwodnej „Trydent”. Lobbyści, w interesie swego klienta, zwrócili się o pomoc do byłego członka gabinetu, do pracowników Pentagonu, do ministra obrony i nawet do admirała Rickovera — specjalisty min. marynarki w zakresie budowy okrętów z silnikami atomowymi. Koniec końców poproszono ich, żeby się skontaktowali telefonicznie z najbardziej wpływowymi senatorami i zapoznali ich z ogólnym

zyciowym dla nich kongresmanom podczas ponownych wyborów do Kongresu. Większość lobbyistów poświęca swój czas i energię na sprawy bardziej poważne niż biady i przyjęcia z działaczami politycznymi. Wiadomo iż dostarczają oni zajętym pracą członkom Kongresu specjalne, interesujące ich informacje i proponują im wszystkie możliwe warianty działania. To właśnie stanowi podstawową część pracy lobbyistów. Nierzadko też piszą przemówienia członkom Kongresu. W organach federalnych i w komisjach kongresowych niektórzy lobbyści składają zeznania, podtrzymując pozycję swoich klientów. Wielu pomaga nawet w opracowywaniu projektów ustaw.

Działając w interesie wielkiego biznesu lobbyści umieją osiągać takie cele, jak np. przyjmowanie dogodnych dla klienta ustaw, przyznawanie dodatkowych kredytów, dotacji, lub korzystnych zamówień. Dlatego też monopolie, korporacje, koncerny itp. nie żałują pieniędzy na usługi lobbyingu, bowiem w ostatecznym rachunku usługi te przynoszą im krociowe dochody.

Władze nie wiedzą dokładnie, ilu lobbyistów działa w USA, ani też nie znają ich wydatków i dochodów. W Waszyngtonie jest zarejestrowanych około dwóch tysięcy lobbyistów. Przepuszczają się jednak, iż liczba ta powinna być znacznie większa. Dane dotyczące rozchodzonych sum też są mgliste; lobbyści „przyznają się” do 6 milionów dolarów wydatków w 1973 roku. Ale instytucje i firmy korzystające z ich usług wykazują o wiele większe sumy, wysygnowane na operacje lobbyingu. Wystarczy choćby wspomnieć, iż Amerykański Instytut Naftowy, który reprezentuje w Waszyngtonie przemysł naftowy, przeznaczył tylko w ub. roku, na operacje lobbyingu blisko ćwierć miliona dolarów. A inne firmy, kompanie, banki, monopolie? Wiadomo, że wielu spraw bez pomocy zawodowego lobbyingu załatwić się nie da. Pewna kompania handlowa zwiększyła w ciągu ostatnich jedenastu lat swój „sztab doradców prawnych” z dwóch do sześciu lobbyistów, mając jeszcze w rezerwie dwudziestu „specjalistów”, którzy w każdej chwili mają wstęp do Kapitolu. Specjaliści twierdzą, że około tysiąca wielkich kompanii w USA ma swoich etatowych lobbyistów w stolicy i korzysta z ich usług w specyficznych i delikatnych sprawach.

Za każdym razem, kiedy zostaje powołana do życia nowa instytucja lub zaczynają działać nowe instytucje rządowe, w Waszyngtonie pojawiają się nowi „specjaliści z zakresu lobbyingu”, przysyłani do stolicy przez swoje kompanie. Dowodzi to, jak wielką wagę przywiązuje się w kołach wielkiego amerykańskiego biznesu do instytucji lobbyingu.

Ludzie od dawna zajmujący się polityką, doskonale wiedzą, że przeciętny obywatel amerykański nie zdaje sobie nawet sprawy, jak ogromną rolę odgrywa lobbying w politycznym i gospodarczym życiu Stanów Zjednoczonych.

JERZY CZECH

ZAWODOWY LOBBYING  
czyli  
„HANDEL USŁUGAMI”

kańskiego Instytutu Żelaza i Stali „ustawiają na właściwe tory” byli pracownicy ministerstwa pracy, którzy swego czasu zajmowali tam kierownicze stanowiska.

Najwyższą ceną siebie w sferze lobbyingu byli senatorzy i członkowie Izby Reprezentantów z racji swych przyjacielskich stosunków z kolegami, którzy sprawują jeszcze funkcje w Kongresie. Był senator ze stanu Maryland, związany z waszyngtońską firmą lobbyingową, reprezentuje interesy jednej z kompanii energetycznych. Był członek Izby Reprezentantów ze stanu Wisconsin zabezpiecza kontakty Kongresu z największą centralą związkową AFT i uważany jest za jednego z najbardziej wpływowych lobbyistów w Waszyngtonie. Byli kongresmeni działający obecnie w lobbyingu mają jeszcze jeden cenny walor — swobodny wstęp do gmachu Kongresu. Stwarza im to okazję do rozmów z członkami Kongresu bezpośrednio w czasie głosowania nad projektami ustaw. Oni też realizują nawigowanie kontaktów między Kongresem i Białym Domem, między ministerstwami i organizacjami czy instytucjami mniejszej rangi. Wyżsi urzędnicy wchłonięci w orbitę działalności lobbyistów zajmują zazwyczaj stanowiska wiceministrów.

Częstokroć lobbyści mają duże doświadczenie administracyjne i znajomość pracy na wysokich stanowiskach rządowych. Za przykład może tu posłużyć były gubernator stanu Wirginia, który obecnie realizuje kontakty swoich klientów między Departamentem Stanu i Kongresem, nieraz bowiem załatwienie sprawy wymaga

projektem budowy łodzi. Zatelefonowali i... batalię wygrali.

Jak pracują lobbyści? Niezależnie od swoich interesów i politycznych sympatii, wykorzystują chwytliwy wypracowane na przestżeni dziesiątków lat. Przyjętą praktyką wielu „grup nacisku” jest mobilizacja „masowego poparcia dla jakiejś sprawy, żeby zwrócić uwagę rządu i Kongresu na nastroje Amerykanów i na tym ogniu uciec własną pieczęć. Jednakże wielu lobbyistów twierdzi, iż najlepsze wyniki daje aktywna działalność lobbyingu bezpośrednio w Waszyngtonie. Pewien prawnik, specjalizujący się w lobbyingu uważa, że najważniejszym elementem tej pracy jest dobra znajomość aktualnych wydarzeń. „Rozmawiam z urzędnikami Kongresu podczas przerwy na lunch — opowiada ów prawnik-lobbyista — studuję uważnie protokoły z posiedzeń Kongresu, dzięki czemu mogę doradzać moim klientom najbardziej odpowiednie momenty do załatwienia tej lub innej operacji. Wybranie odpowiedniego momentu jest, na pewno sprawą najważniejszą. Ale trzeba też wiedzieć, kiedy najlepiej wysunąć wniosek w sprawie poprawki do ustawy, kiedy najlepiej zobaczyć się z wpływowym senatorem...”

Lobbyści utrzymują, oczywiście, żały stosunki z ludźmi na których im szczególnie zależy. Pewna firma specjalizująca się w lobbyingu dostarcza wszystkim wpływowym członkom rządu bilety na mecze waszyngtońskiej zawodowej drużyny piłkarskiej. Nie jest w USA tajemnicą, iż jednym z najbardziej efektywnych chwytów lobbyistów jest pomoc, jaką okazują

NA przełomie ROKU

Jak wynika z doniesień agencyjnych z szeregu stolic najwyższe uprzedmiotowionych krajów kapitalistycznych, światła atmosfera zamęcza ich obywatelom coraz bardziej dające się odczuć objawy kryzysu gospodarczego.

Dla wielu obywateli USA — pisze na przykład agencja Reutersa — były to najsmutniejsze święta od wielu lat z powodu gwałtownego wzrostu kosztów utrzymania. Przejawem tego jest między innymi fakt, iż organizacja znana pod nazwą „Armii Zbawiciela” otrzymała w tym okresie o 30 proc. więcej niż zazwyczaj apeli o pomoc od ludzi znajdujących się w krytycznej sytuacji materialnej.

Także Brytyjczy w związku z inflacją, która osiągnęła w 1974 roku 18 procent, mieli na ogół skromniejsze święta niż zwykle. Królowa Elżbieta w tradycyjnym zaapelowaniu do narodu o wydajniejszą pracę, spokój wewnętrzny i zaniechanie wzajemnych waśni.

Obywatele RFN w sąsiednich krajach EWG odczuwają skutki recesji gospodarczej, ale również i tam daje się odczuć wpływ poważnego wzrostu bezrobocia. Objęło ono już 800 tys. ludzi, tj. 3,5 procent siły roboczej.

noworocznymi tzw. sebo, wielkie domy towarowe mają nader skromne utargi, a klienci ograniczają się w przeważającej większości do zakupów artykułów żywnościowych.

Spółeczeństwo japońskie jest po prostu zmęczone obecną sytuacją, rozgorzone brakiem jasniejszych perspektyw i zamętem politycznym. Również nadzwyczajna sesja parlamentu, która właśnie dobiegła końca, nie dała odpowiedzi na najważniejsze pytania: co zamierza użyć rząd, by ukrośnić szalającą drożyznę i przeciwdziałać recesji, jakie podjąć kroki, by ograniczyć samowolę wielkich firm monopolistycznych, czy — wreszcie — potrafi wydać skuteczną walkę korupcji i politycznemu przekupstwu.

Co prawda przez prawie dwa tygodnie członkowie parlamentu mówili o tych sprawach, lecz wystąpienia ich potwierdzały tylko, że na żadne szybkie zmiany Japoncy liczyć nie mogą. Wicepremier Fukuda stwierdził, że będzie dobrze jeśli uda się do końca obecnego roku finansować, czyli do 31 marca br. ograniczyć inflację do 15 procent, ale jednocześnie wyszyje wiedza że to tylko teoretyczne rozważania i żoźne życzenia, gdyż w roku kalendarzowym 1974 wyniosła ona około 25 procent.

Wielki business japoński i szereg ośobistoci Partii Liberalno-Demokratycznej w otwarty sposób dali do zrozumienia, że zrobią wszystko, by storpedować wszelkie plany narzucenia gigantom przemysłowo-handlowym pewnych, ograniczonych zreszta, rygorów, które utrudniałyby im spekulacje i dyktowanie cen na rynku.

W takiej atmosferze miały tu ostatnie dni roku, który — jak wszyscy oce-

niła — był najgorszy od dwudziestu lat, zamknął bowiem okres ciągu sukcesów i przy tym odebrał społeczeństwu japońskiemu nadzieję na to, by mogły one szybko powrócić. Przeciwnie, należy się liczyć z tym, że życie stanie się jeszcze trudniejsze.

Gdy w Sylwestra o północy dzwony świątyni zadźwięczały tu tradycyjnie 108 razy, większość rodzin japońskich wstuchiwała się w ich głos z niepokojem. Nowy Rok, który im zwiastował, zapowiadał się jako okres trudny i mocy przynieść wiele niepomysłnych wydarzeń. A jest to rok jubileuszowy — pięćdziesiąty rok, od chwili gdy cesarzem został Hirohito.

Równie nieprzejmennie rozpoczynają nowy rok mieszkańcy Bangladeszu. Rząd tego kraju wprowadził w ostatnią sobotę w całym kraju stan wyjątkowy z powodu niepokojów wewnętrznych, zagrożających „bezpieczeństwu i życiu gospodarczemu” państwa.

Dekret podpisany przez prezydenta Bangladeszu, Mohameda Ullacha i zapobrony przez premiera Mudżibura Rahmana zawiesił pewne prawa konstytucyjne obywateli i dał rządowi dodatkowe pełnomocnictwa, potrzebne do uporania się z obecnymi trudnościami kraju.

W Dhace nie ogłoszono oficjalnie, jakim dokładnie „niepokojom wewnętrznym” mają przeciwdziałać władze korzystające z uprawnień wyjątkowych. Jednakże wiadomo, iż w ostatnich miesiącach mnożyły się w Bangladeszu wypadki bezprawia, morderstwa polityczne i akty zwykłego bandytyzmu. Nie ujęcie sprawy zamordował w ciągu ostatniego roku co najmniej 6 członków parlamentu.

Grupy ekstremistyczne, cieszące się poparciem Pekinu, organizowały napady na przedstawicieli władzy i podburzały ludność przeciwko rządowi, wykorzystując trudną sytuację gospodarczą kraju.

Od kilku miesięcy Bangladesz boryka się dodatkowo z klęską głodu, której bezpośrednią przyczyną była katastrofalna powódź w sierpniu ubiegłego roku. Według danych oficjalnych od początku września zmarło z głodu 30 tysięcy osób. Oceny nieoficjalne są znacznie wyższe.

Zdaniem obserwatorów w Delhi, władze Bangladeszu wprowadziły stan wyjątkowy, by wydać energiczną walkę elementom ekstremistycznym, korupcji, bezprawia oraz spekulantom i przemysłownikom, sprzedającym za granicę ryż, którego brakuje dla kilkudziesięciu milionów powodźni.

W chwili obecnej najtragiczniejszym problemem Bangladeszu jest niedobór żywności. Aby nakarmić 72 miliony mieszkańców kraju trzeba co najmniej 12 milionów ton zboża. Tymczasem w tym roku na polach tego kraju zebrano tylko 9 milionów ton ryżu, będącego tam podstawą żywienia. Import zboża pokryje tylko część deficytu; przy tym okregi dotknięte głodem leżą na północ kraju, daleko od portów, dokąd przybywają statki ze zbożem. Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego premier Rahman zmobilizował wojsko do pomocy przy przewożeniu i podziale żywności.

Katastrofalne załamania koniunktury gospodarczych większości krajów kapitalistycznych, klęski żywiołowe w krajach trzeciego świata, narastające zjawiska kryzysowe, wobec których poszczególne rządy są bezradne, a próby uzgodnienia wspólnych działań jakoś im nie wychodzą, sprawiają, iż społeczeństwa kapitalistyczne z obawą i trwożą zaczynają spoglądać w przyszłość swoich krajów.

J. T. JANICKI



## SPOTKANIA TEATRALNE

Ambicją organizatorów dorocznych Warszawskich Spotkań Teatralnych jest ściągnięcie w początkach grudnia do stolicy i zaprezentowanie publiczności najlepszych spektakli roku, wystawionych na scenach pozawarszawskich. Od paru lat utrwaliła się powszechna opinia, że najciekawsze widowiska w skali kraju (nie wyłączając z konkurencji scen warszawskich) powstają w krakowskim Teatrze Starym im. Heleny Modrzejewskiej. Nic dziwnego więc, że właśnie ten teatr — laureat tegoroczny nagrody „Drożdż”, przyznawanej przez Redakcję „Polityki” — stał się etatowym niemal uczestnikiem Spotkań.

W tym roku, na X WST, Teatr Stary zademonstrował na scenie Teatru Dramatycznego w Pałacu Kultury i Nauki dwie inscenizacje dzieł Wyspiańskiego. „Wyzwolenie” w reżyserii Konrada Swinarskiego i „Noc listopadowa” — Andrzeja Wajdy. Premiery obu sztuk odbyły się w 1974 roku, w odstępie czterech miesięcy, obie uznano za najciekawsze wydarzenia teatralne roku.

Teatr, który jest w stanie w tak krótkim czasie dać dwie wielkie inscenizacje Wyspiańskiego, budzi po dziwnie jednak przy tym zagłuszyć refleksję, że obaj wybitni reżyserzy w wyborze sztuk kierowali się wyłącznie własnymi zainteresowaniami, nie weryfikując ich ze z-

tegowanym repertuarem teatru. Wygląda to trochę tak, jakby każdy z nich prowadził własną scenę...

przedstawienie to także towar deficytowy...  
O „Wyzwoleniu” Swinarskiego mia-

mencie”, „Popiołach”. W bezlistnym krytycyzmie wobec narodowej legendy popada Wajda w skrajności,

chy w odniesieniu do żony Joanny). Wajda przejmując ten skomplikowany instrument psychologiczny, by użyć go do kompromitowania niedojrzałości powstańców, upodlenia, zdradcy, wahań ugodowców i lojalistów. To jemu właśnie, carskiemu namiestnikowi, każe być surowym sędzią Polaków. Materiał na takie potraktowanie postaci Konstantego znajduje reżyser w tekście „Nocy listopadowej”.

Decydującą w tym ustawieniu dla przedstawienia rolę Konstantego powierzył Andrzej Wajda wykonawcy, który góruje nad innymi także kunsztem aktorskim. Jan Nowicki wyposaża postać Wielkiego Księcia w całe rejestry subtelnych przejść i gwałtownych zwrotów. Wzbogacając jego charakterystykę ze sceny na scenę aktor nie zapomina o funkcji koryfejskiej, jaką w inscenizacji Wajdy ma do spełnienia Konstanty. W nim jak w zwierciadle odbijają się błędy powstańców, od jego jak od tarczy odrzucone są ich nie skoordynowane ciosy, bezsilne już w chwili wymierzania.

W realizacji tych zadań prezentuje Nowicki dojrzały i różnorodny warsztat aktorski. Jakże błado wypada w zestawieniu z nim Wysocki w interpretacji Jerzego Stubra! Bładość ta ma źródło w podrzędnej funkcji, jaką wyznacza w przedstawieniu Wysockiemu reżyser, i chyba w ograniczonych umiejętnościach aktora.

Mniej klarownie od postaci Wielkiego Księcia wypadła Joanna w wykonaniu Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. Nie wyjaśniona została zapewne do końca funkcja Księżny Łowickiej w tym przedstawieniu. Czy ma być przy Konstantym swiastką Lady Makbet, czy maszyną do kochania, czy wręcz symbolem sprzeciwu i wewnętrznego rozdarcia Polaków?

W pięknym epizodzie Demeter błysnął wielki talent aktorski Zofii Jaroszewskiej. I tyle chyba powiedziane należy o aktorstwie w tym przedstawieniu. Nie ono bowiem stanowi główny atut widowiska. O jego urodzie i ekspresywnej poetyce decydują rozwiązania inscenizacyjne Andrzeja Wajdy i szlachetnie brzmiąca muzyka Zygmunta Koniecznego.

W zasadzie scena wieje mroczną pustką. Czasem tylko otwiera się jakby drugie dno w jej głębi, by ukazać jaskrawo oświetlone wnętrza szkoły podchorążych, gabinet Lelewela, czy łódź Charona wypełnioną poległymi, pięknie symbolizującą upadek powstania. Muzyka Koniecznego najlepiej dochodzi do głosu w pierwszej scenie, utrzymanej przez reżysera w konwencji operowej.

Przedstawienia Andrzeja Wajdy nie da się akceptować w całości. Jego przeakcentowania w wymowie ideowej i niektóre chwytły formalne budzą w widzu opozycję. Jednak nawet te peknięcia nie są pozbawione piękna, zmuszają do refleksji i dyskusji.

Słyszałem ostatnio w telewizji wypowiedź dyrektora stołecznego Wydziału Kultury i Sztuki. Zapowiadał, że ponownie zamierza się zaprosić Teatr Stary do stolicy. Pomyślałem sobie wtedy: A my? Czy zaproszenie tego przodującego teatru do Łodzi leży w sferze całkowicie nieracjonalnej?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# „NOC LISTOPADOWA” ANDRZEJA WAJDY

Ale zostawmy na stronie sprawę wewnętrznych podziałów przebiegających w łonie Teatru Starego. Na krajowym festiwalu, jakim są w sposób nieformalny ale faktyczny WST, ważne jest tylko to, że Kraków włączył się dwoma przedstawieniami najwyższej rangi artystycznej. Publiczność warszawska dała wyraz uznania dla Teatru Starego w sposób tak żywiołowy, że aż chyba dający do myślenia dyrektorom teatrów stołecznych. Teatr Dramatyczny — przepraszam! — gmach Teatru Dramatycznego był dosłownie oblegany przez tłum warszawiaków, zwłaszcza młodzieży żądnej artystycznej uczy przyrządzonej w Krakowie. Doszło nawet na pierwszym przedstawieniu „Wyzwolenia” do gorszących scen przy wejściu, musiała interweniować służba porządkowa.

Mówimy o kryzysie teatru w współczesnym modelu kultury. Kryzys? Warszawski sukces Teatru Starego mówi o czymś innym. Dobrze

lem już okazję pisać w „Odgłosach” tuż po premierze krakowskiej. Skupię się więc na „Nocy listopadowej” w adaptacji, reżyserii i oprawie scenograficznej Andrzeja Wajdy. Po adaptacji scenicznej „Biesów” Dostojewskiego (1971), spektaklu który zyskał sławę europejską („Cudowny ten spektakl wywarł na mnie nadzwyczaj silne wrażenie... W Londynie przedstawienie cieszyło się ogromnym powodzeniem, zyskując wielkie, w pełni zasłużone uznanie zarówno publiczności, jak i krytyków. Stanowiąc szczytowy moment Festiwalu” — pisze o nim w swej książce „Mój świat teatru” organizator London Festival, Peter Daubeny, który zaprosił Stary Teatr z „Biesami” w 1972 roku do Anglii), jest to kolejna dużego formatu inscenizacja Wajdy na zasłużonej scenie krakowskiej.

Mówiłem wyżej, że i Swinarski, i Wajda kierowali się w wyborze Wyspiańskiego osobistymi zainteresowaniami. Swinarski, po pamiętnej inscenizacji „Dziadów” Mickiewicza traktował „Wyzwolenie” jako naturalną kontynuację, o czym świadczy chociażby obsadzenie Jerzego Trela w obu widowiskach w roli Konrada. A Wajda? Dlaczego sięgnął właśnie po „Noc listopadową”?

Truizmem byłoby twierdzenie, że to nie przypadek. Kto śledzi całość twórczości Andrzeja Wajdy — w twórczości tej, jak u Bergmana, nie da się oddzielić wypowiedzi filmowych od teatralnych — ten zna pasję, z jaką reżyser ten tropi wszelkie mity zalegające i fermentujące w świadomości narodowej w miejsce racjonalizmu, gloryfikujące globalnie naszą polską przeszłość bez próby krytycznej analizy. W walce z hagiografią i mitologią nie waha się Wajda atakować treści uświęconych przez tradycję, ujawniać obecności ezadów, pod których trującym działaniem dokonywał Polacy czynów bohaterów i wielkich nieraz, ale przy tym z punktu widzenia interesu narodowego niecelowych lub wręcz błędnych.

Typy Polaków, obalamuonych sloganowymi hasłami, zablakanych na krętych, układających się w meandry drogach historii, odnajdujemy w „Kanale”, „Lotnej”, „Popiele i dia-

przeciwstawia starej, „pozytywnej” mitologii — mitologię własną, „negatywną”. Nic dziwnego, że szlachetne w założeniu, ale błędne w swej jednostronności rachunki artysty z przeszłością ranią często uczucia narodowe, budzą sprzeciw i to nie tylko u jednostek popadających w skrajny nacjonalizm.

„Noc listopadowa” Wyspiańskiego dałoby się określić jako poetycki — miejscami dosłowny, miejscami mistyczny reportaż z wydarzeń, jakie rozegrały się w Warszawie 29 listopada 1830 roku. Poeta, który w „Wyzwoleniu” i częściowo w „Weselu” śmiało atakował miazmaty rozprzestrzeniane przez poezję romantyczną i zatruwające świadomość narodową, w „Nocy listopadowej” sam daje się porwać patosowi powstańczego zrywu, staje się jego dość bezkrytycznym piewca. A przecież ukazując grupy zbrojnej młodzieży pod wodzą Wysockiego i Nabelaka, miotającej się po ulicach warszawskich i po komnatach Belwederu, ofiarnej i patriotycznej, ale pozbawionej doświadczonego dowództwa i jasnej koncepcji strategii i celów, mimo woli potwierdza Wyspiański ów kompleks tragicznych pomyłek, jaki legł u podstaw powstania listopadowego.

W tej warstwie utworu, w której obiektywna nieskuteczność zbrojnego wystąpienia podchorążych i belwederzyków skojarzona z mglistym programem staje w jaskrawej sprzeczności z poetyką egzaltacją Wyspiańskiego, z jej nieco naiwnym odwoływaniem się do bóstw greckich i do sławnych dzieł antycznej Hellady — w tej warstwie właśnie lokuje się Andrzej Wajda z całą nowoczesną aparaturą poznawczą i wiedzą człowieka dzisiejszego. Podłączenie tej aparatury przewartościowuje automatycznie tekst Wyspiańskiego. To co jest w nim patosem staje się patosem podniesionym do któregoś tam potęgi, to co dosłowne — peryflażem i bolesną drwiną.

Wyspiański, wprowadzając do „Nocy listopadowej” postać Wielkiego Księcia Konstantego, stara się przedstawić jego obraz psychiczny zgodny z przekazem historii. Jest to konglomerat ryceerskości i chamstwa, ambicji i tchórzostwa, żywości umysłu i głupoty, prawdziwej miłości i zwierzęcego popędu (te ostatnie ce-



Fot. W. PLEWINSKI

## WIZYTA U MADAME TUSSAUD

Od chwili ukazania się „Ludzi bezdomnych” minęło 75 lat: ileż pokoleń czytało tę powieść, ileż pokoleń dyskutowało nad losami jej bohaterów. W

polską kulturę językowa i poeciowa wrosło określenie „doktor Judym”, określenie lekarza społecznika, człowieka idealisty.

Ceni się dzisiaj piękno prozy Stefana Żeromskiego, urzeka jej siła wyrazu, koloryt w malowaniu tła, krajobrazu i postaci pełnych, mocnych, ludzkich. I to wszystko, bowiem problemy, to dziś już anachronizm, panoptikum woskowych figur, które budzą niejaki sentyment, ale i obojętność wobec spraw ważniejszych, dotyczących żywych ludzi.

Natomiast adaptacja i spektakl w Teatrze Ziemi Łódzkiej (teatr objazdowy posiada odbiorcę specyficznego), to propozycja przedstawienia „problemu”, samej fabuły odartej, z konieczności, z pięknej prozy. Dlatego propozycja Teatru przypomina gabinet figur woskowych. Już sama scenografia (Henri Poulain) postępująca się oleodrukiem (obrazy malowane na płótnie w owalu rami zmieniające się ilustrować w sposób realistyczny miejsca akcji) określa pewien dystansowy charakter, coś na kształt muzeum kiczu.

I aktorzy przenoszą widza do teatru z tegoż muzeum w sposobie budowania roli, wzruszeniach, niedopowiedzeniach. Widz patrzy, obserwuje, ale nie doznaje wzruszeń, bowiem muzealne zabytki budzą w odbiorcy jakiś odruch tylko

wtedy, kiedy odwołują się do jego historycznej świadomości.

W tym wypadku Teatr odwołał się do świadomości literackiej, zakładając, że widz nie pamięta dobrze znanej książki. A zwłaszcza fabularnej konstrukcji. Wobec tego reżyser (Jan Perz) starał się nadać spektaklowi charakter narracji, wraz z adaptatorem (Władysław Orłowski) wykorzystując prawie wszystkie wątki „Ludzi bezdomnych”. Narzucił sobie styl statycznego teatru wiążąc aktora z tekstem. Słabość zespołu aktorskiego wywróciła cały misterny plan jednolitej stylizacji. Gdzieś się podziła myśl o nadmarioncie.

I wreszcie zjawili się Remigiusz Rogacki (Korzecki). Rola, którą zaprezentował była przekonująco skonstruowana. Filozofia Korzeckiego była tak emanująca, że nasuwał się wniosek o przewartościowaniu „Ludzi bezdomnych”, tak, jest to opowieść o inżynierze, którego przesładuje, godna końca wieku, myśl o samobójstwie. Protest przeciwko ludzłom, zakłamaniu, okrucieństwu życia? Poza, bufonada, kabotyizm? Ileż tu człowieczeństwa. Wracamy do gabinetu figur woskowych. Przyglądamy się, obserwujemy: doktor

## TEATR

Judym, Joasia, doktor Weglichowski itd. itd. Słowem kwatera „Ludzi bezdomnych”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Stefan Żeromski „Ludzie bezdomni”, adaptacja: Władysław Orłowski, reżyseria: Jan Perz, scenografia: Henri Poulain, Teatr Ziemi Łódzkiej, premiera prasowa 29 listopada 1974.



PODWÓJNE ŻYCIE P. BOOTSA  
CZYLI WILLIAM TURNER I ANATOMIA SUKCESU

„Zagadnienie, co to właściwie jest rzeczywistość, nie zostało bynajmniej rozstrzygnięte” — M. Żulawski. I bardzo dobrze, w przeciwnym bowiem razie nie by nam innego nie pozostało, jak wziąć sznur konopny i uwiesić się na nim u pulapu, za szyję, czyniąc z ciała swego wahadło i w ten sposób świadczyć, iż ziemia obraca się i zarzuć uprawianie sztuk wszelkich i dać pole tym, którym wystarcza kawał płótna zamalowany na gładko jednym kolorem.

Spośród malarzy angielskich dwóch pociąga mnie szczególnie. Od dawna zbierałem reprodukcje Turnera; od pewnego czasu gromadzę wszystko, co się da, o niejakiem Baconie. Tworzę i osobowość tych dwóch malarzy, których dzieli przedział stulecia, działa na moją wyobraźnię w sposób szczególny. Turner jest mi niezłym oparciem, gdy mam do czynienia z infantylizmem francuskich impresjonistów; Bacon — gdy mowa jest o malarstwie dzisiejszym. Ponadto obaj oni jawią mi się jako indywidualności skomplikowane, jednostki ludzkie o pokretnym (nie „kretackim”) sposobie bycia, uwikłane w równym stopniu, w sprawy oodzielne jak i wielkie. O, słowem, natury nieproste, a przeciwnie — oryginalne nad wyraz, czasami wręcz za oryginalne, jak na gusty przeciętne, ale nie zapomnijmy, że obaj wywodzą się z kraju, w którym największą obłądą dla twórcy (i dla dzentelmana) jest słowo „boring” — czyli nudny; z Wyspy, gdzie celem samym w sobie jest działanie według systemu: „not to be a bore”, co w przybliżeniu można przetłumaczyć jako „nie być nudziarzem za wszelką cenę”. Oczywiście, że taka postawa wobec życia i bliźnich nie mogła pozostać bez wpływu na ich sztukę, chociaż przeceniać jej nie należy, bowiem zarówno Turner jak i Bacon są twórcami klasy najwyższej, o ogromnej świadomości swoich działań i celów, jakim one służą, jak również wartości swoich dokonań artystycznych, które w obu wypadkach zaliczyć należy z wielu powodów do rewolucyjnych.

Tyleż samo ich różni, co czyni ich do siebie podobnymi. Różni ich temperament artystyczny, różni inność problemów malarskich i stosunek filozoficzno-psychiczny do otaczającego świata (a zatem i do człowieka i do natury). Obaj jednak stoją wyraźnie w opozycji wobec zastalych sposobów obrazowania, transponowania i interpretowania rzeczywistości. Dla obu rzeczywistość ta jawi się w sposób odmienny zresztą. Obaj wiele wymagali od swojej sztuki, chociaż każdy z nich na inny sposób to ujawniał: jeden nadmiarem produkcji,

drugi ścisłą kontrolą swoich działań artystycznych.

Turner tworzył (w każdym razie przez dwie trzecie swego życia, a dożył prawie osiemdziesiątki, zmarł w 1851 roku) w epoce tzw. burżuazyjnego barbarzyństwa, jakie zapanowało w Anglii po okresie wyczerpującego wojowania z Małym Cesarzem.

Turner dożył czasów, w których Wyspa była już obszarem pociętym wzdłuż i wszerz siecią linii kolejowych, a problem zastosowania energii elektrycznej — dzięki wynalazczeniu przez Faradaya dynama — został rozwiązany.

William Turner urodził się jako syn frzjera i używając dzisiejszego języka można powiedzieć, że był jedynym z leniwych, sprytnym, przedsiębiorczym, energicznym, dawał sobie radę od samego początku aż do ostatnich swoich dni. Miał życiowy fart, niewyczerpane zasoby energii i na dodatek... talent, połączony z niesamowitą, picassowska pracowitością. Kiedy umierał jako Boots, „młody Bots”, pozostawił ogromną fortunę (140 tysięcy funtów zarobionych malowaniem), dziesiątki tysięcy akwarel, rysunków i szkiców i w pracowni swojej 362 obrazów olejnych (nie sprzedane), które przekazał narodowi. Ten zarządził mając 28 lat wybrany został Turner na członka Królewskiej Akademii, co równało się z uznaniem go za wybitnego malarza), tasy na pokłaski człowieka prowadził wiecie dziwny i tajemniczy tryb życia. Miał kilka domów, nigdy nie był żonaty, obracał się w najrozmaitszych kregach — od arystokracji do plebsu i cyganerii artystycznej; lubił przebywać z pewną panią w swoim domu na Chelsea, tuż nad Tamizą pod przybranym nazwiskiem Puggy Boots. W tej dzielnicy był znany jako ekscentryk, dandys, nierób, wesoly kompan do kieliszka. Przyjaciół jego z narządami dawał tylko fakt, że Boots często spędzał swy i wieczory na dachu swego domu, obserwując jak wschodzi i zachodzi słońce. Mówiono — Bootsowi wydaje się, że siedzi na kapitańskim statku i nazywano go Admirałem Bootsem. Nikt nie domyślał się że admiral Boots jest znany i kupowany (co oznaczało — teniowym malarzem Williamem Turnerem).

Turner interesowało światło. Początkowo był on pod silnym wpływem pejzażu R. Wilsona, Van de Veldego, Poussina i najbardziej i najdłużej — Claude Lorraina. Z czasem odrzucił wszystkie wzory, łącznie z Lorrainem, jał malować pejzaże niezrozumiale dla ówczesnej publiczności — ale mógł sobie na to pozwolić, miał sławę i pieniądze. Był (obok Constable'a) ostatnim wielkim romantykiem. Żulawski pisze o nim:

„Jego poetycka, symboliczna wizja była tym drugim nurtem romantyzmu, którego cechą zasadniczą jest powrót do natury. Obie te cechy romantycznego sprzeciwu człowieka przeciwko brutalnej rzeczywistości rodzącego się materializmu są w malarstwie wielkim wspólnie reprezentowane — jedna przez Constable'a, a druga przez Turnera. Turner w ostatnim okresie swej twórczości, starał się poznać tajemnice natury, co zmuszało go do rozwiązywania całkowicie nowych

problemów czyste formalnych. Był malarzem, który dramatyzował efekty atmosferyczne. Mistrzowski stosowaniem kolorów zimnych i ciepłych zastąpił dawną klasyczną zasadę, że pejzaż powinien być najciemniejszy na pierwszym planie. Zamknięta przestrzeń kompozycji jest wysoce zadowalająca dla oka. Zaden malarz przed Turnerem nie kładł najmniejszych akcentów na niebie. Turner traktuje obraz jako integralną całość, nie podzieloną tradycyjnie horyzontem na niebo i ziemię. W morskich pejzażach z ostatnich kilkunastu lat życia Turner osiągnął całkowitą integrację. Pozbywając się nie tylko linii horyzontu, ale i wszystkich innych konwencji, stworzył świetliste kompozycje o cechach abstrakcji”.

Zwróćmy uwagę na fakt, że malarstwo Turnera wyrażało sprzeciw człowieka przeciw brutalnej rzeczywistości narastającego wciąż materializmu...

Sprzeciwem wobec materializmu nasyconego do maksimum i skutków, jakie stan taki niesie jest twórczość wspomnianego już Francis Bacona, potomka elzbielańskiego filozofa. Zaczął malować bardzo późno, bo dopiero w 1944 roku (urodzony w 1909 w Dublinie; najpierw dekorator, potem rysownik dla czasopism). Namalował wtedy tryptyk „Eumenidy” (Tate Gallery) i zniszczył wszystko, co zrobił do tej pory, a co tylko udało mu się odnaleźć. Gest iście renesansowo-romantyczny. Zaczął wszystko od początku, ponieważ odnalazł siebie.

Marek Żulawski powiada, że późniejsze obrazy pokazywały człowieka, zdawałoby się normalnego zjadacza chleba, który jednak w jakiś sposób wykraczał poza to, co przyzwyczajaliśmy się akceptować jako ludzkie. Godzimy się z łatwością na fantazję, choćby najstraszniejszą, bo wiemy, że to fantazja. Ale ludzie Bacona — to my sami. W malarstwie jego najbardziej przerażająca jest nie fantazja, ale realizm. Człowiek Bacona, często z otwartą jak do krzyku paszczką, albo zamknięty w białe linie jak gdyby w szklaną klatkę jest człowiekiem zobaczonym na nowo, człowiekiem odartym z wszelkich konwencjonalnych osłonek. Jest podpartym jak przez dziurkę od klucza w samotnej swojej egzystencji, pozbawiony celu, przypadkowy, nie pojęty w swoich przeżyciach i wieloznacznych gestach, opanowany pasjami, do których nie chcemy się przyznać, rozpaczyliwie wyobcowany ze społeczeństwa ludzi normalnych i zdrowych psychicznie.

Bacon tworzy w sytuacji, która ujawnia kryzys dawnych kryteriów wartościowania. Tworzy w Anglii lat 50-tych i 60-tych. Tworzy obrazy odpychające, bez urody, w klimacie rozkładu i demoralizacji. Maluje na nie zagruntowanych płótnach, suchą farbą ludzkie formy. Nikt ze znanych mi malarzy nie u-

mie tak trafnie przedstawił ludzkiej formy — bez literalnego jej opisywania — jak Bacon — wyznaje Żulawski.

Marek Żulawski, który zna Bacona i w jakiś sposób jest z nim związany przyjaźnią (trudno przyjaźnić się z Baconem, jest to bowiem człowiek bardzo dziwny i trudny we współżyciu), pisze o nim:

„Bacon nigdy nie maluje wprost z natury. W pracy posługuje się nie swoimi rysunkami czy szkicami, ponieważ ich nigdy nie robi, ale przypadkowymi fotografiami prasowymi, które zaścielają podłogę jego pracowni, lub reprodukcjami sztucznych mistrzów — zwłaszcza Rembrandta, Rubensa i Van Gogha, które wiszą po ścianach brudne, podarte i spowieźiane. Rzecz w tym, że Bacon nigdy nie maluje także wprost i z tych materiałów. Stanowiła one tylko punkty wyjścia. Jakis dopingu — sugerują mu coś, co tylko on rozumie — z reguły coś zupełnie innego niż przedstawiają. Amatorskie zdjęcie starszego pana, drzemącego na ławce w parku, stało się materiałem, z którego powstał obraz o przerażającej gwałtowności, w którym nie przypominający tego tematu, a zbliżenie fotograficzne trójcegi kula pielęgnarki z filmu „Pancernik Potiomkin” Eisensteina stało się punktem wyjścia całej serii upiornych postaci z otwartymi ustami. To samo stało się z reprodukcją portretu Innocentego X. Velazqueza — obrazu, którego Bacon — nie znając — nigdy nie miał odwagi zobaczyć w oryginale, a także z maską pośmiertną Williama Blake'a, która jest w National Gallery. Bacon twierdzi, że jego obrazy nie mają żadnej specjalnej tematyki i że chodzi mu tylko o oddanie pewnego nastroju, „pewnego typu emocji”.

Bacon jest pesymista. Wyraża w swej sztuce bankructwo racjonalizmu i zwycięstwo sił irracjonalnych. Odwołuje się do naszych „niezaspokojonych kompleksów sado-masochistycznych” (Żulawski), do naszej podświadomości. Powtórzę na koniec za Żulawskim słowa filozofa i historyka sztuki, R. C. Collingwoda:

Artysta musi prorokować — nie w sensie przepowiadania przyszłości, ale w sensie ujawniania ludzkiej tajemnicy ich własnych serc. Obowiązkiem artysty jest mówienie bez osztek prawdy — nawet jeśli to wywołuje oburzenie. Bo to, co artysta ma do powiedzenia, nie jest tylko jego własnym sekretem. Tajemnice, które artysta, jako wykładnik swojego środowiska, musi wyjawiać, są tajemnicami tych, do których się zwraca. Powodem, dla którego potrzebujemy w ogóle artystów, jest to, że żadne środowisko nie zna własnie samego siebie, i przez ich nieświadomość oszukuje się w rzeczach najważniejszych, które są sprawą życia i śmierci. Artysta nie zaleca żadnego lekarstwa. Lekarstwem jest samo dzieło sztuki.

ANDRZEJ GRUN

CHILE — ŹRÓDŁA TRAGEDII

WOJSKO I GOSPODARKA

Jednym z zasadniczych zarzutów stawianych rządowi prezydenta Salvadora Allende, który miał stanowić zarazem usprawiedliwienie krwawego przewrotu dokonanego przez chilijskich wojskowych — była działalność Frontu Jedności Popularnej na płaszczyźnie ekonomicznej. Twierdzono, iż Rząd Jedności Ludowej usiłował wstrząsnąć gospodarką kraju, aby móc później usprawiedliwić jej całkowitą polaryzację i przygotować krwawy zamach stanu przeciw tym, którzy mu się przeciwstawiają.

Od odpowiedzialności za chaos gospodarczy, w jakim znalazł się kraj w ostatnich miesiącach przed obaleniem władzy Jedności Ludowej, za brak równowagi rynkowej, inflację — starał się od początku zrzucić na polityków Unidad Popular. Tak więc, według ideologicznej dyktatury (zwłaszcza ministra gospodarki) — zasadniczą przyczyną braku równowagi finansowej był system kursów wymiany, które za rządów Allende uległy rzekomo zwielokrotnieniu. System ten oparty był według nich o kursy fikcyjne, bez odniesienia do rzeczywistości i znieskształcał relacje cen tak na rynku krajowym, jak i w stosunku z zagranicą.

Patrząc dziś z perspektywy czasu na sytuację gospodarczą Chile w okresie sprawowania władzy przez koalicję Unidad Popular, nie sposób nie dostrzec wielu ujemnych zjawisk, jakie wówczas wystąpiły. Pozostaje tylko kwestia odpowiedzialności, a ujmując zagadnienie szerszej — pytanie czy można nią obarczać tylko rząd prezydenta Salvadora Allende.

Kraj był silnie zacofany i uzależniony od zagranicy, a zwłaszcza od USA. Jego najważniejsze bogactwo naturalne — miedź — było eksploatowane nie zgodnie z interesem narodowym, ale zgodnie z interesem narodowym, ale zgodnym z interesem narodowym, ale zgodnym z interesem narodowym... (text is repetitive and partially illegible)

spalizować politykę ekonomiczną nowego rządu, przyszedł międzynarodowy monopolistyczny kapitał, który ogłosił bojkot gospodarki eksportu miedzi, import niezbędnych do rozwoju ekonomicznego surowców i odcinając dopływ kredytów. Czy w tych warunkach można było uniknąć wymienionych wyżej negatywnych zjawisk? Czy też polityka FJL w zakresie podejmowanych reform i ich realizacji była niewłaściwa?

Podjęte reformy były nieodwołne, stanowiły bowiem niejako krok wstępny do następnego przedsięwzięcia mającego na celu przeobrażenie struktury gospodarczej Chile. Oczywiście, iż nie było to sprawą prostą i wśród ludzi odpowiedzialnych za gospodarkę kraju zarysowały się spore różnice poglądów, tak odnośnie metod, jakimi należy się posługiwać przy realizacji tych reform, jak i priorytetów podejmowanych zadań.

W efekcie model gospodarczy, jaki wynalazł się w Chile w początkowym okresie rządów Allende odpowiadał klasycznemu „keynesowskiemu” schematowi. Polityka ekonomiczna rządu nastawiła się bowiem, w oparciu o poważny wzrost siły nabywczej społeczeństwa z tytułu znacznego wzrostu płac, na rozszerzenie spożycia. Liczono, iż w ten sposób uda się wyprzedzić ze stagnacji aparat produkcyjny, co z kolei miało doprowadzić do poważnego wzrostu zatrudnienia i zapewnienia szerokiego frontu inwestycji w sferze produkcji. Miano również nadzieję zahamować silny już wówczas wzrost cen, czemu próbowano zaradzić, zamrażając ceny na podstawowe środki konsumpcyjne.

Początkowo wydawało się, iż wysiłki te zakończą się sukcesem, rychło pojawiły się w różnych dziedzinach gospodarki oznaki kryzysu. Inflacja, początkowo niewielka w końcowym okresie, we wrześniu 1973 roku, osiągnęła poziom 350 proc. „Keynesowski” model gospodarki, jaki realizowano w Chile, zaczął się stopniowo załamywać. Objawy tego były aż nader widoczne:

- Gwałtowny spadek kryzysowej wzrostu dochodu narodowego;
- Niemożność zapewnienia przez rząd kredytów i środków technicznych wskutek odcięcia ich dopływu przez zagraniczny kapitał;
- Stawy spadku produkcji przemysłowej powodowany z jednej strony niedostatecznym wysiłkiem inwestycyjnym, z drugiej zaś — ucieczką kapitałów;

■ Ostra walka na wsł przy realizacji reformy rolnej;

■ Blokada ekonomiczna i celowa obniżka cen miedzi na światowych giełdach;

■ Rosnący popyt rynkowy, na który rząd mógł odpowiedzieć tylko szybkim wzrostem importu, a czego zrobić nie mogli nie mając dostatecznych środków dewizowych oraz

■ permanentne postępujące naprzód proces przestawiania się w warunkach na prawo pod wpływem kampanii rozpętanej przeciwko Koalicji Unidad Popular przez kręgi oligarchii i prawy społecznej.

Minał już ponad rok od tragicznego końca chilijskiego eksperymentu. I cóż obecnie możemy powiedzieć o sytuacji gospodarczej panującej w tym kraju? Przede wszystkim to, że podobnie jak sytuacja polityczna, jest ona wręcz tragiczna.

Pierwszym krokiem rządów wojskowych w dziedzinie gospodarczej było anulowanie reform realizowanych przez rząd Allende. Nastąpił proces denacjonalizacji kopalni miedzi, zlikwidowano sektor państwowy, banki powróciły do swoich dawnych właścicieli (a trzeba pamiętać, iż stanowiły one w warunkach Chile około 90 proc. środków finansowych), zaś rozparcelowana ziemia do obszarunków. Obcy kapitał, zwłaszcza amerykański, znowu umocnił swoją pozycję w Chile. Ale choć ceny miedzi ponownie „podskoczyły” i szacunkowe zyski z tego tytułu na bieżący rok są oceniane na około 2 miliardy dolarów, a blokada ekonomiczna została zniesiona, to sytuacja kraju przedstawia sobą obraz katastrofalny. Jakże czynnikami na to wpłynęły?

Przede wszystkim — hiperinflacja, która przybrała obecnie postać wiru (jej poziom, będący przecież głównym obiektem ataków ze strony opozycji w okresie rządów Allende, osiągnął dziś poziom 2000 proc.). Efektem tego stanu stał się proces permanentnej, bo aż 11-krotnej dewaluacji waluty chilijskiej. Za jednego dolara 11 września 1973 roku płacono 50 escudo, dziś jest on już wart około 950 escudo.

Drugim posunięciem, które wywarło również fatalny wpływ na sytuację kraju, było ogłoszenie dekretu o „wywołaniu” kapitałów, który zezwalał na ujawnienie ich bez podawania źródła pochodzenia i bez opłaty podatkowej. W efekcie tych posunięć doszło do poważnego pogłębienia się deficytu budżetowego skarbu państwa. Na dzień 11 września 1973 roku wynosił on 47 mld 310 mln escudo, zaś na 31 grudnia tego roku już 119 mld 613 mln escudo.

Wszelkie próby, podejmowane przez wojskowych, które miałyby na celu osłabienie zarówno tempa hiperinflacji i jej nacisku, prowadzą jednak nieuchronnie do pauperyzacji całego narodu (zwłaszcza klasy robotniczej) oraz do stałego rujnowania warstw śred-

nich i drobniomieszczaństwa. Powstał więc dylemat, co w tej sytuacji robić? Jak przeciwdziałać tym zjawiskom?

Wydaje się, iż w obecnym rządzie nie ma co do tego pełnej jasności. Sformulowano, oczywiście, program polityki gospodarczej rządu, w którym na plan pierwszy wybijają się trzy, wzajemnie powiązane z sobą, koncepcje. Istotą programu sprostawa się więc w myśl tego do „integracji przedsiębiorstw” (pod absolutnymi rządami właścicieli), co ma się stać zarazem podstawą totalitarnego, „zintegrowanego społeczeństwa” i „gospodarki rynkowej”, której liberalizm zapewniałby w efekcie wszechwładzę monopolu. Trzecia koncepcja podkreśla z kolei „pomocniczy charakter” dyktatury, która ma jakoby pozostawać w służbie właścicieli (chodzi tu o swoiste pojmovane oparcie społeczne) i przywódców wojskowych (jako elity). Widać zatem aż nader dobitnie, że wojskowej juncie brakuje jakiegokolwiek sensownej koncepcji działania na polu gospodarczym. Początkowo już po obaleniu prezydenta Allende, przywódcy junty twierdzili, iż nie zamierzają naruszać zdobyczy socjalnych społeczeństwa. Głosił, iż zamierzają przyspieszyć rozwój gospodarczy przez efektywne uruchamianie rezerw finansowych, jak i wzrost zatrudnienia oraz obcięcia, iż będą usilnie dążyć do zmniejszenia deficytu budżetowego.

Tymczasem w praktyce działalność ich sprostawała się do podejmowania przedsięwzięć, które zupełnie nie uwzględniały rzeczywistych potrzeb i problemów kraju, co spowodowało szereg fatalnych następstw tak dla gospodarki jak i poziomu życia społeczeństwa. Junta prowadzi dwuznaczna politykę z jednej strony występując w „obronie” drobnych wytwórców i „potwierdzając” ekspansjonizm monopolu, z drugiej zaś nie ma wcale zamiaru decydować się na obniżkę realnych cen, zamierzając uporządkować sytuację kosztem obniżenia produkcji i bankructwa najsłabszych przedsiębiorstw. Rezultatem tej polityki stało się zastraszające wprost tempo pauperyzacji ludzi pracy, wywołane kilkoma zasadniczymi czynnikami.

Pierwszym z tych czynników jest nieustanny wzrost cen. Ceny artykułów żywnościowych, w porównaniu z okresem rządów Allende, wzrosły średnio 11-krotnie, a według nieoficjalnych obliczeń nawet 34-krotnie (podczas, gdy ceny artykułów luksusowych wzrosły tylko 8-krotnie).

Drugim takim czynnikiem jest poziom płac. Jest on bardzo niski w porównaniu z poziomem cen. Niektóre płace zostały bowiem zamrożone, inne zaś wzrosły niewiele, bo o 50 proc., tylko w niektórych gałęziach przemysłu płace wzrosły o około 400 procent (kopalnictwo rud miedzi). Efektem tego stanu był spadek siły nabywczej ro-

dziny robotniczej o minimalnym dochodzie, średnio o 50-60 proc. Podobny spadek odnotowano również w dochodach warstw średnich.

Trzecim z kolei istotnym czynnikiem jest bezrobocie. Oblicza się, iż obecnie wynosi ono około 10,3 proc. ogółu zatrudnionych, co stanowi około 600.000 bezrobotnych. W tej dziedzinie również nie należy się spodziewać zmiany sytuacji. Na dodatek w jednym z niedawnych swoich wystąpień, szef junty, gen. Pinochet, zapowiedział redukcję aparatu państwowego o 20 proc., co oznacza zwolnienie z pracy z 1975 roku około 50.000 urzędników.

Swoją politykę wobec obcego kapitału, która wyraża się w postępiejaniu mających zachęcać go do inwestowania w Chile (temu ma służyć m. in. podpisany 11 lipca 1974 roku tzw. „statut inwestora” — zrytualne porozumienie z państwami Paktu Andyjskiego i otwierający granice kraju przed zagranicznymi monopolami, którym gwarantuje nieograniczenie wywóz wszelkich zysków, a także odszkodowania dla wywłaszczonych przez rząd Allende koncernów) — junta stara się uzasadnić koniecznością zdobycia kredytów dla dalszego rozwoju gospodarki i importu żywności. Wojskowym udało się m. in. uzyskać zgodę tzw. „Klubu Paryskiego” na sponrowanie spłaty 95 proc. zagranicznego zadłużenia Chile, co dało im dodatkowo 600 milionów dolarów.

Poza tym, według przedstawicieli rządu wojskowego aktualnym problemem nie jest już bynajmniej nadmiar popytu monetarnego, który mógłby być zaspokojony przez dodatkowe zwiększenie podaży rynkowej. Przeciwnie, radykalna redukcja siły nabywczej utrzymuje popyt na poziomie niaturalnym. Są więc — jak mówią — zmuszeni korzystać z zysków otrzymanych z tytułu eksportu miedzi, aby powiększyć rezerwy dewizowe. To z kolei uwiadnia władzę (według nich), iż jedynie przyspieszony proces inwestowania (ze strony zagranicznych koncernów), który podwyższyłby szybko zatrudnienie i popyt mimo obniżki płac i poziomu świadczeń socjalnych — może wyprzedzić gospodarce chilijską z tego błędnego koła, w jakim się znalazła. Junta ma więc nadzieję, iż zagraniczne inwestycje i nowe rynki dla chilijskiej produkcji przemysłowej pomogą jej poprawić własną sytuację i przetrwać. Wydaje się jednak, iż planie to nadzieje, gdyż chilijski system gospodarczy jest teraz „rodzieran” z jednej strony kryzysem produkcji, z drugiej natomiast stagnacją wywołaną przez inflację.

ANDRZEJ BLAJER



## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# WSTYDLIWA SPRAWA

Od paru tygodni mówi się w Łodzi o pewnej przykrych i wstydlwej sprawie. Chodzi o likwidację prac magisterskich z dziedziny teatru i filmu w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego. Sprawa jest przykra, bo taką decyzję podjęło grono poważnych naukowców. A dlaczego wstydlwa?

Nie wiem, ale świadczy o tym fakt, że tego tematu nikt jakos publicznie nie chce podjąć, choć na UL, w gronie zainteresowanych studentów i pracowników naukowych o owej likwidacji sporo i namietnie się dyskutuje.

Ostatnio natomiast przeczytałem interesujący wywiad na temat młodej humanistyki, wiele tam się mówi o „łódzkiej szkole humanistyki” prezentowanej przez Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu, ale nie się nie wspomina właśnie o tej sprawie.

Myślę więc, że warto ten problem poruszyć, choć szkoda, że stanie się to piórem felietonisty, a nie piórem poważnego specjalisty z kręgów uniwersyteckich.

W czym rzecz? Otóż podjęto decyzję, że w Łodzi w rzeczonym Instytucie nie będzie więcej prac magisterskich na temat teatru i filmu. Zdumiewająca zaiste decyzja. Jak wiadomo, od

roku 1957 powstało tu około 300 prac magisterskich z tych dziedzin. Istnieje w Łodzi od kilkunastu lat Zakład Dramatu i Teatru, istnieje pracownia zajmująca się telewizją, istnieje Zakład Wiedzy o Filmie — słynna w całej Polsce filmologia.

Kierują tymi placówkami naukowymi poważni specjaliści, że wymienię choćby prof. prof. Lewickiego i Kaszyńskiego, doc. Cieślakowską. Z publikowanego niedawno wywiadu z prof. Stefanią Skwarczyńską dowiadujemy się, że w wielu wyższych uczelniach pracuje 54 wychowanków UL, właśnie z tych dziedzin — w tym ponad 30 doktorów, docentów, adiunktów i profesorów.

Profesor Skwarczyńska powiedziała w tym wywiadzie: „Satisfakcję sprawia i to, że obecnie w związku z reformą szkolnictwa, poszerzeniem zakresu przedmiotów humanistycznych o wiedzę o teatrze i filmie, instrukcje ministerialne zalecają uniwersytetom, jeśli tylko istnieje możliwośći personalne, tworzenie seminariów magisterskich z zakresu teatrologii, filmologii, TV. Nasza więc idea napotyka w tej chwili powszechne zrozumienie nie tylko władz oświatowych, ale także bratnich uczelni, takich jak np. Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Śląski,

nie mówiąc już o tak silnych ośrodkach jak Kraków i Warszawa...”

Niestety owe „powszechne zrozumienie” nie jest, jak widać zbyt powszechne w Łodzi. Wbrew instrukcjom ministerialnym, tendencjom i potrzebom, w Łodzi likwiduje się seminaria magisterskie z zakresu teatru, filmu i telewizji.

Dlaczego? Różnie ludzie mówią, więc nie będę powtarzał plotek.

Faktem jest jednak, że zdumiewająca decyzja podjęta została niemal z dnia na dzień. Dziesiątki studentów, którzy z całego kraju przyjechali do Łodzi po to, aby prace dyplomowe pisać właśnie z zakresu teatrologii i filmologii — zostało na łodzi. Po prostu zrobiono ich w konia. Łódzka polonistka od lat słynęła jako poważny i jedyny ośrodek teorii teatru i filmu, nie więc dziwnego, że młodzi ludzie o tak właśnie sprecyzowanych zainteresowaniach przybyli studiować do Łodzi.

Powie ktoś — sytuacja nie jest bez wyjścia, ci młodzi ludzie mogą teraz rzucić łódzką polonistykę i przenieść się tam, gdzie katedry filmu i telewizji aktualnie się tworzy. A więc do Gdańska, Katowic, Krakowa, Wrocławia... Tylko — pytam — w jakim celu UL rezygnuje z tego, co go wśród innych uczelni wyróżniało? W czym interesie osłabia się placówkę naukową o wieloletnich tradycjach, czemu przekreśla się wieloletni

dorobek i ustaloną wysoką markę?

Tego na zdrowy rozum pojąć nie sposób. Moim zdaniem decyzja jest absolutnie irracjonalna. Ale są ludzie, którzy mówią, że kryją się za nią bardzo realistyczne choć subiektywne pobudki.

Powtórzam — nie wiem. Nagie i obiektywne fakty są takie: teatrologia i filmologia istnieją w Łodzi od kilkunastu lat. Jest to placówka pierwsza w Polsce i dysponująca najlepszą kadrą naukową. Teoria teatru i filmu wyróżnia pozytywnie łódzką polonistykę wśród innych uczelni. Do Łodzi przybywali więc na studia przyszli specjaliści teorii teatru i filmu...

I teraz, kiedy — jak mówi prof. Skwarczyńska — „nasza idea napotyka powszechne zrozumienie”, teraz, kiedy problematyka teatru i filmu zainteresowały się inne polskie uczelnie — Łódź ma, lekką ręką, zrezygnować. Ma odesłać przyszłych magistrów do wszystkich diabłów i zająć się wyłącznie sufiksami i gramatyką historyczną?

Takie są nagie fakty. Jest tylko jeszcze pytanie: Kto to wymyślił i jakie są motywy tej zdumiewającej decyzji? Dopóki nie padną odpowiedzi na to zasadnicze pytanie — sprawa likwidacji w Łodzi magistrów z teatru i filmu pozostanie dwuznaczna, wstydlwą sprawą.

WIDOK

## LEWYM OKIEM

# ZABIEG HIGIENICZNY

Czasami chciałoby się ulżyć sobie i napisać parę cierpkich słów o tym, czego wciąż, albo czego znów, albo czego od czasu do czasu — nie można dostać na tak zwanym rynku. Chciałoby się napisać — a potem ręka człowiekowi zdrętwieje, boć przecież nie jest zupełnie gamoniem i wiele obiektywnych powodów musi uznać. Takie powody są i chyba zawsze bywają, nie ma sensu o wszystko mieć pretensji do indolencji urzędów i urzędników od przemysłu i handlu.

Są jednak sytuacje, świadczące prawie na pewno o niedomyśleniu czegoś przez kogoś. Mówię „prawie”, żeby pozostać na pozycji zawsze wątpliwego sceptyka, chociaż tak naprawdę nie ma tu nic do wątpienia. No, na przykład.

Mieszkałem w domu, oddanym do użytku przed szesnastu laty. Jest to więc całkiem młody dom, ale niektóre jego organy zgodnie z naturą, a niektóre też — przedwcześnie, zdażyły się zeszać i proszą się o wymianę. Weźmy prysznic. Można żyć bez prysznicu, można żyć bez wielu rzeczy, ale po i dlatego go kapitulować przed byle gumową rurką? Przynięto to bardzo miła rzecz, ale powinien przy-

skrać przez siłko prosto na plecy, a nie setką małych wodotrysków na wszystkie strony jednocześnie. Był bardzo elegancki, cały waz miał metalowy, błyszczący; taki w sprzedazy nie ma. Trudno, niech będzie czarny, z tworzywa, takie w sprzedazy są. Tylko że ich nakrętka nie pasuje średnica do moich instalacji. Takich, co by pasowały, nie ma w sprzedazy. A czy w ogóle bywają? Nie, nie bywają. To co mam robić?

Uczynny fachowiec w sklepie poradził, a jakże: zamówi pan u przywaciarza taką nakrętkę, co będzie miała z jednej strony inną średnicę niż z drugiej, i gra. Na pytanie, dlaczego nie ma i nie bywa przynięcie odpowiednich co do średnicy, nawet fachowiec nie umiał odpowiedzieć. Jeśli ktoś wie, gdzieżci będziemy za wyjaśnieniem.

Elementu u przywaciarza nie zamówiłem. Można przecież w tym samym, starym metalowym gumu wymienić wewnętrzną gumową rurkę, skoro stara się zużyła. Dwa metry rurki — parę złotych. Jej przeciagnięcie — jeszcze parę złotych. Drobiazgi. Tylko że takich rurek nie ma. Są dziesiątki innych, ale wystarczyło w dziesięciu sklepach,

gdy pokazałem kawaleczek rurki o jaką mi chodzi, a uprzejmi sprzedawcy informowali natychmiast: aha, pan chce do przynięcia. Nie, takich nie ma. A bywają? Raczej nie... Kto to wyjaśni, kto?

Zużyła się też — chociaż nie powinna — muszla klozetowa. Nie ma tu nie do śmiechu ani do kręcenia nosem. Zużyła się dlatego, że od początku w nowym mieszkaniu, w którym jestem pierwszym lokatorem, nie była nowa, była nawet od razu stara. Nowa poszła pewnie wtedy, w czasie budowy. „na lewo”. To przecież „normalka”.

Żeby wymienić coś takiego, schodziłem nogi do kolan. Bo musiała być fajkowa prosta, a w sprzedazy są jakieś tam inne. Dom — powtarzam — raczej nowy, nie żadne tam archaizmy. Ale takich muszli nie ma, nie robi się, kropka. Dlaczego?

Wyobraźcie sobie jednak, że znalazłem fajkową prostą. Tylko że teraz potrzebna do niej deska. Deski są, piękne, z plastiku, nawet w różnych kolorach. Ale wyłącznie takie, które przykreca się do muszli z obydwu boków, a u mnie można przykreć tylko od góry, pionowo. Święty Boże nie pomoże, nie ma, nie produkuje się. O rany, dlaczego, co ja teraz mam zrobić?

Zawieszaliśmy przed świętami rolety. Wiszą na szynach, bard... nowoczesnych, przymocowanych do sufitu. Potrzebowaliśmy koniecznie kilkunastu dodatkowych przyszczypek (a

może to się nazywa inaczej, nie wiem), takich do przesuwania się po szynie, w jej zagłębieniu. No i nie ma. Jest sklep z tysiącami drobiazgów, jest w nim rzeczywiście około stu drobiazgów, zwłaszcza kielszków do jacek z plastyku w kolorze ekstramaranżowym, w kształcie tulipanów, jest nawet siedem rodzajów przyszczypek (czy jak je tam zwąć) — żadna jednak nie pasuje do naszych szyn. Dlaczego, do wielkiej Anielki? Przecież niedawno te szyny kupowaliśmy, czy trzeba co dwa lata kupować nowe, bo zmieniły się gabaryty przyszczypek?

Chciałem napisać do odnośnej Dyrekcji list z prośbą o wyjaśnienie, niestety, skończył się akurat długopis. Poręczny, owszem, niezły służył, Zenit, na czeskiej licencji. Wzdłuż całej ulicy Piotrkowskiej, a ma przecież stawać jednej z najdłuższych ulic w kraju, nie ma wkładów do Zenitu. Owszem, są, ale niebieskie, a ja przywykłem do pisanania na czarno, nie z powodu pesymizmu, tylko że względu na wzrok. Wkładów do Zenitu z czarnym tuszem nie ma. A bywają? Nie, tylko niebieskie. Czyli — jak się chce zmienić kolor pisma, to trzeba zmienić cały długopis, wcale nie taki tani. Dlaczego, kto to wyjaśni?

A nikt. Tak tylko pisze i tak tylko rzucam te pytania, dla własnej higieny psychicznej.

CWIEK

## TELEFON 610-43

# NIEDALEKO ŁWD

Sporo już czasu minęło od chwili, kiedy Jerzy Binder drżącym ze wzruszenia głosem obwieścił telewidzom Łodzi i okolice śmierć Łódzkich Wiadomości Dnia. W niespełna tydzień później narodziło się W Srodku Polski. Audycja lokalna, zapowiadająca się interesująco, z rozmachem, choć nazwana wcale nieoryginalnie. Stało się. Pożegnaliśmy ŁWD i zaczęliśmy patrzeć, co będzie dalej?

A dalej działy się rzeczy różne. Najpierw więc zbierano do studia różnych panów, z którymi próbowano dyskutować. Ale, że to czasu mało, a problemów i problemików oraz wiadomości dużo, więc i z dyskusji nie zawsze coś wychodziło. Raczej przeciwnie — wychodziło nic. Było to bowiem wypowiedzi na temat, które nie zawsze miały znamiona dyskusji. Często nawet nie miały śladu dyskusji.

Jedyna interesująca dyskusja, jaką w ostatnim czasie widziałem w łódzkim programie tele-

wizji, była to dyskusja zorganizowana poza W Srodku Polski — bo i zakresie tematyki i czasem trwania nie zmieściłaby się w magazynie — a która dotyczyła organizacji ruchu w mieście. Ale to zupełnie inna sprawa i proszę ją traktować jako uwagę na marginesie, jako dygresję.

Później W Srodku Polski nastąpiła niebezpieczna ewolucja w stronę starych ŁWD. Zaczęto znów robić składanki w myśl schematu: trochę wiadomości, migawki filmowe, parę słów o tym, parę o tamtych i do zobaczenia jutro. Jakoś w telewizyjnym studio zrobiło się nagle ciasno, zabrakło widać miejsca na fotela dla rozmówców i zabrakło czasu, aby choć kilkoma pytaniami skomentować, spoinować filmowe pokazanie sprawy. Rozumiem, że telewizja jest wielką machiną, że robi nie tylko magazyn publiczności-informacyjny, ale i rozrywkę i teatr i jeszcze inne rzeczy, a miejsce w studio jest tylko tyle, ile jest. Magazyn W

Srodku Polski musi ukazywać się na ekranie 5 razy w tygodniu, wolny kąt zawsze więc znajduje się tylko na posadzenie dziennikarza i ustawienie plany. A że maruje się dziennikarską ambicję, plany i zamierzenia ludzi, którzy chcieliby odejść od sztampy?

Zrozumiałe, że nie samymi rozmowami telewizyjna publiczność stoi. I nie o namiastkę rozmowy mi chodzi. Wydaje mi się jednak, że warto jest zapraszać do studia kompetentną osobę, odpowiedzialną za poruszane sprawy, aby publicznie zadać jej podstawowe pytanie: co i kiedy zamierzacie zrobić, aby usunąć takie czy inne niedobania, aby naprawić błędy? Wydaje mi się, że w Łodzi i województwie łódzkim dzieje się tyle interesujących spraw, którym czasem warto poświęcić kilka minut więcej choćby kosztem kilku „michalków”, ciekawostek. Wydaje mi się poza tym, że warto podejmować i pokazywać sprawy, które interesują ludzi, żywo ich obchodzą, bo są ich sprawami. I warto szukać takich form, które by pozwalały prezentować te sprawy ze znajomością rzeczy, dotykając samej ich istoty.

Myślę, że warto tu wyróżnić

próby Iwony Śledzińskiej i Andrzeja Królikowskiego, którzy może nie wszystkim się podobają, ale którzy lepiej czy gorzej starają się odejść od sztampy, szukać czegoś innego, aby tym celniej trafić w sedno sprawy. Nie rozdziałem cenzurę, jestem do tego ani powołany, ani upoważniony. Wiem jednak, jak czasem dziennikarzowi potrzeba kilku słów oceny, jakiejś opinii, aby mógł się w niej zobaczyć jak w lustrze, aby mógł nawet nie zgadzając się z tą opinią, znaleźć w niej bodźce do dalszych poszukiwań. I stąd moje uwagi.

A dzieło się nimi dlatego, że po każdej audycji W Srodku Polski ukazuje się plansza z numerem telefonu 610-43 i plansza z adresem Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Więc zamiast dzwonić czy napisać, kreślę tych kilkadziesiąt zdań, gdyż zawsze — jak mi tylko na to czas pozwala — oglądam W Srodku Polski, aby obserwować, w jakim kierunku odbywa się ewolucja magazynu telewizyjnego. Jak na razie jest on niedaleko ŁWD.

MARCIN RODAK

## POJEDYNEK



Jerzy Rawicz publikuje swoje książki z podziwu godną regularnością i prawie zawsze są to bestsellery. Wystarczy tu przypomnieć głośno „raporty z przeszłości” o zamordowaniu gen. Zagorskiego, o słynnej karierze Szambelana, czy książkę o Hoessie „Dzień powszedni ludobójcy”. Jerzy Rawicz uprawia rodzaj pisarstwa rzadko u nas spotykanego. Jest to swoista relacja z przeszłością, w której łącząc się wspomnieniami, informacjami prasowymi, dokumentami...

Najnowsza książka Rawicza również dotyczy okresu międzywojennego — mniej wszakże w niej polityki, więcej obyczajów. Tym razem autor sięgnął do historii... pojedynków honorowych. A przecież pojedynkował się wówczas ludzie znani — pisarze, politycy, oficerowie. Z pisarzy stawali „na udeptanej ziemi” Melchior Wankowicz i Jan Nepomucen Miller, Waclaw Sieroszewski i Ksawery Pruszyński. Pojedynkował się także Antoni Stominski, sam zdecydowany wróg... pojedynków. Jakaż więc musiała być magla osławionego kodeksu Boziewicza, jakż musiał być nacisk ówczesnej opinii środowiska w kwestii „spraw honorowych”, skoro ulegli jej ludzie uważający za bzdurę ten sposób rozstrzygnięcia sporów.

O tym wszystkim mówi właśnie arcyciekawa książka Jerzego Rawicza, przedstawiając nie tylko same pojedynki, nadążając w białym lasku, ale rysując rozległa panoramę życia i obyczajów tamtych lat. Jerzy Rawicz znów zanotował na swoim koncie kolejny bestseller.

Jerzy Rawicz „Do pierwszej krwi”. Wyd. Czytelnik

## BULGARSKI KRYMINAL

W „czytelnikowskiej” serii z „Z Jamnikiem” ukazała się świetna książka bulgarskiego pisarza, Andrzeja Gullaszkę. Powieść jest prawdziwie emocjonująca, choć nie pada w niej na pierwszych stronach przysłowiowy trup, a tylko notujemy lekką kontuzję. Dalej jednak rzecz się rozwija nader ciekawie, mamy przenikliwe dociekania oficera wywiadu, mamy klasyczny, fałszywy trop i zagranicznego agenta, nastrojową scenę i oczywiście — happy end.

Bohaterem powieści jest młody oficer wywiadu, który na skutek zbiegu okoliczności, decyduje się na ryzyko samodzielnego pojedynku z dobrze zorganizowaną i niebezpieczną bandą szpiegów. Mamy więc tajną radiostację, tajemniczy szifr, posęgni nocą i w ogóle pełny asortyment chwytów z klasycznej powieści szpiegowskiej.

Rzecz się rozgrywa w malowniczej i surowej scenarii górskiej — w słynnych Rodopach, co oczywiście potęguje atrakcyjność i dramatyzm powieści.

Andrzej Gullaszkę „Kontrwywiad”. Wyd. Czytelnik, cena 18 zł.

## BESTSELLER DANIKENA

„Wspomnienia z przyszłości” Erica von Danikena poprzedziła w Polsce olbrzymia fama, spotęgowana jeszcze filmem aż dwukrotnie wyświetlonym ostatnio w telewizji. W tym czasie już na półkach księgarskich znajdowało się polskie wydanie tego światowego bestsellera. Daniken twierdzi — i popiera to przekonującym dowodem — że na Ziemi mieliśmy wielokrotne wizyty przedstawicieli cywilizacji pozaziemskich. Ale Daniken nie jest zawodowym naukowcem, lecz samoukiem i amatorem, stąd więc spada na jego słowa gromy ze środowisk naukowych. Trzeba jednak stwierdzić, że poza gromami i kpinami, poza lekceważącymi epitetami, nie przeciwstawiono hipotezom Danikena żadnych rzeczowych argumentów.

Eric von Daniken stawia prowokacyjne pytania, swoje teorie i hipotezy umie poprzec rzeczową argumentacją, a wszystko to czyni z ogromną pasją i talentem. Jego przeciwnikom zabrakło i tej pasji i talentów, stąd, jeśli nawet Daniken nie ma racji, jest po prostu lepsi z.

Ta prawidłowość zarysowała się także w polskim przekładzie wydanym przez PIW. Zapotrzebowanie bowiem „Wspomnienia z przyszłości” w posłowie pobra polskich autorów, które zadaniem było — jak sądzić — stworzenie nieco danikenowskiej wizji. Komentarz ten jest jednak tak daleki od beztępości i nieprzekonywającej, że i tym razem Daniken wygrywa wysoko na punkty.

Eric von Daniken „Wspomnienia z przyszłości”, PIW, cena 32 zł.

## BOHATER X MUZY

Bohaterem X Muzy nazwał prof. Władysław Jewślewicki — Kazimierz Prószyński, człowieka, który kinematografii poświęcił swój talent i pracę całego życia. Prószyński należy do największych wynalazców w dziedzinie — jak to wówczas mówiono — „ruchomej fotografii”. Już w roku 1895 skonstruował aparat filmowy, zwany „pleografem” z oryginalnym urządzeniem do przesuwania taśmy. Prószyński rozpracował bowiem teoretycznie zasadnicze ruchy taśmy filmowej w aparacie i to stanowiło wówczas najcenniejsze osiągnięcie wynalazcy. Dodałmy jeszcze, że „pleograf” był jednocześnie aparatem zdjęciowym i projekcyjnym.

Niezależnie od prac nad kinematografią wynalazca prowadził równoległe badania nad rozwiązaniem zagadnienia przesyłania obrazów na odległość. To nie do wiary — ale już w roku 1898 Prószyński ogłosił swoje urządzenie służące do tego celu. Nazywało się „telefoto”.

Nawiasem mówiąc u początków telewizji znajdujemy dwóch polskich wynalazców. Niezależnie od Prószyńskiego, prace nad tym zagadnieniem prowadził bowiem inny polski badacz, Jan Szczepanik, o którym prof. Jewślewicki także zresztą napisał książkę. Szczepanik swój „Telefektoskop” opatentował w 1897 roku w Anglii.

Niestety, „dalekowidz” Prószyńskiego nie mógł znaleźć w owych latach praktycznego zastosowania. Pozostał jednak teoretyczne rozwiązanie, które możemy dziś uważać za jeden z pierwowzorów telewizji, a jego autora zaliczyć do pionierów tej galei techniki.

Kazimierz Prószyński opracował także urządzenie do zapisu i odtwarzania dźwięku, a zatem jego prace składają się na dorobek filmu dźwiękowego. Był to bowiem na pewno geniusz techniki, który o dziesiątki lat wyprzedził epokę, w której przyszło mu żyć.

Władysław Jewślewicki „Kazimierz Prószyński”. Wyd. Interpress, cena 35 zł.

J. W.



W sześćdziesiątym roku życia wytrzyma długie godziny zdjęć, bez przerwy, bez wycieczki. Wymieniają się operatorzy, a on pozostaje na planie! Wygląda na to, że dla Louisa de Funes, francuskiego komika filmowego „numer 1”, zdjęcia są wypoczynkiem. Oczywiście żart, tak nie jest, swoją pracę traktuje on wyjątkowo poważnie. Być może tę niezwykłą wytrzymałość zawdzięcza de Funes późnym początkom swojej kariery filmowej, rozpoczął ją bowiem dopiero w 1963 roku, mając 40 lat. Do tego czasu „przebijał się” jako pianista w barach, dekorator, grywał niewielkie role w teatrze i epizodyczne w filmie. Skończyło się wszystko po spotkaniu z reżyserem Ouri: obydwoj odnieśli sukces po pierwszej komedii filmowej z Funesem w roli tytułowej. Obecnie cała światła zasmiewa się z komisarza policji w serii o Fantomasie, z ojca-fajtlapy w „Oskarze” i z mnóstwa innych postaci, które kreuje Funes w przeróżnych

zachodniemieckiemu tygodnikowi „Hobby”.

— **Wiele trików filmowych obmyśla pan i wykonuje sam.**

## LOUIS de FUNES O SWOIM SKOKU ZE SPADOCHRONEM...

**Od jak dawna przejawia pan takie inklinacje do wynalazków?**

— Mój ojciec był rzemieślnikiem, ja także zajmowałem się rękodziełem, później byłem dekoratorem, a w latach trzydziestych pracowałem w charakterze kreślacza w fabryce samochodów.

— **Swoje pomysły realizuje pan zazwyczaj bardzo szybko. Jak pan to robi?**

— Ważny jest pomysł, a potrzebne materiały i pomocników mam zawsze pod ręką. Ale najważniejsze — to przekonanie reżysera, operatora, a niekiedy całą grupę zdjęciową. Na przykład w komedii „Hibernatus” mojego wujaszka chciało początkowo zastąpić manekinem. Ale to nie byłoby śmieszne, telefonowałem więc cały dzień do wszystkich możliwych firm, aż wreszcie znalazła się jedna, która wykonała tafle „lodu” z masy plastycznej, w której u-

mieściliśmy zamrożonego wujaszka. Podczas zdjęć cały czas włączano do niej powietrze, ale tego, oczywiście, widzowie nie mogli zauważyć.

— **Jaki film uważa pan za najbardziej interesujący pod względem technicznym?**

— Całą serię o Fantomasie, ale przede wszystkim odcinek „Fantomas contra Scotland Yard”. Jest w nim cała kaskada trików filmowych. Na przykład mogłem w poscieli kraść po pokojach; w tym celu dorobiono specjalny silnik. Przypominam sobie, że jeździłem tak szybko, że cały czas wypadałem z kadru. W rezultacie scenę tę sfilmowano w zwolnionym tempie.

sie trzymać jednej długiej liny. Tak zrobiliśmy, spadochrony się otworzyły. Odetchnąłem. Ale nieoczekiwanie powiał silny wiatr i zniósł nas o jakieś trzydzieści metrów od platformy zdjęciowej. Marais, zawieszony na spadochronie nade mną, trzymał jeden koniec liny, a ja pod nim drugi. I tak spychani wiatrem, opadaliśmy ku ziemi. Marais trzymał mnie na linie dopóty, dopóki nie znaleźliśmy się nad jakimś ogródkiem. I wtedy puścił linę! Wylądowałem na różach. Cały rok pamiętałem te kolce.

— **A co pan robi, żeby zawsze być śmiesznym, jeśli tak to można nazwać?**

— To zabrzmi niepoważnie, co powiem, ale każdego ranka robię przed lustrem chyba ze sto grymasów. To przydaje dziarskości i dodaje pewności, że mogę jeszcze wymyślić coś zupełnie nowego. Oczywiście mam określony komplet grymasów i min, ale jest ważne, żeby umieć ich użyć w odpowiednim momencie. Trzeba o tym pomyśleć zawczasu, improwizacja może zawieść.

— **Czy w życiu jest pan także komikiem?**

— Sądzę, że wielu ludzi doznałoby rozczarowania widząc mnie w domu. Jestem komikiem a nie clownem i najczęściej nie jestem nastrojony do żartów. W zasadzie jestem człowiekiem poważnym. Wie pan, śmieszność — to bardzo poważna praca, w każdym razie dla mnie. Nie cierpię amatorstwa, a unikanie go jest ustawiczną pracą. Myślę, że niejeden reżyser przeklina mnie, kiedy pracuje ze mną, wszystko bowiem chcę doprowadzić do perfekcji. Nieraz ze szkoda dla planu zdjęć.

— **Ostatnie pytanie: pańskie dalsze zamierzenia?**

— Chciałoby się trochę odpocząć, ale chyba się nie uda. Z moim reżyserem pracujemy obecnie nad dwoma nowymi scenariuszami. Co prawda w spokoju, bo czas nie nagli. Bardzo chciałbym zagrać coś poważniejszego w teatrze. A w kinie? Wie pan, wydaje mi się, że najlepszym moim filmem będzie ten, w którym pokażę mój pogrzeb. To przecież byłby całkiem niezły kawał: na koniec rozmieszczą ludzi swoim odejściem do innego świata. No, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mówiąc poważnie — za osiem lat porzucam kino.

## WENUS - 75



Fot. Archiwum



(„Eulenspiegel”)

filmach. A oto, co mówi o sobie aktor w wywiadzie udzielonym

### MARK KASWINOW

### 23 STOPNIE W DOL...

# ARESZT

Podpisał akt abdykacji Mikołaj złożył swój pułkownikowski płaszcz i wyszedł z salonki na peron.

Ochrona gdzieś się zawieruszyła. Wyszedł z nimi tylko książę Georgij Lichtenbergski jeden z feigel-adulantów.

Był car długo przechadzał się po peronach o drózkach między torami, skarżył się na los, wyrzeka na niewiernych współpracowników. Poprosiłwszy na przechadzki drugiego feigel-adulanta Mordwinowa skarżył się i jemu, na co słyszy w odpowiedzi: „To nie, Wasza Wysokość, nie warto się tak bardzo przejmować, przecież nie prosiliście się sami na tron... Niech rządzą sami, jeśli chcą... Ludziom gwałtem miły nie będziecie”. Na te słowa władca zatrzymuje się: „Tak — powiada zgryzając zębami — nie ma co mówić, dobra jest ta ich wola narodu...”

Nocą, przy wórze stuku kół pisze o zdarzeniach dnia w swoim dzienniku. „Rano przyszedł Ruzski... Potrzebne jest moje zezwolenie się... Ruzski przesiadł do żądanie do Sztabu, a Aleksiejew stamtąd — do wszystkich dowódców, o 14.30 przyszły odpowiedzi

od wszystkich. Treść ich jest taka, że dla ocalenia Rosji, utrzymania armii na frontach i spokoju — muszę uczynić ten krok. Zgodziłem się... O pierwszej w nocy wyjechałem z Pskowa z ciężkim uczuciem tego, co przesyłem. Wokół zdrada, tchórzostwo i oszustwo”.

Następnego dnia, Spałem długo i mocno. Obudziłem się daleko za Dwinińskiem. Dzień był pogodny i mroźny... Czytałem o Juliuszu Cezarze”.

Zapis z tego samego dnia: „O 8.20 przybyłem do Mogilewa. Wszyscy członkowie sztabu byli na peronie. Aleksiejewa przyjąłem w wagonie. O 1.30 przeniosłem się do domu”.

Rano pije herbatę z Aleksiejewem, potem idzie do sztabu i ostatni raz wysłuchuje meldunku o sytuacji na frontach; potem udaje się na dworzec, aby powitać przyjeżdżającą z Kijowa matkę. Na peronie Maria Fiodorowna objęła syna i poszła z nim do baruku stojącego blisko stacji. Długo siedzieli tam we dwoje — caryca wdowa wyszła z baruku z zapłakanymi oczyma.

W ciągu następnych dni widziano niejednokrotnie matkę i

syna w tej samej pozie: ona coś mówi, on słucha bez odpowiedzi, patrzeć nieruchomym spojrzeniem w dół, palac papierosa. W ciągu tego pobytu nie dostarczała mu ani poczty, ani doniesień agencyjnych. Zawiadują ją jednak Mikołaja o telegramie, który dostał Aleksiejew od Rodzianki. Komentarz b. cara: „Okazuje się, że Misza rzekł się tronu. Jego manifest kończy się zapowiedzią zwolnienia zebrania konstytucyjnego w ciągu 6 miesięcy. Bóg jeden wie, kto skłonił go do napisania takiej podłości. W Piotrogradzie nieporządku ustaly — oby tak było i dalej”. Następnie zapis w zwykłym stylu: „Po herbatce pakowałem rzeczy. Jadłem obiad z mamą i grałem z nią w bezka”.

Już na drugi dzień po abdykacji Piotrogrodzka Rada (Delegatów Robotniczych i Żołnierskich) w ślad za żądaniem wysuwającym na wielkich mitingach postanowiła poczynić kroki w celu aresztowania Romanowych. Początkowo rząd na czele z Lwowem i Kiereńskim nie odpowiedział na te żądania. Ale na skutek nacisków, 20 marca postanowiono „pozbawić wolności Mikołaja Romanowa i jego małżonkę”. Tego samego dnia wyjechał do Mogilewa, w celu wprowadzenia w życie postanowienia czterech komisarzy (członkowie Dumy): A. Bublikow, S. Grubinin, I. Kallinin, W. Wierszynin. Sikerował ich minister sprawiedliwości Kiereński: „Nie niepokoić osobście byłego władcy, kontaktować się przez generała Aleksiejewa”.

21 marca komisarze stoją przed Aleksiejewem i proszą o przekazanie Mikołajowi, że jest on „pozbawiony wolności”, i że rząd poleca mu wyjechać do rodziny, do Carskiego Sioła. O pierwszej tego samego dnia Maria Fiodorowna, w obecności Aleksiejewa, rozmawia z synem ostatni raz. O 4 po południu odchodzi pociąg carycy-wdowy. O 4.45 odjeżdża w przeciwnym kierunku pociąg Mikołaja, konwojowany przez żołnierzy 3-go Bałtyckiego Pułku.

O tej samej porze Aleksandra Fiodorowna w histerycznym nastroju znajduje się w carskim pałacu. Poczucie własnej bezsilności mać jej rozum. Gdyby mogła być w ciągu minionych dwóch tygodni u boku męża i miała wpływ na jego decyzje, z pewnością przejawiałaby więcej zdecydowania i okrucieństwa i chwycił — według jej słów — za knut. Ale Aleksandr dzieli od Mikołaja 900 wiorst.

Kiedy kamerdyner powiedział jej: „Zdaje się, że zaczyna się rewolucja, nawet na Kozakach nie można polegać” — odpowiedziała: „Nie, wcale tak nie jest. W Rosji rewolucji być nie może. Kozacy nas nie zdradzą. „Kiedy powtórzyła za kamerdynerem te same słowa Wiktoria, żona w. ks. Pawła Aleksandrowicza, caryca odpowiedziała po angielsku: „Jestem na tronie 23 lata. Znam Rosję. Wiem jak lud kocha naszą rodzinę. Kto osmielił się wystąpić przeciwko nam?”

O abdykacji Mikołaja dowiedziała się od wielkiego księcia Pawła Aleksandrowicza: przyszedł do niej z gazetą i przeczytał na głos tekst aktu. Krzyknęła: „Nie wierzę, wszystko to kłamstwa. Gazetowe wymysły. Wierzę w Boga i w armię. Jeszcze nas nie porzucili!”.

Histerycznie snując się po pokojach, nie mając możliwości wyjechać do Mikołaja, wysłała depeszę za depeszą — to do Pskowa, to do Mogilewa. Za każdym razem kurierzy przynoszą do Aleksandrowskiej Pałacu zwrót telegramów z dopiskiem „Miejsce pobytu adresata — nieznane”.

22 marca o 2 po południu na stacji Aleksandrowskiej zjawia się sam adresat. Oto obrazek z jego pojawienia się na dworcu: „Wysiadł z wagonu i bardzo szybko, nie patrząc na nikogo przyszedł po peronie i wsiadł do samochodu. Towarzyszył mu hofmarszałek książę Dolgorukow. Wraz z carem przyjechało po ciemnym wiele osobistości (świąta). Kiedy car wyszedł z wagonu, osobistości wysypały się na peron i bardzo pośpiesznie rozbiegły się w różne strony, oglądając się na boki, widocznie w obawie, że będą rozpoznane”.

Scena przyjazdu cara pod pałac: „Kiedy pod pałac zjechał samochodem wiozący byłego cara z dworca, brama była zamknięta. Żołnierze stojący tutaj długo jej nie otwierali. Patrzył spokojnie i czekał na dyżurnego oficera. Kiedy władca przechodził obok oficerów stojących obok, ci trzymali ręce w kieszeniach, niektórzy mieli papierosy w ustach. Ani jeden z nich nie oddał mu honorów. Natomiast car ukłonił się oficerom.

Dyżurny oficer krzyknął z daleka:

„Otworzyć bramę byłemu carowi”. Po chwili Mikołaj usłyszał jak brama zamyka się za jego plecami. Teraz już był zamknięty — do końca życia.

(W dalszej części swojej dokumentalnej opowieści M. Kaswinow poświęca wiele miejsca okresowi, który były car, jego żona, syn, dwie córki i spora liczba osób towarzyszących spędzał w „domowym” areszcie, w pałacu carsko-księstelskim. Wielokrotnie w tym czasie odwiedza cara A. Kiereński — najpierw jako minister sprawiedliwości potem premier Rządu Tymczasowego. Między tymi dwoma osobistościami zawiązuje się nie serdecznego porozumienia. Mikołaj kilka razy wyraża żal, że w swoich czasach nie mógł się oprzeć na tak wybitnym polityku i uczciwym człowieku. Kiereński relacjonuje b. carowi to, co dzieje się w stolicy i w Rosji. Areszt carsko-księstelski jest nie tyle karą, ile sposobem zapewnienia Romanowym bezpieczeństwa. Potwierdzają to plany ucieczki Romanowych. Początkowo mówi się o Anglii — Jerzy V jest gotów przyjąć carską rodzinę. Później jednak rząd angielski wycofuje zaproszenie. Rząd Kiereńskiego sonduje opinie władców innych państw. Okazuje się, że kolejno wykiwują się z uciążliwych obowiązków goszczenia Romanowych:

- a) Dania, w której władca Christian X, ciocięcy brat Mikołaja, powołuje się na status neutralności.
- b) Grecja, której król, Konstantyn I jest synem Olgi z domu Romanowych — j.w.
- c) Hiszpania — władca w niej Alfons XIII, wielki sympatyk Mikołaja; jego żona Eugenia jest ciocięczą siostrą carycy — j.w.
- d) Norwegia — j.w.
- e) Portugalia — j.w.
- f) Serbia i Czarnogóra wskazują na ciężkie położenie wojenne.
- g) Francja, najwierniejsza sojuszniczka odpowiada zdecydowanie, że nie zyczy sobie, aby zdeponowany tyran i jego

żona, wywodząca się ze znienawidzonych Boszów stąpił po republikkańskiej ziemi.

Jedynie z otoczenia Wilhelma II, z Niemiec, z którymi Rosja jest w stanie wojny przychodzi odpowiedź: „Rząd imperatorski uważa za swój dług, zapewnić, że ani jedna bojowa jednostka niemieckiej floty wojennej nie zatakuje statku, na pokładzie którego znalazłby się rosyjski imperator i jego rodzina”.

Ale w Rosji sytuacja z dnia na dzień zmienia się na niekorzystną rządowi Kiereńskiego, a zarząd planów ucieczki. Rady Delegatów naciskają na rząd, domagając się uwolnienia cara i twierdzą Piotropawłowskiej. Jego ucieczka przez kraj, w którym wzmacnia się władza robotników, chłopów i żołnierzy staje się coraz trudniejsza. Kiereński postanawia wywieźć carską rodzinę do Tobolska. Było to posunięcie przemyślane i chytre. Syberia i Tobolsk — to przecież tradycyjne miejsce zesłań. A jednocześnie Tobolsk — to miasteczko leżące o tysiące wiorst od centrum Rosji, o nie naruszonej prze rewolucję strukturze społecznej, bez proletariatu, ale za to z silnymi wpływami drobnej burżuazji, kleru i monarchistów. 14 sierpnia 2 pociągi wywożą cara; jego rodzinę, świte, masę bagażu i eskortę do Tobolska. Romanowych umieszczono w domu byłego gubernatora. Spędził tam w dobrych warunkach prawie 9 m-cy. Wielka Rewolucja Październikowa rozwiewa nadzieje b. cara na pozwolenie mu bądź to wyjazdu za granicę, bądź na prowadzenie „normalnego” życia w Rosji. Jednocześnie zaś nasila się działalność grup monarchistycznych zmierzająca do uwolnienia Romanowych. W obliczu tego niebezpieczeństwa wydany zostaje rozkaz przewiezienia Romanowych do Jekaterynburga. 26 kwietnia car i jego bliscy pod silną eskortą wyruszają z Tobolska 30 kwietnia Romanowie zostają osiedleni w Jekaterynburgu — wielkim ośrodku przemysłowym, gdzie władza bolszewików jest silna — w domu inżyniera Ipatiewa.

Tłumaczył:

MARK WAWRZKIEWICZ



# MAGAZYN

ODGŁOSY

JOE BERGER

## ★ KOPCIUSZEK ★

Papa Zwukolic, zamożny producent galanterii metalowej, miał trzy córki: dwie z nich, Leopoldynę i Marię, w swojej willi oraz trzecią, Joannę, w pobliskiej szopie. Leopoldyna i Maria ubierały się w brokat, aksamit i jedwab. Joanna w trefnie: Leopoldyna i Maria chodziły na wspaniałe bale, Joanna nigdy nie znalazła sobie partnera, który wziąłby ją na spacer: dwie pierwsze używały waterclosetu z automatyczną spłuczką, trzecia miała do dyspozycji drewniany ustęp.

Leopoldyna była namiętną pałaczką. Cmiąc nieustannie papierosa miała ten brzydki nawyk, że znaczyła piękne dywany cętkami z popiołu. Niekróć jej persy pokrył popielaty nalot Leopoldyna co tchu telefonowała do Joanny wykrzykując do słuchawki: „Kopce! Kopce! Kopce!” Biedna gąska brała wówczas odkurzacz i pracując stapała po wspaniałych dywanach. Jej siostra, Maria, złośliwa abstynentka, nazwała ją z tego powodu Kopciuszkiem.

Obroty ojca zaczęły szwankować na skutek jego lat i z powodu willi popijających córek. Tylko Joanna nie miała w tym udziału; siedziała zaczytana na klozecie kartkując „Robinsona Crusoe”. Pewnego dnia podczas odkurzania zauważyła, że sio-

stry wypychają się w kosztowne ubiory, aby pójść na bal do cukiernika. Wówczas zasmucona Joanna opróżniła odkurzacz i poszła z książką do wiadomego domku Tam usiadła na przemarzniętym tyłku, ale nie potrafiła czytać, gdyż nieustannie marzyła o wspaniałych tańcach. Wtem usłyszała wydobywający się z dołu głosik, który kwilił i sapał, ikał i błagał:

„Siegnij na dół, ciągnij zaraz, bo się dławię co nie miara.”

Joanna wejrzała w resztki swojej przemiany materii, ale niczego nie zobaczyła. Jednakże głosik wydobywał się jak przed chwilą i nie ustawał, aż Joanna najodważniejsza córka Zwukolice, zdjęta litością zdecydowała się na śmiały chwyt. A gdy biedaczka wyjęła dłoń z głębiny, nie mogła uwierzyć swoim niebieskim oczom: wyciągnęła przeciw kosztowny ubiór pasujący na nią jak ulał. Odświeżnie ubrana wyszła więc przed drzwi najulubieńszego zakątka, gdzie już stał sportowy samochód z włączonym silnikiem, który powiózł ją, jak strzałę, na bal u cukiernika. Kiedy wypucowany Kopciuszek wszedł na salę balową, wszyscy spojrzeli oczarowani, a jej nadejściu towarzyszyły intensywne szepty zaproszonych i inne jeszcze przejawy zainteresowania. Mogła

dobierać partnerów, którzy się jej podobali, a przy wyborach „Miss Bombonierki”, szczytowym punkcie uroczystości, wyraźnie poszła nie poznając jej siostry do kąta, chociaż Leopoldyna liczyła na pewne zwycięstwo. Uczestnicy balu długo wiatowali i obsypali Kopciuszkę, za jej urodę, czekoladą, którą zaraz załadowała do sportowego wozu, bo zamierzała już odjechać ze swymi trofeami. Jadąc do domu z duszą przepoconą szczęściem Joanna spostęrgała w pobliżu ponurej szopy, że jest ścigana przez rolls royce'a. Jej zgrabna stopa docisnęła pedał gazu, silnik zaryczał wesoło i Friedbert von Mantelsack ujrzał jeszcze zaledwie tylnie światła wozu ubóstwianej.

Bowiem jej prześladowcą był nikt inny, jak właśnie Friedbert von Mantelsack, znany producent przedmiotów metalowych o wielkim gabarycie. Friedbert, zasiadający prócz tego w niezliczonych radach nadzorczych, śmiertelnie zakochał się w Kopciuszku i chciał go poślubić. W nielicznych wolnych godzinach, na które pozwalały mu interesy skonfundowany i zrozpaczony poszukiwał ukochanej w tamtej okolicy, gdzie zobaczył światła stopu „Miss Bombonierki”. Ale cóż! Choć bardzo szukał, niemal wążąc, nikt nie potrafił mu po-

wiedzieć ni doradzić, gdzie może znaleźć miss swego serca. Rozpaczliwość poszukiwań uczyniła go, ten chłodny umysł, słabym; nie dziwnego, że pewnego dnia zapomniał odwiedzić ubikację. Będąc w strasznej potrzebie zobaczył nagle stojący obok szopy ustęp. Szczęśliwy szarpnął drzwi małego domku, żeby luzyc swojej nagłej biedzie, i krzyknął z radości. Stał przed siedzącym Kopciuszkiem, który kartkował „Robinsona”. Błyskawicznie, aby nie marnować czasu, oświadczył się; gwałtownie, gdyż przejrzała na wylot jego położenie, dziewczyna zgodziła się. Płacząc ze szczęścia czekała Joanna przed drzwiami komórki na narzeczonego. I już padł sobie w ramiona i uściskali się krzepko.

Ich wesele było wystawne, a pisma ilustrowane jak zwykle przyniosły sprawozdania. Ale Leopoldyna i Marię, niedobrych siostr, na nim nie było, gdyż jedna ze złości pozieleniała a druga zrobiła się sina. Wyglądały jak dwa jednobarwne dywany i nigdy nie wychodziły ani na krok z ojcowskiej willi.

Szczęśliwa para, Friedbert i Joanna, zawieźli czekoladę do największego w całym kraju i najwytworniejszego domu. Mantelsackowie spoglądali sobie w oczy i strzepywali popiół z papierosów na dywany — a jedli tak doskonale potrawy, że w ciągu całego życia nigdy nie musieli szukać ubikacji.

Tłumaczył:  
K. FREJDLICH

## KARYKATURY S. ARABSKIEGO



JERZY KAWALEROWICZ



HENRYK KLUBA

## ● JACEK BROMSKI - STORY ●



### REFORMY I OBIETNICE

W nowym roku kalendarzowym szereg doniosłych reform dokona się w naszej Kinematografii. Oto przykładowo kilka z nich. Akcja produkowanych filmów będzie znacznie prost-

### MĄDRY SYNEK BARMANA

Na Hawajach zebrało się raz liczne towarzystwo gwiazd i gwiazdorów filmowych, by odsapnąć po pracy, pobawić się i powygłupiać. Lekkomyslna zabawa toczyła się właśnie

## MAŁE KINO

szła, natomiast więcej wysiłku poświęci się ich stronie uczuciowej. Filmy historyczne kręcone będą nadal, ale już znacznie staranniej, tak, by nie występowały w nich utrudniające odbior aluzje do współczesności. Specjalny fachowiec zajmie się losami Stasia i Nel po wojnie. Komedia muzyczne spoważniają i sięgną nareszcie po właściwe tematy jak np. dwulicowa moralność czy higiena osobista. W Puszczy Piskiej żyje i mieszka pracownik leśny z bardzo wydatnym uchem. Telewizja przyrzeka, że w nowym roku pokaże nam to ucho przynajmniej kilka razy!

znakomicie, gdy nagle synek barmana przypomniał zebranym o Tadeuszu Kościuszcze. Śmiechy i głupie żarty natychmiast ustąpiły a na ich miejsce powróciły: godność i rozsądek.

### STARY GADUŁA

Badacze angielscy dowiedli ostatnio, iż Szekspir nie przewidywał nadejścia ery filmu dźwiękowego. Dlatego dialogi jego bohaterów są długie i nieporadne i dopiero po skrótach i poprawkach nadają się na ekran.

## ★ NA KARNAWAŁ na małe i duże OKAZJE ★

PROPONUJEMY PAŃSTWU TKANINY

ZAKARDOWE, SZYFONY, WELURY, KORONKI, TKANINY NA GARNITURY WIECZOROWE  
w sklepach przy ul. PIOTRKOWSKIEJ 46, 122, 117, 228, 142, 51

Albo WYPOŻYCZENIE STROJU WIECZOROWEGO lub ŚLUBNEGO  
W WYPOŻYCZALNI ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA TEKSTYLNO-ODZIEŻOWEGO przy ul. PIOTRKOWSKIEJ 126

